

BŁĘDY HIERARCHÓW POLSKIEGO KOŚCIOŁA

**Episkopat ma za co przepraszać
– pisze ks. prof. Waldemar Rakocy**



TYGODNIK LISICKIEGO

**NR 43/703 19–25 PAŹDZIERNIKA 2026
CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)**

DO RZECZY

**Minister Domański – skarbnik
pełzającego bankructwa**



**CZY TO DŻUMA
ZAATAKOWAŁA W ROSJI**

**Jak bardzo niebezpieczni
są ukraińscy weterani wojenni**



„Fort Trump” naszym wybawieniem?

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

WARZECHA I WIELOMSKI O STAŁEJ BAZIE USA

★ OPEN TEXAS ★ HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Trwa nabór na Misję Polskiego Biznesu do Texasu,
liczba miejsc jest ograniczona! ZAPRASZAMY!



Planujesz skalowanie firmy, jesteś start-upem, szukasz inwestorów
lub chcesz wprowadzić swoje produkty i usługi na rynek amerykański?

A może chcesz otworzyć oddział produkcyjny w USA?
Bez podatków, bez wysokich cen paliw i energii?

Ta misja jest dla Ciebie!



ORGANIZATOR



INSTYTUT
MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost

TYGODNIK
~~Świat~~
Radio Wnet

tysol
DO
RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025

SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Lek na całe zło?

Charakterystyczną cechą polskiej debaty na temat stałych baz amerykańskich w Polsce jest jej... brak. Nie przesadzam. Zdecydowana większość polskich polityków, zarówno tych z opozycji, jak i tych rządzących, uznaje korzyść wynikającą ze stałej obecności żołnierzy amerykańskich w Polsce za coś oczywistego. Dlatego spór nie dotyczy tego, czy i na jakich warunkach Amerykanie mieliby w Polsce stacjonować, a jedynie kiedy się to stanie. Kto ów konsensus podważa, naraża się natychmiast na atak. Od ogółu przedstawicieli elit politycznych, ze szczególnym uwzględnieniem prawników, usłyszysz, że kto powątpiewa w sens budowy „Fortu Trump”, ten jest agentem Putina i działa na rzecz Rosji. Tymczasem pytania są zasadne.

Przed wszystkim każda forma obecności obcych wojsk na terenie danego państwa jest formą ograniczenia jego suwerenności. Powód jest prosty: z definicji obca armia służy obcemu suwerenowi i wykonuje jego rozkazy. A to oznacza, że w sytuacji ewentualnego konfliktu zbrojnego będzie ona realizować cele i zadania wyznaczonej przez swojego zwierzchnika, a nie przez interesy państwa, na którego terenie się znajduje. To jest niepodważalna zasada. Nie wynika z niej, to jasne, że dane państwo na ograniczenie swojej suwerenności w imię wyższych racji nie może się zgodzić. Jednak nie wolno, jak to się robi w Polsce, nie zadawać sobie pytania o cenę i konsekwencje takiego ograniczenia.

Jakie zatem mogą być powody, żeby na taką stałą, a nie chwilową, obcą obecność się zgodzić? Dostrzegam tylko jeden, a mianowicie bezpośrednie zagrożenie dla własnego bezpieczeństwa przez

państwo trzecie. W polskiej sytuacji argument ten wygląda tak: Polska chce stałej bazy amerykańskiej, bo w ten sposób chroni się przed zagrożeniem ze strony Rosji.

Zwolennicy tej tezy przyjmują, że stała obecność kilkunastu tysięcy Amerykanów w bazach (lub bazie) na terenie Polski stanowi sama w sobie skuteczny element odstraszania wobec potencjalnego agresora, a więc Rosji.

Problem z tym argumentem jest dwojaki. Po pierwsze, zakłada on, że Rosja szykuje się w najbliższym czasie do ataku na Polskę i zamierza tym samym zacząć bezpośrednią wojnę z NATO. Chociaż opinia ta jest powszechnie w Polsce uznawana, to moim zdaniem oparta jest na bardzo słabych przesłankach. Dlaczego Moskwa miałaby inicjować nagle wojnę z wielokrotnie silniejszym blokiem wojskowym? Co miałyby w ten sposób zdobyć?

Po drugie: Czy faktycznie obecność amerykańskich baz odstrasza potencjalnego agresora? Można w to było wierzyć przed atakiem Izraela i USA na Iran. Teraz, po kilku miesiącach od wybuchu konfliktu w Zatoce Perskiej, teza ta jest moim zdaniem nie do utrzymania. Amerykańskie bazy nad Zatoką Perską nie odstraszały irańskich rakiet, ale przyciągały je. Były pierwszym najłatwiejszym celem ataku, bo w obecnych, nowych warunkach wojny dronowo-balistycznej to, co było przewagą, a więc właśnie stała okupacja terenu, staje się wadą i słabością. Co więcej, mimo ogromnych pieniędzy wydanych w USA przez Arabię Saudyjską na bezpieczeństwo w sytuacji zagrożenia i wojny z Jemenem Waszyngton zostawił Saudów na lodzie.

Są też inne wątpliwości. Zwolennicy stałych baz USA zachowują się

tak, jakby pojawienie się w Polsce „Fortu Trump” nie niesło żadnych negatywnych konsekwencji. A przecież widać je gołym okiem. Jeśli w USA będą dalej rządzić republikanie, to bazy mogą stać się narzędziem presji na Polskę w taki sposób, żeby uwikłać nas w konflikty generowane przez Izrael. Czy np. gdyby „Fort Trump” już w Polsce był, to czy Warszawa mogłaby tak łatwo odmówić wystąpienia swoich wojsk do Zatoki Perskiej, czego skądinąd od sojuszników domagał się Donald Trump? Mam wątpliwości.

A jeśli władzę w Ameryce przejmą demokraci, co wydaje się prawdopodobne, to stała obecność amerykańska będzie mogła służyć do podporządkowania Polski ich radykalnej agendzie ideologicznej i genderowej. Miało to już miejsce podczas drugiej kadencji Baracka Obamy i za czasów Joe Bidena. Dziwne, że tego argumentu nie biorą pod uwagę polscy konserwatyści.

Wreszcie powstaje pytanie o koszty. Dlaczego Polska ma wyłożyć najpierw kilkanaście miliardów złotych, a następnie stale utrzymywać za znaczne sumy enklawy obcego, choćby nawet sprzymierzonego państwa? Dlaczego, odwrotnie, to nie USA mają Polskę płacić za stałą obecność swoich żołnierzy?

Czy to wszystko oznacza, że stałe bazy USA są w Polsce niepotrzebne? Nie. Jednak poważne państwo, jeśli miałoby taką decyzję podjąć, powinno wyjaśnić wątpliwości. Być może się mylę i być może stała amerykańska obecność nad Wisłą zapewni Polsce bezpieczeństwo. Nie może ona być jednak traktowana, a tak jest obecnie, jak rzecz bezdyskusyjna, jak zakłęcie, talizman i lek na całe zło. ©

TEMAT TYGODNIA

16 ADAM WIELOMSKI
AMERYKAŃSKIE WYBAWIENIE?
Spojrzenie na bazy USA w Polsce
racjonalnym okiem

19 ŁUKASZ WARZECHA
**CZY „FORT TRUMP” NA PEWNO
NAS WZMOCNI?**



KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TUSK TRACI WAJCHĘ
Zmiany w TVN są przesądzone

26 PIOTR SEMKA
KRAKOWSKIE WYCINANKI

28 ROZMOWA Z BARBARĄ NOWAK
**ŻEBY URATOWAĆ POLSKĄ SZKOŁĘ,
TRZEBA ZMIEŃĆ TEN RZĄD**

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
**BRZOSKA RZUCA WYZWANIE
GIGANTOM**

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
BÓG PHILIPA K. DICKA
Udręczona dusza wielkiego pisarza

34 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
ROMANS EPISTOLOGRAFICZNY

36 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
ŚWIĘTOŚĆ W LUKRZE

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 WOJCIECH GOŁONKA
ŚWIĘTA WOJNA ZACHODU
Kto wygrywa:
Ukraina czy Rosja?

46 KS. PROF. WALDEMAR RAKOCY CM
**EPISKOPAT MA ZA CO
PRZEPRASZAĆ**

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
**LIBERALNA
TWARZ EPISKOPATU USA**

52 FILIP MEMCHES
BIESY NA MAZOWSZU

HISTORIA

54 PAWEŁ WITASZEK
„NASI” BOHATEROWIE
Polska w optyce Mordechaja Anielewicza

ŚWIAT

58 JAN BOGATKO
TU SIĘ SPRZEDAJE, TU SIĘ KUPUJE
Handel sekretami Niemiec

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
NIEBEZPIECZNI UKRAIŃSCY WETERANI

63 TERESA STYLIŃSKA
CZAS DEPORTACJI

66 JACEK PRZYBYLSKI
SPÓR O ŚMIERĆ

EKONOMIA

70 JAKUB WOZIŃSKI
SKARBNIK PEŁZĄCEGO BANKRUCTWA
Budżetowy postmodernizm ministra
Andrzeja Domańskiego

ZDROWIE

74 ANDRZEJ SOLECKI
CZY TO DŻUMA ZAATAKOWAŁA W ROSJI?
Medialna kampania wyszukiwania
nowych zagrożeń

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JĄSTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUKE (81), CEJROWSKI (82)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Anna Zalewska, **Tomasz Zbigniew Zapert**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Krzysztof Masłoń**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, **Joanna Bojańczyk**, **Grzegorz Brzozowicz**,
Wojciech Cejrowski (korespondent z USA), **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Cośi (Bruksela), **Tomasz Cukiemnik**, **Łukasz Czarniecki**,
Wojciech Golonka, **Ryszard Gromadzki**, **Marek Jurek**, **Jerzy Karwelis**,
Jacek Komuda, **Slawomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, **Michał Krupa**, **Andrzej Krzysztyniak**, **Piotr Litka**,
Łukasz Majchrzyk, **Monika Małkowska**, **Filip Menches**, **Andrzej Nowak**,
Jacek Pałkiewicz, **Maciej Pieczyński**, **Jan Pospieszalski**, **Witold Repetowicz**,
Wojciech Roszkowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Błażej Torzański, **Piotr Włoczyk**, **Adam Wielomski**, **Dariusz Wieroniewicz**,
Radosław Wojtas, **Jakub Wozinski**, **Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**-
Pieczyska, **Lidia Lemaniak**, **Alina Piekarczyk**, **Małgorzata Puzyr**, **Anna Skalska**,
Anna Szczepańska, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz**
Grzymowicz, **Aleksander Majewski**, **Dawid Sienkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład); **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak**, **Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**
Okładka: **Guenieroale/Adobe Stock**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, **Do Rzeczy SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**



MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Joanna Nowakowska, **Joanna Gosek**,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829



Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy, Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Przemoc nieletnich

Szanowna Redakcjo!

Chciałam się podzielić kilkoma spostrzeżeniami w związku z atakami nastolatków w szkołach w zeszłym tygodniu.

Na portalu wp.pl ekspert od spraw terroryzmu, **Kacper Rękawek**, zauważył, że przeżywamy obecnie to, co **Zachód** 20 lat temu. Co się zmieniło w ostatnich 20 latach w Polsce? Przeciwnie czemu protestowano?

Rok temu wprowadzono edukację zdrowotną. Półtora roku temu zakazano prac domowych. Od trzech lat trwa walka z religią w szkole. Od ok. 15 lat (dane z obserwacji własnych i cudzych) zwiększyła się liczba dzieci z orzeczeniami w szkole i z zaburzeniami psychicznymi. Czterystu psychiatrów jeszcze 20 lat temu pokrywało zapotrzebowanie wśród dwukrotnie większej liczby dzieci. Teraz ponad 500 nie wystarcza. Występują w szkole problemy z prowadzeniem lekcji, z przemocą rówieśniczą, obniżeniem poziomu nauczania.

W 2010 r. wprowadzono ustawę o przemocy domowej penalizującej jako przemoc praktycznie wszystkie metody wyciągania konsekwencji wobec nieletnich, czyli zakazano klapsów, krzyknienia, krytykowania i innych. W teorii słuszne, w praktyce okazało się, iż dzieci nie mają możliwości nauczania się, iż czyny pociągają za sobą konsekwencję, bo całą odpowiedzialność za złe postępowanie przeniesiono na dorosłego lub na chorobę, najczęściej na jakieś zaburzenie psychiczne. Podstawą tej ustawy jest przekonanie, że dzieci są dobre, tylko dorośli źli [...].

A którzy dorośli są najbliższe młodzieży? Oczywiście rodzice, więc to rodzice są z definicji źli, następnie nauczyciele [...]. Z takiego przekonania o absolutnej niewinności nieletnich wynika postulat zakazu spowiedzi dla dzieci i młodzieży do 18 r.ż. Po co mają się spowiadać, skoro są dobre, a tylko dorośli źli? [...]

Ustawa ta spowodowała, że nie można zastosować odpowiednich działań, nie można wyciągnąć odpowiednich dostosowanych do sprawy konsekwencji i w ten sposób dziecko nie uczy się, że pewne zachowania są złe i niekorzystne.

Ostatnio matka nakrzyczała na małe dziecko za jego wtargnięcie na jezdnię i rzecznik praw dziecka [...] założyła sprawę o znęcanie się. Co matka mogła zrobić, gdy małe dziecko wybiegło na jezdnię? Według lewicowej teorii tylko tłumaczyć, a przecież jest jasne, że im młodsze dziecko, tym mniej zrozumie [...].

Inną przyczyną przemocy rówieśniczej jest uczenie dzieci w szkole i w domu niesamodzielności – nie pozwala im się na rozwiązywanie problemów z kolegami samodzielnie, tylko nakazuje im się zwracać na pomoc dorosłego. Jeśli kolega z tylniej ławki zabrał gumkę, to dziecko nie odwraca się i nie zabiera swojej własności, tylko ma wezwać nauczyciela. Uczy się dzieci, że nie można samemu wyrównać rachunku, bo przemoc jest zła, i nie można się bronić, używając przemocy.

Niesamodzielność dzieci wynika z przerzucenia odpowiedzialności i konsekwencji za błędy dzieci na dorosłych: rodziców lub nauczycieli.

Nie podaje się danych dotyczących przemocy nieletnich względem dorosłych. Jakiś czas temu poinformowano, że uczeń pobił nauczycielkę, nałożono koszt na śmieci na głowę nauczycielowi. Teraz akt przemocy dotknął woźną, dyrektora szkoły i nauczycielki. We Francji tych aktów przemocy jest obecnie jeszcze więcej. W Szwecji nastolatki zarabiają pieniądze jako mordercy na zlecenie [...].

To jest ta lewacka ideologia prowadząca do tragedii. Rozwiązaniem jest jak zwykle powrót do dobrych zasad, do prawdy, szacunek dla wszystkich starszych: rodziców i nauczycieli pomimo ich ułomności.

Z poważaniem
Irena Sergiej-Monkiewicz

Wyjaśnienie

W notce dotyczącej pogrzebu ks. Stanisława Zbojnowicza („Do Rzeczy” nr 41/2026) oczywiście chodziło mi o Mszę eksportacyjną, zwaną także eksportką. Za błąd najmocniej przepraszam.

Anna Zalewska



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Komu (i jak) bije dzwon?

Dzwon znanego gdyńskiego kościoła zamilknie? Parafianie go bronią, a PiS chce zmiany przepisów”, tak „Gazeta Wyborcza – Trójmiasto” opisuje spór wokół dzwonu w Kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni.

Oto dwóch mieszkańców Gdyni złożyło skargę do urzędu miasta na, ich zdaniem, zbyt głośny dzwon kościoła w centrum. I cała sprawa wałkowana jest przez trójmiejskie media. Jak pisze „Wyborcza”, pretensje dotyczą natężenia dźwięku, czasu bicia dzwonów oraz pory, w której dzwony są uruchamiane. Przedstawiciel urzędu informuje, że urzędnicy zebrali część materiału dowodowego i przeprowadzili pomiary hałasu. Według urzędu „wykazały one przekroczenie obowiązujących w tym miejscu norm”. Ale przedstawiciel urzędu nie informuje, jak bardzo owe normy zostały przekroczone.

Informacja o rozpoczęciu postępowania zelektryzowała wiernych, którzy zorganizowali już wiec w obronie dzwonu. Wskazują oni, że oto protest dwóch pojedyn-

czych osób spowodował sytuację, w której oni muszą się martwić, czy bicie w dzwony będzie możliwe. Jak piszą w apelu, pod którym zbierane są podpisy parafian: „Niedopuszczalna byłaby sytuacja, w której pojedyncze skargi prowadziłyby do ograniczenia praw całej wspólnoty religijnej, liczącej tysiące wiernych. Stoimy na stanowisku, że rzetelne postępowanie administracyjne powinno uwzględniać prawa wspólnoty, zasadę proporcjonalności i interes społeczny”.

Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni to wyjątkowa świątynia. Wybudował ją i był przez długie lata jej proboszczem ks. Hilary Jastak – gdyński „kapłan niezłomny”. To tam, w jednej z kaplic, złożono jako najświętszą pamiątkę słynne drzwi, na których stocznioy w grudniu 1970 r. nieśli ul. Świętojańską zastrzelonego kolegę. W 1981 r. wierni złożyli się na dzwon, który teraz jest przyczyną sporu. Dzwon bije tylko przez dwie minuty, dwa razy dziennie: o godz. 12.00 i 16.15. Nikogo więc nie zrywa ani bładym świtem, ani nawet o północy. Jak wynika z rela-

cji „Wyborczej”, przeciwnicy dzwonu mają i na to argument. Wskazują, że choć dzwon bije w ciągu dnia, może przeszkadzać komuś, kto pracuje na drugą zmianę.

Cała sprawa budzi pytania, gdzie jest granica pomiędzy odczuciami mniejszości a wrażliwością większości. Owe uczucia większości dobrze ilustruje wypowiedź jednej z parafianek: „Mieszkam w centrum od 35 lat i ten dzwon towarzyszył mi i moim sąsiadom od zawsze i tak powinien zostać”. Tak samo argumentuje proboszcz parafii: „Dzwon w parafii NSPJ” brzmi od 45 lat i nie wywoływał kontrowersji oraz społecznego napięcia zarówno wśród mieszkańców, jak i turystów odwiedzających nasze miasto”. Jak to często bywa w sieci, w komentarzach internautów cała sprawa rozgorzała według linii podziału ludzi mających alergię na kościół i jego obrońców. Wszyscy czekają, jak do sprawy ustosunkuje się prezydent Gdyni Aleksandra Kosiorek i Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska.

Typowy polski spór Anno Domini 2026. ©©

ŚWIAT MODLI SIĘ ZA PAPIEŻA

Lekarze wykryli u Leona XIV nowotwór złośliwy: gruczolakorak płuca. We wtorek w rzymskiej Poliklinice Gemelli papież przeszedł operację, podczas której metodą wideochirurgii usunęto dolny płat prawego płuca. Operacja zakończyła się sukcesem, ale stan papieża jest poważny i nie wiadomo, czy w listopadzie zdoła wyruszyć w podróż do Ameryki Południowej. O powrót do zdrowia biskupa Rzymu modlą się wierni na całym świecie: od Polski i Włoch przez Strefę Gazy i Portugalie po USA. ©©



FOT. GREGORIO BORGIA/AP/IST NEWS

INFLACJA W POLSCE WYSTRZELIŁA

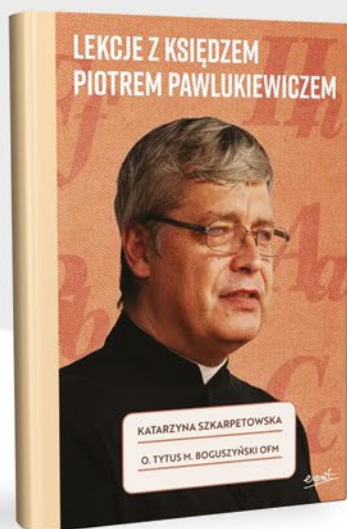
Główny Urząd Statystyczny skorygował w ubiegłym tygodniu w górę wrześniowy odczyt inflacji. W skali roku wskaźnik ten wyniósł aż 4,1 proc. (wobec 4,0 proc. w szybkim szacunku GUS z końca września). To oznacza, że inflacja znów znalazła się powyżej celu NBP (2,5 proc. +/- 1 p.p.). W relacji miesiąc do miesiąca tempo wzrostu cen wyniosło 0,7 proc. Według statystyków największy wpływ na skok inflacji miały ceny paliw. Skalę wzrostu CPI ograniczała zaś taniejąca żywność. ©©

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA, O. TYTUS
M. BOGUSZYŃSKI OFM: „LEKCJE Z KSIĘDZEM
PIOTREM PAWLUKIEWICZEM”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~612~~ zł

293,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 319 zł

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa,
nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy
o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami

W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl bdab5f60dd



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Przykrywka Ostateczna

Doświadczenie uczy, że coraz bardziej napinana struna w którymś momencie pęka. Ale tak jest w świecie materialnym, który podlega prawom fizyki. Możliwe, że w świecie polityki, rządzącej się swoimi prawami, jest inaczej i można przeciągać, napinać, podgrzewać czy, inaczej mówiąc, eskalować w nieskończoność.

Tak przynajmniej uważa Donald Tusk i tak się zachowuje. Po każdym kompromitującym jego rządy wydarzeniu – jak klęska w Krakowie i seksualno-narkotykowy skandal wprowadzonego przez niego na salony Michała Kołodziejczaka, a potem wyśmianie przez Internet mającego to przykryć mejlowego „zamachu” na premiera i zignorowanie mającej przykryć to z kolei

reaktywacji komisji od Pegasusa – sięga Tusk po tę samą Przykrywkę Ostateczną i podkreśla wojnę z prezydentem i opozycją. W tym tygodniu posłużył mu do tego, po raz kolejny, Trybunał Konstytucyjny. Próbuje wprowadzić doń siłowo swojego Berka i kilku innych niesędziów, którzy nie złożyli ślubowania wobec Prezydenta RP, rozpętał Tusk kolejne emocje. Jego posłani do mediów polityczni lokaje, na czele z Czarzastym i Żurkiem, dorzucili do dotychczasowych swych dokonania kolejną porcję obelg i fanfaronady, zaczęli już nawet straszyć, że za nieuznanie ślubowań do ściany usuną prezydenta z urzędu i postawią go przed sądem. Posłana pod Trybunał policja spałowała protestujących tam zwolenników opozycji, a do

mediów wypuszczono informację o ciągnących na Warszawę policyjnych posiłkach z prowincji.

Ale policja na teren Trybunału nie weszła, a Berek z niego wyszedł, skarżąc się na naruszenie nietykalności przez przewodniczącego Święczkowskiego (przypuszczam, że wątplię – dość zerknąć; gdyby Święczkowski rzeczywiście to zrobił, z Berka zostałaby mokra plama), i w sumie po zadymie wszystko pozostawało, jak było.

Ta nieustająca eskalacja bardzo szkodzi Polsce i ją niszczy. Ale to akurat Tusk ma tam, gdzie miał Komisję Wenecką, gdy mu kazała drukować wyroki Trybunału Konstytucyjnego (wtedy dla Tuska i Berka „nieistniejącego”) i zakazywała podważać status neosędziów. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Pokolenie Wokulskiego

Konfrontacja wyidealizowanego obrazu ukochanej kobiety z prawdziwym jej obliczem, rozczarowanie światem, do którego aspirował, i dojmująca pustka prowadzą Wokulskiego (w wersji kinowej) do samobójstwa. Prus, choć zostawia los Wokulskiego otwarty, to jednak klęska ideałów niespełnionego naukowca, powstańca, kupca i filantropa, zmierzch starożytności odchodzącego do historii jako karykatura rycerskiego narodu, rodzi dojmujące poczucie pesymizmu. Nie wiem, na ile Prus miał świadomość, że w świecie, z takim realizmem opisanym, rozgrywał się jeden z najbardziej niezwykłych procesów w naszych narodowych

dziejach, który ma zupełnie inny wydźwięk, rodzi nadzieję.

W pokoleniu Wokulskiego (pisarz sytuuje jego urodziny ok. 1832 r.) pojawia się grono niesamowitych postaci, w których życiorysach znajdujemy też romantyczną tęsknotę za wielkimi ideami, walkę o niepodległość, carskie prześladowania, pracę u podstaw i to, co łączy ich najbardziej z bohaterem „Lalki”, wielką miłość. Marcelina Darowska (1827), Honorat Koźmiński (1829), Rafał Kalinowski (1835), Bronisław Markiewicz (1842), Albert Chmielowski (1845), Jan Beyzym (1850), to tylko kilka nazwisk z licznej zastępy świętych i błogosławionych polskiego Kościoła.

Większość z nich miała bardzo podobne biografie. Zaczynali od zrywów patriotycznych, konspirowali, prowadzili tajne nauczanie w języku polskim, a potem następuje zwrot. Wybierają radykalnie służbę Bogu i bliźniemu. Ten zwrot dobrze oddają słowa jednego z nich, Bogdana Jańskiego (sekretarza Mickiewicza i twórcy zmartwychwstańców): „Niepodległa ojczyzna może odrodzić się tylko przez religijne i moralne odrodzenie narodu”. W odróżnieniu od Wokulskiego wyrażona w ich życiu wielka miłość realnie zmieniła Polskę. Zostawili po sobie preżne instytucje, zgromadzenia zakonne, zakłady lecznicze, domy pomocy, wydawnictwa, liczne szkoły i wiele innych dzieł. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Przytulmy Berka



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Bo dawno Krzyśka nie widziałem, co nie? Stop. To znaczy Rutkowskiego detektywa, więc właśnie. Stop. A tu się dowiaduję, że Michał Kołodziejczak ma jakieś poważne kłopoty z narkotykami, więc biorę i włączam telewizję i mnie aż wmurowało. Stop. Myślę sobie, o rany, poseł od Tuska Kołodziejczak z bossem narkotykowym, co tu się dzieje? Stop. Bardzo drogi garnitur, bardzo drogie zęby, bardzo drogie samochody, bardzo drogie włosy, bardzo droga broda, bardzo drogi zegarek, bardzo drogie złoto na klatce. Stop. I ten boss się odzywa i ja poznaję wtedy ten głos, no Krzysztof Rutkowski. Stop. No Krzysiu, szacunek, całkiem odciągnąłeś uwagę od Michasiowego nosa. To trzeba umieć. Stop. Tylko wiadomo, że wszystkim ostrożnie.

Maciej Berek poskarżył się w telewizji, że prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Świączkowski go poszarpał. Stop. Berek przyszedł do TK trochę z policją, a trochę ze Służbą Ochrony Państwa, która nie może go już chronić, bo Berek już nie jest ministrem, ale go chroniła i rozmawiał z prezesem. Stop. Różnica pięciu wag na niekorzyść występuje, ale Świączkowski ps. Godzilla go nie szarpał, przynajmniej nie było widać. Stop. Niemniej Berek, który by chciał być sędzią TK, ale nie będzie, bo nie złożył ślubowania wobec prezydenta, poczuł się poszarpany. Stop. Przytulmy Berka, nie zostawiajmy bliźniego z tym bólem... Stop.

Profesor Wojciech Sadurski, który jest członkiem Komisji Weneckiej oraz miłośnikiem obecnego rządu, skutecznie

i nadzwyczaj trafnie tę komisję skompromitował. Stop. Stwierdził ni mniej, ni więcej, że gdyby polski Sejm wybrał na sędziego Trybunału Konstytucyjnego konia, takiego z kopytami, nie że Romana Giertycha, to prezydent ma obowiązek przyjąć od konia ślubowanie. Stop. Sugerując, że prezydent Karol Nawrocki nie ma prawa kwestionować braku spełnienia ustawowych warunków bycia sędzią TK przez Macieja Berka. Stop. Komisja Wenecka jest organem doradczym Rady Europy i niech tak zostanie. Pol-sce niech już lepiej nie doradza. Stop. A prof. Sadurskiemu przy okazji polecamy lekturę najważniejszego w Polsce prawa, konstytucji. Artykuł 126 mówi m.in.: „Prezydent Rzeczypospolitej czuwa nad przestrzeganiem Konstytucji”. ©



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

UŚMIECH AWARYJNIE LĄDOWAŁ

Kącik humorystyczny. Popularna na Instagramie fryzjerka Marlena Mańko uległa modzie na „tureckie zęby”, czyli sztuczne nakładki w kolorze tzw. kiblowej bieli. Niedługo po zabiegu wsiadła na pokład samolotu lecącego do Mediolanu, gdzie miała odebrać ważną branżową nagrodę. Podczas lotu doszło do prawdziwej tragedii – po skosztowaniu czekolady nowe korony Mańko nagle odpadły. – Właśnie odpadły mi zęby w samolocie – zrelacjonowała szybko fryzjerka. Podeszła jednak do sprawy ze sporym jak na sytuację dystansem. – Lecę do Mediolanu na galę. Kreacja gotowa, humor dopisuje... i nagle moje tureckie korony postanawiają odłączyć się od wycieczki. Miałam odebrać nagrodę, a tu najpierw trzeba pozbiierać własny uśmiech! Trochę śmieszne, trochę straszne – opowiadała obserwatorom. Zadeklarowała, że do momentu lekarskiej konsultacji zamierza spożywać wyłącznie miękkie posiłki. Zaapelowała do swoich fanów, by nie wyciągali pochopnych wniosków i nie

obwiniali od razu tureckich dentystów. – Takie sytuacje mogą się zdarzyć, choć nie powinny być normą. A przyczynę powinien sprawdzić dentysta – sam kraj wykonania nie jest diagnozą. PS W poniedziałek idę do dentystki, żeby oceniła sytuację i zamocowała je ponownie, jeśli będzie to możliwe. Oby tym razem mój uśmiech miał bilet bez możliwości odwołania – przekazała.

PIZZAGATE

Recenzujący restauracje, bary i – generalnie rzecz biorąc – jedzenie youtuber Książuło przeżywa poważny kryzys wizerunkowy. Wszystko za sprawą współpracy z siecią Żabka, w której to sieci sklepach można dostać pizzę mrożoną sygnowaną twarzą i nazwiskiem Szymona Nyczke. Dlaczego internautów tak bardzo oburzyła współpraca? No bo Książuło zawsze deklarował, że nikomu się „nie sprzedaje”, będzie niezależny, a więc jego recenzje produktów pozostaną wiarygodne. Jeżeli wypuszczenie „książułowej” pizzy uznać za „sprzedanie się”, to obietnica została złamana. W jednym z ostatnich wideoblogów influencer skomentował utratę 20 tys. subskrypcji na YT. – Nie ma co zamiatać sprawy pod dywan. Takie są fakty. Może jakoś odbudujemy – stwierdził. Dalej skomentował aferę z pizzą. Podkreślił, że jego produkt nie wszystkim smakuje, ale i tak udało mu się wyprzedzić cały nakład. – Wiem, że opinie są różne. Jednym smakuje, drugim nie smakuje. Przede wszystkim dziękuję za to, że wykupiliście cały nakład. Teraz być może parę dni pizzy w Żabkach nie będzie – przyznał. – Jadę, jadę, ale nakład wyprzedany i myślę, że się z czasem obroni. Bo szczerze mrożonka... lepszej, mi się wydaje, nie ma – podsumował Książuło. Oburzenie oburzeniem, a swoje chłopak zarobił.

RYNEK PRAWDĘ CI POWIE

Swoje być może dostaną też artyści, ponieważ niedawno Sejm przyjął „lex Kapela” – ustawę o zabezpieczeniu społecznym osób wykonujących zawód artystyczny. Chodzi o tzw. emerytury dla artystów, który

to pomysł wywołał ogromne kontrowersje (teraz jednak cisza, bo są ważniejsze sprawy). Nowe przepisy przewidują dopłaty do składek emerytalnych artystów. Zapytani o tę kwestię bracia Golec przyznali, że nie wszyscy przedstawiciele branży zarabiają duże pieniądze. W rozmowie z Jastrzęb Post podkreślił, że ewentualna pomoc nie powinna być kojarzona wyłącznie z największymi gwiazdami. – Na pewno są artyści, którzy potrzebują wsparcia. Są tacy, którzy są kombinatorami, całe życie kombinowali. Jeżeli jest coś, co może to zweryfikować, to niech weryfikuje [...]. Taka sprzątaczką też chciałaby, żeby jej dopłacać do emerytury, kasjer też by chciał. A czy ma taką możliwość? No nie wiem, czy ma – stwierdzili Łukasz i Paweł Golcowie. Muzycy wskazują, że sukces, a dalej duże pieniądze zależą od tego, czy ktoś jest cennionym fachowcem. – Słaby artysta będzie głodował. Jeśli ktoś jest fachowcem, to będzie miał dobrą robotę – stwierdzili. Czyli weryfikować powinien rynek. Wszystko w rękach prezydenta.

PAŹDZIOCHOWA BEZ PRZYKAZAŃ

Z okazji niedawnych urodzin aktorki Renaty Pałys, która znana jest głównie z roli Heleny Paździoch w sitcomie „Świat według Kiepskich”, podcast „Mój Świat” przeprowadził z nią wywiad. Wśród tematów nie mogło zabraknąć, a jakże, wątku religii. Pałys nie ukrywa negatywnego nastawienia do wiary. – Za dużo religii poznałam, żeby mieć jakieś wybiórcze podejście. Nie istnieje dla mnie (religia), nie mam potrzeby wyznawania żadnej religii. Niepotrzebne mi 10 przykazań, żeby wiedzieć, jak przyzwocić żyć – wyznała „Paździochowa”. Zapewniła jednocześnie, że wiara u innych jej nie przeszkadza. – Natomiast szanuję każdą osobę, która jest religijna, bo jeżeli odczuwa taką potrzebę, to w porządku. Ja mam w rodzinie bardzo dużo religijnych osób. Nie lubię hipokryzji religijnej. To znaczy co innego robię, co innego mówię. Nie chcę i nie życzę sobie, żeby jakkolwiek religia wkraçała w moje prywatne życie – zakończyła aktorka. Dobrze, pani Renato, ale to pani dzwoni. ©



FOT. KAIROS EDU - AKADEMIA EDUKACYJNA / FACEBOOK



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, strasznie nas martwi powracający co jakiś czas dyskurs związany z przymusowym poborem do armii. Niestety sytuacja jest, jaka jest i co pewien czas musimy znosić te wszystkie informacje, jakie się pojawiają w przestrzeni publicznej o tym, że teraz to już na pewno będziemy mieć przy- najmniej obowiązkowe przeszkolenie, a docelowo dwa lata w kamaszach. Przecież my nawet nie wiedzieliśmy, co to są kamasze, a jak zgoogla- liśmy, to się okazuje, że średnio to pasuje do baggy jeansów, nawet na nieco starszej młodzieży :/.

Nie podoba nam się w wojsku przede wszystkim to, iż kładziony jest w nim nacisk na spraw- ność fizyczną i tężyznę, a naszym zdaniem kulturowanie wyłącznie przymiotów ciała w celach wykorzystania z niego jak narzędzia jest uwłaczające. Jeśli chodzi- my na siłkę, pilates czy bierzemy udział w różnych biegach, to po to, iżby strzelić sobie parę foci na instagrama i poczuć się jako część kolektywu dzielającego ten sam pogląd na must have content w me- diach społecznościowych (wyjaśnienie dla starszych osób z Podkarpacia: chodzi o takie treści, które muszą się znaleźć na insta, bo kiedy ich nie masz, to nie jesteś modny).

A tymczasem istnieje ryzyko, że w wojsku będziemy się czuć obco pośród elek- toratu, nie dość iż PiS i Konfederacji, to jeszcze Brauna. Bo na wydzielone oddzia- ły szturomowo-internetowe o zapatryw- a-

niu lewicowo-liberalnym, to chyba nie ma co nawet marzyć. I w takim towarzystwie mielibyśmy spędzić ile? Nawet weekend to wydaje się bardzo dużo, a poza tym my możemy mieć przecież jakieś plany na weekend, w końcu żyjemy w wolnym tymkrajku i wolno nam, co nie?



Kwestia żywienia. Kiedy jeździmy na różne krajowe bądź zagraniczne eventy, to co bardziej światli organizatorzy wysy- łąją ankietę, w której pytają o stosowaną dietę, nietolerancje pokarmowe (tu się można zastanowić nieco nad wordingiem, zawsze nam trudno, kiedy wpisujemy „nietolerancję” laktozy i potem musimy przeprowadzać rytuały godzenia się z mlekiem), dzięki czemu później nie ma przykrych niespodzianek na talerzu. A na takim przeszkoleniu wojskowym to pewnie co, ta słynna grochówka z wkład- ką mięsną, a my już dobrze wiemy, jakie żarty po zjedzeniu grochówki mogą opo- wiadać młodzi wyborcy prawicy. Nie jest to humor, który byłby nam bliski.

Martwi nas też taka z jednej strony heteronormatywność, a z drugiej homo-

geniczność w armii. Bo wiecie, pracując w międzynarodowym środowisku biznesowym, jesteśmy przyzwyczajeni do interakcji z osobami pochodzącymi z różnych kręgów kulturowych, dzięki czemu czujemy się ubogaceni i lepsi niż mieszkańcy takich zaściankowych małych

miejsowości, gdzie Polacy nawet rozwoją jedzenie. A tu bylibyśmy zamknięci z sa- mymi Polakami, co wydaje nam się, biorąc pod uwagę nasz background kulturowy, bardzo słabe, nierozwijające i smutne jak Radom w listo- padzie.

No i wreszcie, czy nas w ogóle ktoś pytał o zdanie? Przecież tak na dobrą spr- awę, to my nie powinniśmy robić rzeczy, na które nie mamy ochoty. Z jakichś po- wodów jednych miejsc unika-

my, a inne wybieramy. A tu nie dość, że zostalibyśmy do czegoś przymuszeni, to jeszcze nie mielibyśmy możliwości robie- nia wieczorami tego, na co mamy ochotę, bo na terenie koszarów pewnie nie ma żadnego multitapa, sali do squasha czy pilatesu z instruktorem, już nie mówiąc o jakimś luźnym wieczorze przy sushi.

Chcielibyśmy więc, iżby te całe szko- lenia pozostały wyłącznie dla chętnych. No i of kors wyłącznie dla mężczyzn, iż wszystkie patriarchalne przywileje powinny zostać zrównoważone jakąś niedogodnością. Mamy nadzieję, że nasze frendziary z kolektywu to czytają! ☺☺



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Tomiszczcza grafomanki

Donald, a ty coś czytałeś tej całej Tokarczuk?

Zwariowałaś, Marta? Ja nie mam co robić? Ty widziałas, jakie tomiszczza ta grafomanka wypuszcza?

No wiem... Długie. Ale...
Bo ja mam z nią spotkanie i myślałem, że mi streścić coś.

Weź wrzuc do ej aj i poproś, żeby ci znalazła ze trzy fajne miejsca. O streszczenie nie pros, tego bełkotu się nie da streścić.

I to będzie okej?

A ty myślisz, że ona sama pamię- ta, co tam napisała? ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pragnę zauważyć Kochani z Krakowa skutecznie utrudniacie rządzenie wspaniałemu Premierowi Tuskowi. Niezależnie od małych racji”.

LECH WAŁĘSA na Facebooku

dwaj panowie g

Uwaga! Zdybaliśmy białego wieloryba, okapi, jednorożca czy jak kto chce, Latającego Holendra! Zwierzę to zwie się pakt senacki. Wszyscy o nim mówią, nikt go nie widział. My widzieliśmy. To znaczy słyszeliśmy, jak wygląda pierwsza poważna przymiarka. Otóż podstawą paktu mają być okręgi, w których PiS zdobył fotele senatorskie. Plus 19 okręgów, gdzie prawica miejsc w Senacie nie zdobyła, ale za to Karol Nawrocki wygrał w drugiej turze, więc jest potencjał na zwycięstwo. Łączna liczba takich okręgów to już ponad połowa miejsc w przyszłym Senacie.

Słyszeliśmy również o pierwszych przymiarkach do tego, jak rozdzielić miejsca w pakcie senackim pomiędzy uczestników paktu. Otóż 17 miałyby dostać PiS. Dziesięć – Konfederacja Dwójga Nazwisk Bosakomentzena. Sześć – STROP, czyli Rozwój Plus. Kilka trafiłoby do Korony Brauna. A co z resztą – zapytacie? Reszta to byłaby tzw. pula prezydencka. Nietrudno się zatem domyślić, gdzie wypracowano tę kompromisową propozycję.

Pakt senacki w takim kształcie oznacza oczywiście chryję w PiS, gdzie nie dość, że jest ponad trzydziestka senatorów i wszyscy marzą o reelekcji, to jeszcze naczelnik obiecał killkunastu posłom, że tym razem będą startować do Senatu. A tu wychodzi, że biorących miejsc będzie o połowę mniej niż w 2023 r. Chcielibyśmy wylać kubeł zimnej wody na dymiące czachy: otóż ze wszystkich wyliczeń wynika, że bez paktu senackiego PiS weźmie maksymalnie 14 foteli w Senacie.

A teraz najważniejsze wydarzenia zeszłego tygodnia. Podsluchaliśmy, jak prokuratorzy komentują próbę wtargnięcia Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego. Zdecydowanie powątpiewali w wersję, że doszło do szarpaniny. „Gdyby Boguś go szarpnął, to drugie szarpnięcie kwalifikowałoby się na znieważanie zwłok” – usłyszeliśmy. Zważywszy na posturę prezesa Trybunału, wcale nie wątpimy.

Ze swojego przełożonego żartują natomiast policjanci. A konkretnie z nieudanej próby zajęcia Trybunału. Poszła plotka, że policjanci odmówili



FOT. ROBERT CAROZINSKI

wykonania polecenia służbowego. Nie do końca tak było. Prawda była taka, że nie było za bardzo kim szturmować, bo cztery kompanie oddziałów prewencji były na ćwiczeniach. W tej sytuacji оголоcono warszawskie komisariaty, przede wszystkim na dworcach i w metrze. A także ściągnięto policjantów spoza Warszawy.

Generalnie to czujemy lekkie zażenowanie w związku z akcją pod Trybunałem. Zażenowanie wywołane jest tym, że wszystkie trzy Konfederacje straciły okazję, żeby siedzieć cicho. To znaczy, żeby zamiast nadawać bezmyślnie na PiS, po prostu bronić praworządności, której podobno są miłośnikami. Zastanawiamy się nad przyczyną: czyżby mentzenowcy, bosakowcy i braunowcy nie wiedzieli, że przejęty przez Tuskoberka Trybunał będzie wobec nich jeszcze bardziej przyjaźny niż, powiedzmy, Państwową Komisję Wyborczą grubego Rycha Kalicha?

Czytelnicy pytają, co teraz z tym Berkem. Znaczą, kim obecnie jest, no i w ogóle. Odpowiedź na pytanie pierwsze jest prosta: jest obecnie osobą nieposiadającą zdolności do pełnienia funkcji sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Na pytanie „no i w ogóle” odpowiedź jest trudniejsza, ale też ją znamy.

Tak w ogóle to Berek coś złożył. Nie możemy nazwać tego ślubowaniem, bo sędziowie TK składają ślubowanie przed prezydentem. Powstaje zatem kwestia, jak właściwie nazwać tę czynność wykonaną przez Berka przed Wielkim Przewodniczącym Czaa. Otóż nazywać ją będziemy „obiecankowaniem”. Czytelnicy przygód Tytusa, Romka i A'Tomka pamiętają zapewne, jak w X Księdze Przygód wygłosili oni następującą formułę: „Obiecankujemy brać udział we wszystkich wymyślonych przez Papcia przygodach: w powietrzu, na ziemi, w wodzie, gdziekolwiek nas Papcio narysuje”. Jedyna różnica polega na tym, że w miejsce Papcia wpisujemy Tuska.

Tymczasem pod Trybunałem. Bardzo zainteresował nas zarzut lidera morawian znanego jako Ojciec Mateusz, że PiS ukradł STROP pomysł (STROP to, jak pamiętacie, Stowarzyszenie Rozwój Plus).

Zawsze kręcą nas newsy kryminalne. Cóż to za tajny pomysł? – zapytacie. Ano taki, żeby zrobić manifestację pod TK w obronie TK. Przyznacie sami, głębokie przekonanie Morawieckiego, że po jego odejściu nie ma w PiS już żadnej osoby nawet ze szczątkowym mózgiem, żeby wymyślić takie oryginalne działanie, świadczy najlepiej o jego obecnej opinii na temat Partii Matki.

Tymczasem w Partii Matce. Wyrzucono z niej niewierną córę, Izabelę Kloc. Niewierność córy polegała na tym, że odeszła... Nie, no właśnie nie odeszła. Na tym, że publicznie popierała... Nie, no właśnie nie popierała. Na tym, że pojawiła się na... Nie, no właśnie nie pojawiła się. Otóż wielka wina gwiazdy górnośląskiego PiS, europosłanki i posłanki, polegała na tym, że zamieściła w soszłach zdjęcie ze spotkań STROP. Oczekujemy teraz wycięcia Izabeli Kloc ze wszystkich zdjęć, na których znalazła się z Jarosławem Kaczyńskim lub innymi ważnymi osobami z PiS. Nigdy jej tu nie było, nikt jej nie zna. W ogóle kim ta pani jest?

Wzwiązku z przypadkiem Izabeli Kloc, w której ocenie akurat się różniły od Partii Matki, gdyż znamy ją i cenimy, oczekujemy dalszej eskalacji w walce z odchyleniem bucharinowsko-stropowskim. Proponujemy wyrzucenie z partii wszystkich, którzy pobierają świadczenie „500+” (obecnie znane – o zgrozo! – jako „800+”), ten ponury relikw z mrocznych czasów, gdy nieodpowiedzialni etatyści z frakcji Morawieckiego rozdawali na lewo i prawo publiczne pieniądze w ramach transferów socjalnych.

Apropos wyrzucania z PiS. Dolny Śląsk nadąza za Górnym Śląskiem! Za odchyleniem bucharinowsko-stropowskie wyrzucono z partii burmistrza Bogatyni. Sprawili to, że burmistrz Wlenia sam odszedł, nie czekając, aż go wyrzucą. Następnie lokalny trybunał pod wodzą Elżbiety Witek rozwiązał cztery komitety, łącząc je w dwa, oraz wyrzucił sześciu szefów komitetów. Nie do końca rozumiemy tę matematykę, ale nic to, wszystko na chwałę hasła: „Jak świat światem, nie będzie morawianin pisowczykiem bratem!”.

Tymczasem w Krakowie. To nieprawda, że Monika Piątkowska z kretesem przegrała wybory w mieście Wawelu, Dziwisza i Szymborskiej. Otóż była jedna komisja, w której nie tylko rozłożyła swojego rywala na łopatki, lecz także wyniki podkreśliły przywiązanie Krakusów do wieloletniej tradycji. Mianowicie w miejscowym zakładzie karnym pani senator wykreśliła niebotyczny wynik, zbierając ponad 72 proc. głosów.

Nikt już nie pamięta, że miniony tydzień zaczął się od strasznego zamachu groźnego terrorysty na najświętszego, najbardziej umiłowanego jaśnie pana premiera. Ani tego, że za falę przemocy w szkołach umiłowany jaśnie pan premier oskarżył grę „Minecraft”. Oczekujemy, że z początkiem nowego tygodnia dostaniemy newsy co najmniej równie emocjonujące. Proponujemy zacząć od wiadomości o związku klocków Lego z gwałtami na imigrantach, a potem płynnie przejść do ducha bin Laden'a wysypującego nocami premierowi do kawy trociny.

Odprysk z afery Collegium Humanum. Otóż śledczy odkryli, że jedną z ważniejszych postaci w tej układance jest pewien katolicki purpurat, na co dzień prowadzący krucjatę przeciw gejom. A stara zasada mówi, że drogowskazy zwykle nie łożą drogami, które pokazują. Najlepiej wie o tym jego młody i przystojny ksiądz sekretarz. Oraz całkiem spore grono młodzieńców.

Jeśli ktoś chciałby się oburzać rzymskokatolicką obłudą, to dodajmy, że grono przyjaciół byłego rektora CH jest prawdziwie ekumeniczne. Są tam też protestancki teolog, mnich prawosławny i kilku duchownych nie rzymsko-, ale polskokatolickich. Ech. A mówią, że brak celibatu chroni przed skłonnościami do młodych chłopców.

Na zakończenie drobniaczek z wyższych sfer. Europejskich. Ładna scenka miała miejsce w warszawskim hotelu Bristol. W tamtejszej kawiarni pewna dziennikarka wypatrzyła Adama Bielana. Nie chcąc mu przeszkadzać, wysłała SMS-em prośbę: „Zapraszam do mojej audycji”. Odpowiedź przyszła po chwili: „Nie dam rady, jestem w Brukseli”. ©

SZTURM NA TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY

Maciej Berek złożył w środę w gabinecie marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego „ślubowanie” na sędziego Trybunału Konstytucyjnego bez udziału głowy państwa. Sam Berek oświadczył jednak, że składa ślubowanie „wobec prezydenta”.

– To scenariusz istnego cyrku – tak prezydent Karol Nawrocki w wywiadzie dla Polsat News i Interii określił okoliczności tego aktu.

– Jeśli są wątpliwości formalne i strategiczne, natomiast najważniejsze są te formalne w odniesieniu do pana ministra Berka, to mam obowiązek nie przyjmować takiej przysięgi od ministra Berka – oznajmił prezydent. Wyjaśnił, że Kancelaria Prezydenta wciąż czeka na dopełnienie obowiązku, czyli dokumenty potwierdzające 10 lat pracy pana ministra Berka jako radcy prawnego. Karol Nawrocki zaznaczył, że nie można stawiać Polaków w takiej sytuacji, „w której aplikujący do zwykłej codziennej pracy w korporacji, czy to student, czy pracownik, musi wykazać się swoim doświadczeniem, inaczej tej pracy nie dostanie, a pan minister Berek nie musi, bo jest od premiera Donalda Tuska” – „Ja jako prezydent Polski za ten chaos, który od wielu lat trwa w Trybunale Konstytucyjnym, nie odpowiadam i nie chcę w nim uczestniczyć, natomiast chcę go rozwiązać. I stąd moje decyzje – tłumaczył prezydent.

Z takim stanowiskiem głowy państwa nie zgodziło się ośmiu sędziów TK, którzy w opublikowanym w piątek oświadczeniu zaznaczyli, że „konstytucja nie przewiduje żadnych kompetencji prezydenta w zakresie wyboru sędziów Trybunału Konstytucyjnego”.

Przed gmachem Trybunału Konstytucyjnego przez kilka dni trwały protesty m.in. Klubów „Gazety Polskiej” i Ruchu Obrony Granic. „Obudź się, Polsko!”, „Precz z komuną!” – skandowali demonstranci. Doszło również do przepychanek protestujących z policją. – Atak siłą na Trybunał Konstytucyjny to zamach stanu i tak powinien być traktowany – stwierdził przed siedzibą TK prezes PiS Jarosław Kaczyński, przekonując, że skoro atak był „całkowicie bezprawny”, to obrona Trybunału Konstytucyjnego przez manifestujących jest „uzasadniona”. ©







FOT. ADAM GIESTOWSKI/FOPIUM

„Fort Trump” nad Wisłą?



Adam Wielomski

W Polsce pojawiła się nadzieja, że Donald Trump podejmie przełomową decyzję o budowie w naszym kraju stałej bazy wojsk USA, co ma nam wreszcie zapewnić bezpieczeństwo militarne ze strony Federacji Rosyjskiej. W tym tekście mam zamiar nieco zepsuć ten świąteczny nastrój, przytaczając fakty, snując wątpliwości i zadając trudne pytania. W polityce międzynarodowej należy bowiem kierować się zimną kalkulacją strat i zysków, a nie hałaśliwym jazgotem mediów

Zacznijmy od tego, że wcale nie jestem pewny, że ta baza amerykańska w Polsce powstanie. Panuje u nas przekonanie, że wszystko zależy od dobrego humoru Donalda Trumpa, który – jeśli wstanie z łóżka prawą nogą – to bazę zbuduje, a jeśli wstanie lewą nogą, to

żadnej bazy nie będzie. Równie infantylny jest pogląd, że budowa takiej bazy zależy od tego, czy premierem będzie w Polsce Donald Tusk czy też faworyzowany przez Waszyngton Władysław Kosiniak-Kamysz, np. stojący na czele koalicji PSL-PiS-Konfederacja, a bazy takiej nie będzie, jeśli

w przyszłym rządzie będzie „antysemita” Grzegorz Braun etc. To są kwestie drugorzędne. Poważne państwa kierują się swoimi długofalowymi interesami, a nie kaprysmi i górnolotnymi hasłami. Stany Zjednoczone to nie Polska. To państwo poważne! Sama możliwość budowy takiej bazy zależy nie od kaprysu narcyza wielkoścowego mieszkającego w Białym Domu, lecz od stosunków pomiędzy USA a Rosją. Przypomnijmy: nadal obowiązujące porozumienie o zjednoczeniu Niemiec między Stanami Zjednoczonymi a ówczesnym ZSRS, którego Rosja jest prawnym sukcesorem. W zamian za zgodę Moskwy na to zjednoczenie ustalono, że nie będzie stałych baz amerykańskich na wschód od Odry. Co prawda Amerykanie ducha tego porozumienia systematycznie łamią, gdyż na wschód od Odry stacjonują ich wojska, ale są to cały czas jednostki rotacyjne, co ileś miesięcy zmieniane, aby zachować

pozór zgodności z literą porozumienia, że nie są to bazy „stałe”. I w ten też sposób tłumaczą Rosjanom swoją militarną obecność. Zbudowanie stałej bazy wymaga zatem decyzji politycznej albo jednostronnego złamania tego porozumienia przez Waszyngton i pogorszenia stosunków z Rosją, albo dogadania się z nią w kwestii – jak to mówią Rosjanie – „ogólnej architektury bezpieczeństwa”, w wyniku którego porozumienia Moskwa tę zmianę zaakceptuje w zamian za jakieś inne ustępstwa np. kosztem Ukrainy.

Prawdopodobnie z wyżej opisywanego powodu administracja Trumpa negocjuje, zwleka, przeciąga sprawę, traktując sprawę baz nie w perspektywie polskiego bezpieczeństwa, lecz jako argument w dialogu z Putinem o tejsze „architekturze bezpieczeństwa”. Odnoszę wrażenie, że w Polsce praktycznie do nikogo ten fundamentalny aspekt dyskusji nie dociera i stąd to infantylne przekonanie, że to kaprys Trumpa zależny od tego, kto w danym momencie rządzi w Polsce i z kim ma w tej sprawie negocjować.

ARGUMENT „ZA”

Argument za zbudowaniem w Polsce bazy amerykańskiej właściwie jest tylko jeden, lecz jest on bardzo mocny: stałe (a nie „rotacyjne”) stacjonowanie na terenie Polski amerykańskich żołnierzy zdecydowanie zwiększy nasze bezpieczeństwo. Jako jedyny ewentualny wróg mogący nam zagrozić militarnie wymieniana jest Federacja Rosyjska. Miałaby ona nie odważyć się dokonać militarnej agresji na Polskę, podobnej do agresji na Ukrainę, wiedząc, że na naszym terenie znajduje się baza amerykańska. Mogłoby bowiem wtedy dojść do bezpośredniego starcia wojsk rosyjskich z amerykańskimi, co uruchomiłoby całą tzw. drabinę eskalacyjną, na której końcu jest trzecia wojna światowa, włącznie ze scenariuszem konfliktu nuklearnego. Baza amerykańska byłaby zatem gwarancją integralności Polski i niedopuszczenia do takiej rosyjskiej agresji, którą nastąpiła w lutym 2022 r. na Ukrainie.

Uznaję tę argumentację za całkowicie słuszną i logiczną, przy jednym założeniu wstępnym: Polska jest hipotetycznie zagrożona przez rosyjską inwazję lądową z terenu obwodu królewieckiego i z Białorusi. Tutaj oczywiście zaraz pojawia się

kwestia tzw. przesmyku suwalskiego, aby w razie konfliktu zbrojnego Rosji z NATO armia rosyjska mogła połączyć drogą lądową tenże obwód z rosyjską macierzą, gdyż zaopatrywanie go drogą morską byłoby prawdopodobnie niemożliwe ze względu na siły morskie i lotnictwo NATO operujące na Bałtyku. W dalej jeszcze idącym wariacie Polska miałaby być korytarzem, po którym wojska rosyjskie miałyby zaatakować Europę Zachodnią, aby odbudować upadłe imperium radzieckie, tyle że bez komunistycznej ideologii.

PYTANIA I WĄTPLIWOŚCI

Prawdę mówiąc, zarysowane tutaj scenariusze rosyjskiej agresji wydają mi się wątpliwe i mam wobec nich wiele pytań. Po pierwsze, właściwie po co Rosja miała by rozpoczynać wojnę z Europą i z NATO? Jakże Moskwa ma roszczenia terytorialne do Europy, aby rozpoczynać z nią wojnę podobną do konfliktu zbrojnego z Ukrainą? Zgodnie z obowiązującą w Rosji tzw. doktryną Miedwiediewa jedynym terenem spornym Rosja-NATO są kraje nadbałtyckie, będące kiedyś częścią ZSRS i mające liczną mniejszość rosyjską (szczególnie Łotwa i Estonia). Prawdę mówiąc, to polityka dyskryminacji mniejszości rosyjskiej w tych państwach i radykalna retoryka antyrosyjska Wilna, Rygi i Tallina konflikt ten podsyca i strategii tej nie pojmuję. Polska ani nie była częścią ZSRS, ani nie ma tutaj mniejszości rosyjskiej. Moskwa nie ma do nas żadnych roszczeń terytorialnych ani gospodarczych. Nie słyszę też, aby chciała odbudować swoją bazę w Legnicy. Jeśli gdziekolwiek mieliby stacjonować żołnierze USA, aby bronić „wschodniej flanki NATO”, to powinni stacjonować w państwach nadbałtyckich, a nie pod Poznaniem lub Wrocławiem (takie lokalizacje przyszłej i ewentualnej bazy są podawane). Jednak w Nadbałtyce Amerykanie swoich baz zakładać nie chcą, gdyż wiedzą, że naraziliby swoich żołnierzy na udział w autentycznym konflikcie zbrojnym, gdyby do niego doszło, a już samo porozumienie o budowie takiej bazy zmroziłoby stosunki amerykańsko-rosyjskie, co pchnęłoby Putina do zacieśnienia sojuszu z Chinami. A tego Waszyngton absolutnie nie chce! Dlatego sprawa amerykańskich baz pod Rygą lub Tallinem nie istnieje nawet w teorii. Zamiast tego słyszymy o bazach na zachodnich kresach Polski.

Po drugie, nie bardzo widzę potencjał rosyjski do ataku na Polskę. Armia Rosji to nie to samo co armia Związku Sowieckiego. Putin dosłownie robi co może, aby nie stracić poparcia opinii publicznej i nie decyduje się na powszechną mobilizację rezerwistów, walcząc na Ukrainie tylko i wyłącznie żołnierzami najemnymi. Zresztą zmobilizowani rezerwiści staliby się ofiarą rzezi na współczesnym polu bitwy zdominowanym przez drony, wobec których nie umieliby się na początku zachować. Konflikt ukraińsko-rosyjski unieważnił wszystko, co wiemy o wojnie manewrowej i przełamujących atakach zmasowanych sił pancernych, charakterystycznych dla blitzkriegów z drugiej wojny światowej i ostatnio powtórzonych w czasie wojny USA z Irakiem. Drony unieruchomiły siły pancerne i wojna wróciła do okopów, przypominając dziś powtórkę z pierwszej wojny światowej. Dlatego rosyjski atak pancerny z Kaliningradu i Białorusi nam nie grozi. Rosja ani nie ma zasobów na prowadzenie takiej kolejnej wojny, ani nie ma jak tego uczynić technicznie. Nie tylko Rosja, lecz także Trump z powodu dronów nie zdecydował się wysłać swoich sił lądowych przeciwko Iranowi. Słowem, wielkie armie pancerne zostały usunięte z pola współczesnych bitew i trudno dziś wyrokować, czy kiedykolwiek jeszcze wrócą.

Stąd też żaden z najbardziej prowokacyjnych zachodnich przywódców nie twierdzi dziś, że Europie grozi rosyjski atak konwencjonalny w starym stylu. 30 września 2026 r. szef NATO Mark Rutte stwierdził publicznie: „Nie ma bezpośredniego zagrożenia dla terytorium NATO”, dodając, że „będziemy bronić każdego skrawka terytorium NATO. Takiego zagrożenia teraz nie ma, a jeśli coś się wydarzy, jesteśmy gotowi zareagować”. 24 września 2026 r. przyznał to, tak chętnie podgrzewający wojenną atmosferę, premier Donald Tusk mówiąc: „Nie grozi nam inwazja. Nic na to nie wskazuje. Nie mówimy o wojnie takiej, jaka się toczy w Ukrainie, z frontem, czołgami. Natomiast musimy być przygotowani [...] na te paskudne formy presji, te hybrydowe formy wojny, jakie Rosja niestety doskonali”.

Zgadzam się z tymi ocenami, ani Polsce, ani Europie, ani nawet w tej chwili Nadbałtyce nie grozi jakakolwiek wojna z Federacją Rosyjską, podobna do konfliktu

zbrojnego na Ukrainie. I powody braku tej groźby są dwa, tzw. dronizacja współczesnej wojny i brak odpowiedniego potencjału ze strony Rosji, która posiada mniej więcej połowę stanu demograficznego i militarnego upadłego imperium radzieckiego. Dlatego żaden „Fort Trump” czy inaczej nazwana stała baza amerykańska nie ochroni nas przed rosyjską agresją lądową, gdyż taka nam w ogóle nie zagraża. Chyba że to państwa Europy Zachodniej sprowokują jakiś konflikt z Rosją, aby mieć paliwo do federalizacji Unii Europejskiej i pretekst do wprowadzenia cenzury, stanu nadzwyczajnego i nieprzeprowadzenia wyborów prezydenckich we Francji oraz parlamentarnych w Niemczech czy w Polsce, które mogłyby wygrać eurosceptycy i siły antyestablishmentowe. Nie raz już o takiej możliwości pisałem, także na tych łamach. Lecz wiara w to, że Stany Zjednoczone dadzą się wmanewrować w konflikt militarny z Rosją, aby CDU mogła utrzymać władzę w Niemczech, Macron we Francji, a Ursula von der Leyen nad Unią Europejską, jest naiwnością. Bez względu na liczbę baz w Polsce.

HIPOTETYCZNY KONFLIKT

Generał Leon Komornicki (były zastępca szefa Sztabu Generalnego WP) w lipcu 2026 r. powiedział: „Polska jako taka nie jest dzisiaj celem, przeciwko któremu Rosja byłaby gotowa przeprowadzić wojnę konwencjonalną. Rosja nie jest w stanie tego zrobić. Natomiast pojedyncze czy nawet grupowe uderzenia jest w stanie wykonać poniżej progu wojny”. To samo niedawno stwierdził gen. Mieczysław Bieniek (były zastępca dowódcy Strategicznego Dowództwa NATO): „Rosja eskaluje, niemniej jednak przestrzega w jakiś sposób, żeby nie doszło do eskalacji konwencjonalnej, aby nie został uruchomiony artykuł piąty [NATO – przyp. A.W.]”. Jak więc mógłby wyglądać potencjalny konflikt Polski i Europy z Rosją?

Gdyby do niego doszło, to realne scenariusze są dwa. Pierwszy to różnego rodzaju działania hybrydowe, czyli wlatujące drony, trafienie jakiegoś obiektu „zabłąkaną” rakietą, działania terrorystyczne i cyberataki. Zachodnie elity twierdzą, że taki stan ma już miejsce, przy czym przedstawiane dowody wydają się być słabe, a wiele przypisanych Rosjanom ataków później po cichu jest dementowanych.

Przykład Arabii Saudyjskiej pokazuje, że bazy USA nie tylko nikogo nie obroniły, lecz także mogą same przyciągać rakiety i drony

Jeśli jednak część z nich rzeczywiście jest dziełem wywiadu rosyjskiego, to obecność stałej bazy amerykańskiej w Polsce nie ma na nie najmniejszego wpływu. Przecież amerykańscy żołnierze nie będą patrolować torów lub strzec zakładów przemysłowych w Polsce, a zdarzenia takie nie wywołają wojny NATO-Rosja z amerykańskim udziałem.

Druga możliwość to otwarty konflikt zbrojny. Z powodu tzw. dronizacji współczesnego pola walki nie należy spodziewać się ataku siłami lądowymi, wraz z przełamującymi uderzeniami pancernymi. Konflikt taki miałby charakter powietrzny i polegałby na atakach ракет balistycznych i dronów. Tak jak drony uziemiły siły pancerne, tak raketowe systemy przeciwlotnicze uziemiły lotnictwo, które w konflikcie na Ukrainie ogranicza się do ataków za pomocą bomb szybkobieżnych, które zrzuca się z powietrza nad własnymi wojskami, aby nie znaleźć się w zasięgu rażenia systemów raketowych przeciwlotniczych. W razie konfliktu moglibyśmy się spodziewać ataków Iskanderów, pocisków hipersonicznych lub dronów na bazy, lotniska, mosty, siedziby telewizji ogólnokrajowych, elektrownie etc. Baza amerykańska i stacjonujący w Polsce amerykańscy żołnierze nie byłoby w stanie im zapobiec, tak jak nie byli w stanie zapobiec niedawnym bombardowaniom Arabii Saudyjskiej, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Bahrajnu i Kuwejtu przez Iran. Przypomnę: we wszystkich tych państwach były bazy amerykańskie, które wystrzelały większość pocisków typu Patriot, po czym okazało się, że odbudowa zapasów wymaga pięciu lat i więcej strzelać nie są w stanie. Dlatego obawiam się, że w ewentualnych Forcie Trump systemów antybalistycznych w ogóle nie będzie. O ile w konflikcie zbrojnym typu hybrydowego bazy amerykańskie nie mają żadnego znaczenia, o tyle w konflikcie raketowo-dronowym amerykańscy żołnierze będą mogli tylko

leżeć na leżakach i obserwować latające nad Polską Iskandery i Geranie.

Dopóki w USA rządzi Trump, a w Rosji Putin, dopóty światu nie grozi trzecia wojna światowa wraz z konfrontacją amerykańsko-rosyjską. Gdyby jednak do niej w przyszłości hipotetycznie doszło, to przykład Arabii Saudyjskiej pokazuje dobrze, że bazy amerykańskie nie tylko nikogo nie obroniły, lecz także mogą same przyciągać rakiety i drony niczym czerwona płachta byka. Stąd też zawarty ostatnio układ między Saudami – Turcją – Pakistanem, czyli tzw. islamskie NATO, którego celem jest stworzenie systemu bezpieczeństwa poza Waszyngtonem, którego bazy nie zapewniły nikomu bezpieczeństwa. Pamiętajmy: obecność baz USA może nas wciągnąć w dziejącą się na innym obszarze wojnę USA-Rosja. O tej możliwości zapominamy.

KOSZTY

Wedle różnych dostępnych mi ocen koszty wybudowania infrastruktury dla bazy amerykańskiej wyniosą od 10 do 17 mld zł, przy czym aktualny szef MON podaje kwoty 15–17 mld. Jest to koszt jednorazowy. Dodatkowo mamy dopłacać do każdego amerykańskiego żołnierza ok. 15 tys. dol. rocznie, a miałyby ich być ok. 15 tys. (ok. 5 tys. stałych i 10 tys. rotacyjnych). Razem daje to 225 mln dol. rocznie, czyli ok. 0,9 mld zł co roku. Koszt jest oczywiście znaczący, lecz jeśli by doprowadził do znaczącego zwiększenia obronności Polski, to byłby opłacalny, szczególnie że byłoby to mniej niż 1 proc. rocznego budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej. Oczywiście mowa o kosztach corocznego utrzymania żołnierzy, gdyż budowa infrastruktury musiałaby iść ze specjalnych środków, które minister Domański będzie musiał w cudowny sposób wyczarować (a już są sygnały, że będzie z tym problem).

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, wykazuję wobec pomysłu budowy bazy USA w Polsce sceptycyzm, szczególnie, że sam pomysł nijak się ma do idei zmniejszenia amerykańskiej obecności wojskowej w Europie. Co więcej, nie zdziwię się, że może się okazać, iż cały pomysł to tylko element negocjacji Trumpa z Putinem w sprawie „globalnej architektury bezpieczeństwa”. My się zachwycimy i na końcu Trump o sprawie zapomni.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ćwiczenia z udziałem żołnierzy
Wielonarodowej Dywizji Północny
– Wschód oraz 2. Pułku Kawalerii
Armii Stanów Zjednoczonych,
Orzysz, 19 maja 2023 r.

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

Czy „Fort Trump” na pewno nas wzmocni?



Łukasz Warzecha

Polacy chcą poczucia stabilności. Ogromny oddech ulgi dałoby zapewne zakończenie lub przynajmniej zamrożenie wojny rosyjsko-ukraińskiej, na to się jednak nie zanoszą. Dlatego instalacja stałej amerykańskiej bazy w Polsce jest uznawana za substytut takiego faktu

W w sondażu dla Wirtualnej Polski 88,6 proc. respondentów opowiedziało się za powstaniem stałej amerykańskiej bazy wojskowej w Polsce. Może się to wydawać zaskakujące, wzięwszy pod uwagę, że niespełna 12 proc. osób, które się pod tym projektem nie podpisują, to wyraźnie mniej niż zsumowane elektoraty obu Konfederacji, w których najwięcej jest sceptyków bliskiego wiązania się z USA. Ba, akceptacja dla tego pomysłu jednocy najwyraźniej wyborców proamerykańskiego do przesady PiS oraz wyborców Koalicji Obywatelskiej, których stosunek do obecnej amerykańskiej

administracji jest, najdelikatniej mówiąc, sceptyczny.

Skąd zatem taka jedynomyślność? Ogromna część Polaków jest bardzo znudzona nie tyle nawet wojną na Ukrainie – choć nieustanne wałkowanie kolejnych nalotów czy szczegółów z frontu przez prorządowe media bywa trudne do strawienia – ile bardziej ogólnym poczuciem zagrożenia i niepewności. Na możliwości wzmacniania tych sentymentów żeruje władza, starając się czerpać z tego potrojną korzyść. Po pierwsze – wiadomości o potencjalnym zagrożeniu maskują olbrzymie problemy wewnątrz kraju. Po drugie – mogą spowodować efekt flagi,

szczególnie cenny przed wyborami. Po trzecie – służą jako uzasadnienie dla cenzury i ograniczania wolności obywatelskich.

Mają jednak i ten efekt, że jak kania dżdżu Polacy chcą poczucia stabilności. Ogromny oddech ulgi dałoby zapewne zakończenie lub przynajmniej zamrożenie wojny rosyjsko-ukraińskiej, na to się jednak nie zanoszą. Dlatego instalacja stałej amerykańskiej bazy w Polsce jest uznawana za substytut takiego faktu. Większość respondentów rozumie zapewne w bardzo prosty sposób: jak już Amerykanie zainstalują się u nas na stałe, będziemy bezpieczni i wreszcie będzie można wrócić do normalnego trybu funkcjonowania. To oczywiście myślenie złudne.

STRACH PRZED POWTÓRKĄ Z JAPONII

Przeciwnicy budowy bazy przywołują kilka argumentów, które warto rozważyć poważnie. Jednym z nich jest kwestia zasad funkcjonowania amerykańskich żołnierzy w Polsce. W tym kontekście

■ najczęściej przywołuje się problemy z bazami USA w Japonii, gdzie wielokrotnie dochodziło do naruszeń prawa przez Amerykanów, z gwałtami na Japonkach włącznie, a instrumenty prawne nie zawsze zapewniały sprawiedliwe ukaranie winnych. Co do zasady jednak amerykańsko-japońska umowa SOFA (Status Of Forces Agreement to standardowy rodzaj umów, zawieranych na całym świecie, gdy wojska jednego państwa stacjonują na terytorium innego; taką ramową umowę ma również NATO) powierza Japonii odpowiedzialność za ściganie przestępstw popełnionych przez amerykańskich żołnierzy poza służbą. Powinni oni również stanąć ostatecznie przed japońskim sądem.

W Polsce podstawą zasad, na jakich obecni są amerykańscy żołnierze, jest ramowa umowa SOFA sojuszu północno-atlantyckiego oraz umowa o wzmocnionej współpracy obronnej między USA a Polską z 2020 r. Ta ostatnia daje amerykańskim żołnierzom, a także członkom ich rodzin, swego rodzaju immunitet, Rzeczpospolita zrzeka się bowiem pierwszeństwa w sprawowaniu nad nimi jurysdykcji karnej, choć w szczególnych przypadkach można to zrzeczenie wycofać. Nie oznacza to jednak, że Polska nie ma żadnej kontroli nad tym, co Amerykanie robią w naszym kraju, albo że polska policja czy żandarmeria nie mają prawa zatrzymać członka amerykańskich sił zbrojnych.

W Polsce rotacyjnie stacjonuje od jakiegoś czasu ok. 10 tys. amerykańskich żołnierzy, a incydenty z ich udziałem były bardzo rzadkie. Najczęściej dochodzi do zdarzeń drogowych z udziałem pojazdów US Army, przy czym w wielu z nich poszkodowani są sami Amerykanie, tak jak w wypadku wojskowej ciężarówki pod Drawskiem Pomorskim w maju tego roku. Zdarza się oczywiście, że poszkodowani są i Polacy, jak w województwie dolnośląskim w lipcu dwa lata temu, gdy pojazd armii USA zderzył się z samochodem osobowym na wąskiej drodze. Tam jednak winę ponosił Polak.

Jak dotąd udało się uniknąć poważnej sprawy w typie tych, które wstrząsały kilkakrotnie Japonią, na czele z gwałtem na 12-letniej dziewczynce, dokonany w 1995 r. przez trzech amerykańskich żołnierzy na Okinawie. Sprawa wywołała masowe protesty i przerodziła się

w głęboki kryzys polityczny. Ostatecznie sprawcy stanęli przed japońskim sądem i w tym kraju odsiedzieli wyroki, a potem zostali wydani dyscyplinarnie z wojska. Nie była to jednak historia odosobniona, bo napaści na Japonki na tle seksualnym powtarzały się wielokrotnie, zwłaszcza właśnie na Okinawie, gdzie bazuje największa część amerykańskich wojsk.

Czy jednak tego typu argumenty powinny być rozstrzygające, gdy mówimy o współpracy wojskowej o znaczeniu strategicznym? Nie – co nie znaczy, że nie należy zadbać, aby w interesie obu stron stworzono mechanizmy egzekwowania odpowiedzialności za przestępstwa. Te zapewne zdarzać się zaś będą, bo ludzie są tylko ludźmi.

FETYSZYZACJA WYDATKÓW

Drugi argument to pieniądze. Pytamy zaledwie kilka dni temu o amerykańską bazę w Polsce prezydent Trump odpowiedział w swoim stylu: „Zobaczmy”. I dodał, że „oni za to zapłacą”. Oczywiście miał na myśli finanse, a nie zemstę. Ile zatem zapłacimy i czy nas na to stać? Koszt samego wybudowania bazy szacowany jest na od 11 do 17 mld zł, a koszt utrzymania personelu, którego wzięcie na siebie również deklaruje strona polska, to 15 tys. dol. na żołnierza rocznie, co przemnożone przez hipotetyczne 5 tys. osób daje 75 mln dol., a więc ok. 300 mln zł.

Tymczasem pojawiają się głosy, że wydatki zbrojeniowe stały się w Polsce dogmatem i fetyszem. Nie są to głosy pozbawione podstaw. Faktycznie, grozi nam zjawisko wyłączenia takich wydatków spod jakiegokolwiek debaty czy krytyki pod pretekstem zagrożenia bezpieczeństwa państwa, a przecież nie każdy wydatek zbrojeniowy jest rozsądny, potrzebny czy zasadny. Całkiem interesujący duży raport na ten temat autorstwa Piotra Miączyńskiego opublikowała niedawno „Gazeta Wyborcza”. Dziennikarz przyjrzał się zakupom i poprzedniej, i obecnej władzy, wskazując, że wiele z nich niekoniecznie polepsza nasze zdolności obronne, choćby dlatego, że mnożymy typy sprzętu, co z kolei podnosi koszty jego utrzymania i utrudnia naprawy oraz remonty.

Fetyszyzacja wydatków na wojsko jest szczególnie ryzykowna w sytuacji ogromnych problemów budżetowych.

To nie tylko potężny deficyt w wysokości ponad 280 mld zł, zaplanowany w przyszłorocznym budżecie, lecz także lawinowo rosnący dług finansów publicznych. Niedawno agencja Fitch opublikowała pogorszoną prognozę dla Polski, szacując, że w 2028 r. zadłużenie liczone według rzetelniejszej metodologii unijnej wyniesie ponad 73 proc. do PKB, a nie nieco ponad 72 proc., jak oceniano wcześniej. Faktycznie przekroczyliśmy już granicę wyznaczoną przez polską konstytucję w art. 216 – 60 proc. zadłużenia do PKB – i jedynie dzięki odmiennej definicji długu stosowanej w Polsce nie weszły wciąż w życie regulacje specjalne, zapisane w ustawie o finansach publicznych (sama konstytucja nie mówi, co ma się wydarzyć, jeśli próg 60 proc. do PKB zostanie przekroczony).

Ustawa o obronie ojczyzny zawiera zapis, który wymaga wydawania na obronność przynajmniej 3 proc. PKB rocznie – na sztywno. Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych planował wydać w tym roku ponad 77 mld zł. Nie jest pewne, czy uda się spożytkować całą sumę – a przecież absurdem jest nacisk na to, żeby pieniądze wydać w jakikolwiek sposób, byle wydać. Priorytetem powinno być ich wydanie w sposób sensowny. Jak widać, suma 17 mld zł, czyli koszt całej infrastruktury ewentualnej bazy, jest znaczną częścią standardowych rocznych wydatków FWSZ – to aż 22 proc. Z drugiej strony nie powinna to być suma dla Polski rujnująca. Tyle że, podobnie jak w przypadku wydatków na sprzęt i jego modernizację, także tutaj patrzeć trzeba na korzyść, jaką te pieniądze przyniosą.

REALNE WZMOCNIENIE BEZPIECZEŃSTWA

Tu dochodzimy do trzeciego, najważniejszego wątku sporu: Czy baza realnie wzmocni nasze bezpieczeństwo? Najważniejszym argumentem za taką tezę jest przekonanie, że byłaby ona czymś w rodzaju automatycznego bezpiecznika: w razie ataku na Polskę zaatakowane zostałyby jednocześnie wojska amerykańskie, a to musiałoby wywołać natychmiastową reakcję Waszyngtonu, czyli przyjsięcie Polsce z pomocą. Krytycy takiego sposobu myślenia wskazują na dwie kwestie.

Po pierwsze – jeżeli taki bezpiecznik jest potrzebny, to znaczy, że Polska nie

ma pełnego zaufania do samego mechanizmu obrony sojuszniczej w ramach NATO. To jednak argument chybiony. Pamiętać trzeba, że art. 5 traktatu waszyngtońskiego nie zakłada automatycznego przyścia zaatakowanemu z pomocą militarną. Wzmocnienie ogólnej zasady sojuszu poprzez wciągnięcie do konfliktu niejako z automatu naszego najpotężniejszego sojusznika jak najbardziej ma zatem sens, o ile patrzemy na sytuację realistycznie. Sens jest nawet większy, jeśli bierzemy na serio modyfikację myślenia o sojuszniczych zobowiązaniach, która wynika z rządów Donalda Trumpa, i niewykluczone, że przetrwa jego odejście z urzędu.

Bardziej trafiony jest argument drugi: że baza usytuowana na Dolnym Śląsku, w Wielkopolsce lub w województwie zachodniopomorskim może się nie sprawdzić w roli bezpiecznika. Gdyby miał bowiem nastąpić kinetyczny atak – abstrahując od tego, czy w ogóle jest on w przewidywalnym czasie prawdopodobny – to przecież obejmie on wschodnie obszary kraju. Baza nie znalazłaby się zatem w jego zasięgu. Polska zaś deklaruje jednocześnie, że utraciły ważność stare koncepcje, zakładające obronę na linii Wisły, i że bronione miałyby być całe terytorium państwa. Z tego punktu widzenia faktycznie usytuowanie bazy na naszych zachodnich rubieżach byłoby problematyczne. Jednak i ten argument można obalić, pytając, czy lepsze jest zabezpieczenie przynajmniej częściowe, nawet jeśli nie zadziała całkowicie automatycznie, czy też brak zabezpieczenia w ogóle.

ROSYJSKA REAKCJA

Jest wreszcie bardzo poważny argument strategiczny: baza będzie dodatkowym elementem prowokującym rosyjską reakcję. Wbrew pokrzykiwaniom dogmatyków uwzględnianie rosyjskiego punktu widzenia i rosyjskiego sposobu rozumowania nie tylko nie jest dla nas szkodliwe, lecz także jest warunkiem rzetelnej oceny naszego poziomu bezpieczeństwa. Z tego punktu widzenia zaś nie ma wątpliwości, że powstanie takiej stałej bazy Moskwa uzna za sprzeczne ze swoim strategicznym interesem. Faktycznie, jej zainstalowanie w Polsce byłoby wbrew Aktowi Stanowiącemu Rosja-

-NATO z 1997 r. Zapisy rozdziału IV tego dokumentu mówią wyraźnie, że sojusz północnoatlantycki będzie realizował swoje zadania zbiorowej obrony poprzez zapewnianie „interoperacyjności, integracji i zdolności do wsparcia”, nie zaś poprzez dodatkowe stałe stacjonowanie znaczących sił bojowych.

Rosja nadal powołuje się na Akt Stanowiący, który przez lata był podstawą wzajemnych relacji na poziomie strategicznym. Jednak w stosunkach międzynarodowych obok zasady pacta sunt servanda istnieje zasada rebus sic stantibus, oznaczająca, że dane porozumienie, traktat czy inny podobny dokument traci swoją moc, jeżeli okoliczności radykalnie zmieniają się w stosunku do tych, w których był podpisywany. Gdy w grudniu ubiegłego roku minister Radosław Sikor-

Zestawienie odpowiedzi na pytanie, czy warto zainwestować w bazę USA, sprowadza się do niewielkiego wyniku netto na tak

ski oznajmił w Brukseli: „Nie istnieje już Rada NATO-Rosja i nie istnieje już tzw. Akt Stanowiący Rady NATO-Rosja”, miał rację. Okoliczności zmieniły się na tyle, że trudno uznać dokument za wiążący, nawet jeśli nie nastąpiło jego formalne wypowiedzenie.

To oczywiście punkt widzenia Zachodu – Rosja może do tego podchodzić zgodnie ze swoim interesem, tak jak interpretują go obecne władze na Kremlu. Czy jednak amerykańska baza, umieszczona w zachodniej części Polski, mogłaby się sama stać zarzewiem gorącego konfliktu z Rosją? To wątpliwe. Przekroczenie progu w postaci kinetycznego ataku na kraj NATO jest oceniane jako skrajnie mało prawdopodobne przez większość analityków. Na dodatek taka właśnie rozważana lokalizacja nie tylko ma znaczenie logistyczne, lecz także jest rodzajem strategicznego kompromisu: Amerykanie zmieniają dotychczas istniejące zasady i porządek, ale nie radykalnie.

Można również argumentować, że położenie bazy na zachodzie Polski

zapobiegnie niekontrolowanemu rozwojowi wypadków. Gdyby instalacja miała powstać pod wschodnią granicą, Rosji łatwiej byłoby przeprowadzać prowokacje poniżej progu wojny, licząc na niekontrolowaną eskalację.

WOJSKO POLSKIE PODSTAWĄ

Podsumowanie tych rozważań nie jest jednoznaczne. Przekonanie, że stała amerykańska baza idealnie zabezpieczy nas przed potencjalnym atakiem ze wschodu, byłoby złudne. Nawet stałą bazę można zresztą ewakuować, choć jest to oczywiście trudniejsze niż w przypadku rotacyjnej obecności amerykańskiego wojska. Odpowiedź na pytanie, czy warto zainwestować niemałe pieniądze w bazę i jej utrzymanie, sprowadza się do wskazania, że zestawienie argumentów za i przeciw ostatecznie daje niewielki wynik netto na plus. Czy nam się to podoba czy nie, wciąż to USA, a nie europejscy sojusznicy – pogrążeni zresztą w gigantycznych problemach gospodarczych i społecznych (zwłaszcza dotyczy to Francji i Niemiec) – są głównym gwarantem naszego twardego bezpieczeństwa. Istnienie stałej amerykańskiej bazy niczego nam nie gwarantuje, lecz zwiększa prawdopodobieństwo, że w razie ostateczności faktycznie zostanie uruchomiony bezpiecznik. To już i tak wiele. Byłoby jednak fatalnie, gdyby po zapadnięciu ostatecznych decyzji i wybudowaniu bazy nastąpiło odprężenie, skutkujące odpuszczeniem mądrych i przemyślanych inwestycji w naszą własną obronę. To polskie, nie obce wojsko i jego zdolność do przetrwania jak najdłużej w razie ataku musi być podstawową gwarancją naszego bezpieczeństwa. Bazę można porównać do systemu automatycznego hamowania w samochodzie: jest po to, żeby w ostateczności złagodzić efekty zderzenia, ale nie zastąpi rozsądnej jazdy i uprzedzającej reakcji kierowcy.

W tle jest jednak jeszcze jedno pytanie: Czy baza w ogóle powstanie? Wbrew optymistycznym zapewnieniom szczególnie ze strony Kancelarii Prezydenta nic nie jest przesądzone. Nie można wykluczyć, że jej budowa jest przez Donalda Trumpa traktowana jako karta przetargowa w rozgrywce z Putinem, a nasz wpływ na to, co w tej sprawie nastąpi, jest symboliczny.

Tusk traci jajchę



Rafał A. Ziemkiewicz

Kluczem do skuteczności propagandy jest ukrycie przed odbiorcą, że ma do czynienia z propagandą. Otwarta agitacja przekonuje tylko przekonanych – prawdziwy efekt osiąga się, manipulując kontekstem

Nadzieje postępowo-liberalnych salonów, że ich amerykańskim sojusznikom uda się jakoś przeszkodzić sfinalizowaniu zakupu koncernu Warner Discovery przez Paramount Skydance, zawiodły. Od początku zresztą oparte były na „chciejstwie”, każdy, kto śledził wydarzenia, rozumiał, że Kalifornia i inne stany, które wystąpiły

do amerykańskiego sądu o wstrzymanie transakcji, nie zrobili tego, żeby ratować liberalne tuby propagandowe przed przejęciem przez konserwatystów, ale po to, by od nowych właścicieli wytargować jak najwięcej dla zlokalizowanych w nich podmiotów, ważnych dla gospodarki tych stanów. Paramount, zgodnie z oczekiwaniami, uznał, że bardziej opłaca mu się

udzielić pewnych przywilejów kalifornijskim studiom filmowym i gildiom ich pracowników niż ponosić koszty obstrukcji, i w ten sposób, wraz z zawartą ugodą, ostatnie przeszkody zniknęły. Wszystko, co było dotąd własnością Warner Discovery stało się od 6 października 2026 r. własnością Skydance, bo tak ostatecznie nazwano nową firmę. Wszystko, a więc także Discovery Communications Benelux B.V., spółka, złośliwie zwana „skrytką pocztową na lotnisku w Amsterdamie”, będąca formalnie właścicielem spółki TVN SA i wyłącznie do tego, posiadania wiodącej grupy medialnej w Polsce, służąca.

Co prawda Donald Tusk, w przewidywaniu tego dnia, wpisał kiedyś TVN SA na listę spółek strategicznych, których sprzedaż rząd ma prawo wstrzymać, względnie



FOT. ADRIAN STOLIK

kanom już dwukrotnie, najpierw przejął go koncern rodziny Scrippsów, o której tak samo jak o Ellisonach, kontrolujących Skydance, mówiono, że jest „prawicowa”, a przecież żadnych zmian w TVN nie dokonała, i ostatecznie sprzedała go lewicowemu Discovery. Może i tym razem będzie podobnie? Tu nadzieje naszych oświeconych rozszczepiają się na dwie sprzeczne narracje: jedni opowiadają, że telewizja TVN przynosi zyski, a gdyby widzowie od niej uciekli, jak swego czasu widzowie TVP Info uciekli do Republiki, przestałyby je przynosić, a przecież amerykańskim kapitalistom chodzi właśnie o zyski, zwłaszcza że na zakup imperium Warnera bardzo się wykosztowali, więc nic nie będą zmieniać. Drudzy z kolei zdają się liczyć, że TVN ochroni przed zmianami fakt, że w skali interesów nowych właścicieli jest tak małym sklepikiem, iż ujdzie ich uwadze.

Ci drudzy są bliżej prawdy, choć też się mylą. Suma transakcji przejęcia Warnera przez Paramount to 110 mld dol., ale do samej ceny zakupu – i tak już astronomicznej – dodać trzeba jeszcze spłatę długów, z powodu których Warner Discovery poszedł pod młotek. Ile ich jest, dokładnie nie wiadomo, jedno źródło mówi o 40 mld, inne o 60 mld, a jedno z biznesowych mediów pisało nawet o ponad 80 mld... Nawet uznając za prawdziwą tę najniższą kwotę, widzimy, że wartość fuzji porównywalna jest z rocznymi przychodami polskiego budżetu, a nawet od nich większa. A kapitalizacja TVN SA to równowartość ok. 1,5 mld dol. Zresztą w oficjalnym liście nowych właścicieli, wyjaśniającym ich zamiary wobec spółki, mowa jest wyłącznie o największych aktywach: wytwórniach filmowych, serwisach streamingowych, i – co stanowi znak czasu – uniwersach popularnych gier komputerowych. O żadnej z kupionych w pakiecie z nimi telewizji, nawet CBS i CNN, nie ma w dokumencie ani słowa.

Gdyby prezydentem USA nadal był Barack Obama albo Joe Biden wyciągnięcie z tego wniosku, że nowy nabywca chętnie odda tak nieistotną część nabytku polskiemu rządowi, sprzedając ją czy to Springerowi, czy to Kulczykowi albo którejś ze spółek skarbu państwa, miałoby może sens. Filozofia obamowskiego „resetu” kazała traktować środkową Europę

jako obszar pozostający poza zainteresowaniem USA, oddawany jako terytorium mandatowe przyszłej Rosji, przeciągniętej na stronę Ameryki i współpracującej blisko z Niemcami. Jednak nowa strategia bezpieczeństwa narodowego, ogłoszona przez administrację Trumpa, traktuje nasz region inaczej. Owszem, Rosja jest w niej nadal kandydatem na „regionalne mocarstwo sprzymierzone z USA”, ale środkowa Europa, wariantowo, ewentualnym eksponentem interesów amerykańskich na Starym Kontynencie oraz narzędziem do równoważenia wpływów rosyjsko-niemieckich, gdyby kraje te chciały prowadzić politykę sprzeczną z globalnymi interesami Ameryki.

Posiadanie tu jakiejś propagandowej „wajchy” – by sięgnąć po obrazowe określenie użyte kiedyś publicznie przez Donalda Tuska – jest więc z punktu widzenia interesów amerykańskich pożądane. Dlatego zmiany w TVN są przesądzone. Zresztą już się zaczęły. Swoje odejście ogłosił właśnie szef rady nadzorczej TVN, Gerhard Zeiler, austriacki biznesmen mocno zanurzony w politycznych i biznesowych układach europejskiej lewicy (zapowiedział zresztą wprost, że zamierza zaangażować się teraz w politykę bezpośrednią w ramach partii socjaldemokratycznej). Wysła też informacja – i to od nowych właścicieli – że gdy dotychczasowa prezes TVN, Katarzyna Kieli, próbowała się spotkać z nimi i specjalnie w tym celu poleciała do USA, w ogóle nie została przez nikogo przyjęta. Co każe uznać, że i jej dymisja została już przesądzona.

Cokolwiek zamierza Skydance, wobec skali jego działalności i wpływów wyniki finansowe TVN nie będą miały wielkiego znaczenia. Zresztą wyniki te wypracowuje przecież „rozrywkowa” część TVN, programy „talent show”, seriale, filmy etc., a nie wieczorne „Fakty” i kanał TVN24, skupiające opiniotwórczą siłę stacji.

ZACHOWAĆ TWARZ

Oczywiście krążących po Internecie wizji nowego, „prawicowego” TVN, w którym prezesem miałby być Daniel Obajtek, szefem TVN24 Jacek Kurski, a „Fakty” prowadzić prezenterzy „Republiki”, nie należy traktować poważnie. To nic więcej niż „śmiechoterapia” środowisk, które z propagandową tubą

wskazać wybranego nabywcę, i minister Balczun nawet coś przebaknął publicznie o skorzystaniu z tej opcji, ale nikt w to nie wierzy. „Myk” z holenderską spółką krzaka jako formalnym właścicielem grupy TVN, zastosowany swego czasu dla ominięcia polskich przepisów koncesyjnych, dał nieoczekiwany skutek. Nikt nie sprzedaje TVN, ba, nikt nawet nie sprzedaje owej holenderskiej spółki, do której TVN należy. A możliwość skutecznego zakazania przez polski rząd amerykańskiemu koncernowi przejęcia innego amerykańskiego koncernu... Hm, bądźmy poważni.

SPRZECZNE NARRACJE

Mimo wszystko liberalne salony chwytają się ostatnich strzępków nadziei. W końcu TVN sprzedawany był Amery-

progresywno-liberalnych elit i rządzącej koalicji walczą od dawna, i nierzadko odnosiły w tej walce bolesne rany. Przykład CNN i CBS, w których nowe porządki zaczęły się już pewien czas temu, wskazuje na to, że Amerykanie działać będą zupełnie inaczej. Tak jak tam, pozostawia, ile można, lub, wedle ich ocen, ile trzeba, z fasady i pozwolą dotychczasowym pracownikom stacji zachować twarz. Niekiedy, najmocniej kojarzący się w polityczną propagandą, być może zostaną zdjęci z anteny, ale nie pójdą do „likwidowanej” TVP ani nie będą „nadawać” po mediach Springera na nowych właścicieli czy labidzić tam nad niszczeniem przez Amerykanów wolności słowa, bo na mocy odpowiednich klauzul w kontraktach straciliby za to odpłaty i ponieśliby inne konsekwencje.

Propagandowa potęga TVN zabudowana została w zupełnie inny sposób, niż próbował to robić PiS. Nie robili tego powstańcy ani młodzi entuzjaści „sprawy”, tylko fachowcy od propagandy klasy Mariusza Waltera, w latach 80. polecanego przez Jerzego Urbana gen. Kiszczakowi jako najwybitniejszy z „oddanych nam” ludzi czy Milana Subotica. Ludzie czerpiący z doświadczeń medialnej operacji, która pozwoili Jaruzelskiemu na praktycznie bezkrwawe i błyskawiczne zdławienie ruchu społecznego teoretycznie liczącego 10 mln Polaków. Analizowałem to szczegółowo na naszych łamach w tekście „TVN – anatomia manipulacji” („Do Rzeczy” nr 7/2025), tu przypomnę tylko że kluczem do skuteczności propagandy jest ukrycie przed odbiorcą, że ma do czynienia z propagandą. Otwarta agitacja przekonuje tylko przekonanych, prawdziwy efekt osiąga się, manipulując kontekstem, usuwając z oczu widza pewne fakty, przyczyny lub skutki, a wyolbrzymiając inne, „programując go neurolingwistycznie”, czyli wtłaczając w potoczne myślenie sformułowania same w sobie zawierające wartościowanie i interpretację przedmiotu debaty, w wszystko to w taki sposób, żeby podsunięte mu wnioski i wywołane emocje uważał za własne.

Jeśli przeciętny widz TVN nie wie, bo na tym właśnie polega sukces stacji, że jest manipulowany, to nie zauważy też, iż ta manipulacja ustała. A skoro nie zauważy, to nie będzie żadnego „masowego odchodzenia rozczarowanych widzów”,

którą to wizję cieszą się w mediach społecznościowych zwolennicy rządu, analogicznie, jak jego przeciwnicy wizję Moniki Olejnik witającej widzów słowami: „Szczęść Boże”.

SPÓR, A NIE CHÓR

W CNN i CBS nowi właściciele bynajmniej nie zażądali od zespołów redakcyjnych: „Od teraz macie zachować wszystko, co robi Donald Trump, z tą samą żądłością, z jaką dotąd za wszystko go krytykowaliśmy”. Bynajmniej, nowi właściciele powołali rady, mające zadbać o dziennikarską niezależność, i powierzyli tę robotę osobom, które może nie są uważane za bezstronne autorytety dziennikarstwa (kto jeszcze może być za takowy uważany?), ale nie są też kojarzone z żadnymi medialnymi nadużyciami. Sądzę, że podobna rada powstanie i dla pracowników TVN. I co oni od jej szefów usłyszą? Coś w stylu: robiliście dotąd świetną robotę, ale teraz zrobimy to

Krążących po Internecie wizji nowego, „prawicowego” TVN nie należy traktować poważnie

jeszcze świetniej, i wejdziemy na nowy poziom bezstronności. Musimy, wiecie, przyjąć takie zasady, które są niekwestionowanymi podstawami amerykańskiego dziennikarstwa z jego najlepszych czasów. Wiecie, o co chodzi, nie łączymy newsa z komentarzem, prezentujemy racje obu stron, jeśli zapraszamy komentatorów, to dobieramy ich tak, żeby reprezentowali różne poglądy i żeby na antenie mieć spór, a nie chór...

Trudno będzie liberalnym salonom protestować przeciwko takiemu dyskursowi. A przecież, literalnie wprowadzone w życie, zasady te będą oznaczać nic innego, tylko wybicie Tuskowi zębów jadowych. Pokazywanie po 100 razy jak mówi: „für Deutschland”, im częściej, tym bardziej bez sensu, nic mu nie szkodziło. Ale jeśli – sięgając po niedawne przykłady – komunikat „Prezydent wetuje niskie ceny paliw” najbardziej oglądany program informacyjny zderzy, bez dodat-

kowego komentarza, z występem tego samego Tuska sprzed kilku lat: „Ja wiem, że wystarczą dwie proste decyzje co do VAT i akcyzy, żeby obniżyć ceny, gdybym był premierem, benzyna byłaby już jutro po 5,19”, a w rozmowie po dzienniku zaproszony ekspert zamiast o wetach prezydenta powie, z czego składa się cena benzyny czy oleju napędowego i przypomni, ile kosztowała baryłka ropy i dolar za rządów PiS, gdy 6,50 za litr ogłaszane było drożyzną, a po ile są one teraz... Albo, jeśli, dajmy na to, obraz polityków KO triumfujących, że Komisja Wenecka uważa, iż prezydent powinien przyjąć ślubowania PO-wskich sędziów TK, uzupełni stacją przypomnieniem, jak tę samą Komisję Wenecką traktowali oni, gdy uznała za niedopuszczalne podważanie statusu i prawa do orzekania „neosędziów”, i nakazywała rządowi publikowanie wyroków „nieistniejącego” Trybunału Konstytucyjnego...

Czy ktoś odważy się powiedzieć, że to „cenzurowanie wolnych mediów”? Zapewne ktoś tak powie, nawet krzyknie, ale nie porwie tym do bojkotu stacji żadnej znaczącej części jej widzów. A tak się składa, że widownię TVN stanowi przede wszystkim ta grupa, która ma najistotniejsze, chyba nawet rozstrzygające znaczenie dla wyborów, tych, którzy sami siebie nazywają najchętniej „klasą średnią”, a których nazwać można „oszukanyimi”. Owe kilka milionów, które dało się porwać obietnicom, że odsunięcie PiS od władzy przyniesie im większe zarobki, większe znaczenie, lepsze życie i częstsze wyjazdy na egzotyczne wakacje, i nic z tego nie dostały. Dopóki Tusk miał w ręku tę „wajchę” do hakowania ich nastrojów, jaką był polityczny przekaz TVN, dopóty mógł mieć nadzieję, że rozczarowanie to pokryje straszaniem, nakręcaniem polaryzacji, wzmaganiem agresji i pogardy wobec „PiS-owskiej hołoty”. Pozbawiony jej, pokazywany jako polityk nieudolny, służalczy wobec interesów niemieckich i psujący nasze stosunki z USA, a przez to zagrażający naszemu rozwojowi i poziomowi życia (co, i to jest dla Tuska najgorsze, nie wymaga przecież kłamstwa ani manipulacji, a wyłącznie zdjęcia z przekazu filtru „antypisowskiej poprawności”), będzie miał wielki kłopot. I chyba o tym, w przeciwieństwie do większości swych akolitów, wie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA

**DO
RZECZY**

Do Rzeczy S.A.

Spółka notowana na rynku NewConnect (GPW)

Symbol giełdowy: DRZ



WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ W NIEZALEŻNE MEDIA

Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:

www.DoRzeczySA.pl



Piotr Semka

Kraków to ewidentny symbol zmierzchu Koalicji 13 grudnia i najważniejszy test siły politycznych ugrupowań. Rok przed wyborami nie ma jeszcze wyraźnej wizji, czym prawica chce w miejsce Tuska Polaków zachwycić

Wśród reakcji na wyniki boju o prezydenturę Krakowa wiele dziś prób deprecjonowania samego znaczenia tej rozgrywki. Słyszymy, że „wyniki wyborów samorządowych rzadko kiedy przekładają się na rozgrywkę ogólnopolską” lub że „efekty rywalizacji w dużej metropolii nijak się mają do walki o cały kraj”. Nagle zaroilo się od takich ultymatywnych opinii. Trudno nie odnieść wrażenia, że jest to swoista forma odreagowywania bardzo poważnej porażki Tuska pod Wawelem.

Pojedynek krakowski był najważniejszym testem siły politycznych ugrupowań jesienią równo 12 miesięcy przed najbliższymi wyborami do Sejmu. Jakie wnioski z tego spektaklu wyciągnąć można dla obecnej sytuacji samego Donalda Tuska, Koalicji 13 grudnia, lewicy i wreszcie prawej strony sceny politycznej.

TUSK CORAZ CZĘŚCIEJ CHYBIA

Decyzja o wyznaczeniu Moniki Piątkowskiej na kandydatkę KO i PSL zapadła w Warszawie i można z dużą dozą pewności orzec, że podjął ją sam wielki Donald, być może z jakąś niewielką konsultacją Władysława Kosiniaka-Kamysza. Powtarza się schemat całkowitego już jedynowładztwa w podejmowaniu najważniejszych decyzji w KO. I w otoczeniu Donalda Tuska chyba nie ma już doświadczonych doradców potrafiących wyłapać wady kandydata. A może i ktoś taki jest, ale jego opinie są najwyraźniej ignorowane.

Wszystko wskazuje, że powtórzył się pewien schemat – przyniesiony tysiącami spraw premier nie ma czasu na osobiste zbadanie, czy kandydatka (kandydat) się nadaje, ufa czyjejś pozytywnej rekomenda-

cji i wkłada swój cały autorytet w zarekomendowanie nowej twarzy.

Dlaczego warto wskazać na tę cechę Tuska? Bo partia zbudowana na liderze, który podejmuje złe decyzje, nie może na dłuższą metę osiągać sukcesów. Co więcej, przy okazji kolejny raz dały się zauważyć efekty syndromu „Donald się wściekł”. Potem, gdy w krakowskim referendum odwołano dotychczasowego prezydenta Krakowa Aleksandra Miszałskiego, Tusk w wybuchu irytacji rozwiązał strukturę krakowskiej KO.

Ta gniewna reakcja usatysfakcjonowała niezadowolone „suwerena”, ale całkowicie zrujnowała aparat lokalny, który odwrócił się plecami do przysłanej z Warszawy Piątkowskiej. Działaczki, która po pierwsze przeszła przez parę partii, po drugie nie urodziła się w Krakowie, co w grodzie Krakowa ma jednak znaczenie, i która od 2012 r. nie była związana specjalnie z byłą stolicą Polski. I wreszcie ostatni bardzo typowy

ostrzeżenie dla KO, że nawet w dużych miastach niełatwo będzie zmobilizować elektorat”. A przypomnę, że w wypadku Krakowa zwykle nieruchomości Donald Tusk pofatygował się aż dwa razy pod Wawel, aby zareklamować Monikę Piątkowską. Jak się okazuje bez efektu.

SMUTNE MINY NA LEWICY

Nie lepsze nastroje niż w KO panują w obozie Nowej Lewicy. Wydawało się, że Włodzimierz Czarzasty wsparł w Krakowie kandydatkę ze sporymi szansami na sukces. Daria Gosek-Popiołek już dwa razy – w latach 2019 i 2023 – zdobyła w Krakowie mandat poselski. W tym ostatnim wypadku zebrała dość wysoką liczbę głosów – 39 054. Tyle że pani Daria to wyrazista feministka i znana organizatorka proaborcyjnych manif. Na dodatek kłóciła się z miejscową Nową Lewicą, na swoich bannerach i plakatach unikała partyjnego

Krakowskie

przykład myślenia osób typu Monika Piątkowska. Już po przegranej w wieczór wyborczy 11 września kandydatka KO po trzech minutach przemówienia zaczęła dziękować Tuskowi i innym ministrom za ich udział w jej kampanii. Skąd akurat taki pomysł? To proste. Piątkowska myśli już, jak wcisnąć się do administracji Tuska w Warszawie, i Kraków natychmiast przestał ją interesować.

Tusk siega po karierowiczki i siłą rzeczy tego typu panie zachowują się w taki sposób, że ich pogoń za prywatą aż kłuje w oczy. A Krakowianie zgrzytają zębami. Teraz Piątkowska może powiedzieć: „W Krakowie jestem spalona”. Nie tylko ona wyszła z tego eksperymentu z mocno osłabionym wizerunkiem, lecz także cała Platforma.

W normalnych warunkach zebrałyby się władze partyjne, aby omówić wnioski z nieudanej kampanii. Ale w partii wielkiego Donalda nic takiego nie nastąpi. Tylko tygodnik „Polityka” zdobył się na bardzo oględny komentarz: „To może być

logo i demonstracyjnie nie chciała żadnego wsparcia z Warszawy.

I znów powtórzyła się historia jak z krakowską Koalicją Obywatelską. Lokalne struktury partii NL niespecjalnie chciały jej pomagać. Na tym tle zdecydowanie lepszy wynik uzyskała Aleksandra Owca z partii Razem. W rezultacie Adrian Zandberg mógł triumfować i zdobyć się na złośliwe uwagi, że Daria Gosek-Popiołek nienajlepiej zrobiła, odchodząc jakiś czas temu z partii Razem wraz z Magdaleną Biejat. Ale dla Czarzastego porażka jego kandydatki w Krakowie ma szersze konsekwencje. Czarzasty liczy, że zdoła skłonić Zandberga do startu w ramach jednego bloku politycznego. W jego planach naprzeciwko prawicy miały stanąć dwa bloki prorządowe – jeden liberalno-konserwatywny z Koalicją Obywatelską, Polskim Stronnictwem Ludowym i resztkami Polski 2050 Szymona Hołowni, a drugi lewicowy, z Nową Lewicą i partią Razem. Krakowski sukces Zandberga bardzo utrudni ten plan, który

mile wzmacniałby pozycję Czarzastego wobec Tuska. W znacznie szerszym planie Czarzasty jednak zdaje się nie rozumieć, że sam przyczynił się do spadku znaczenia Nowej Lewicy. Na wyraźne zlecenie Donalda Tuska przyjął rolę „nowego Palikota”.

Tak jak skandalista z Biłgoraja niegdyś służył Tuskowi do deprecjonowania prestiżu prezydenta Lecha Kaczyńskiego, tak Czarzasty z ochotą wszedł w rolę zagończyka atakującego prezydenta Karola Nawrockiego. Wchodzenie w taką specyficzną rolę rzuca się cieniem na całą partię. Po porażce w Krakowie zebrała się rada krajowa Nowej Lewicy. Czarzasty nie miał nic do powiedzenia oprócz agresywnego ataku na partię Razem. Według relacji prasowych miał stwierdzić: „W tej chwili sytuacja jest taka, że Adrian [Zandberg] tak się zachowuje, że na złość liberałom odda niedługo władzę faszystom”. Dlaczego pan Włodzimierz robi się tak nerwowo? Wszystko wskazuje, że

cie kimś bardziej nowym zyskiwać powinni po prawej stronie w Krakowie kandydaci Konfederacji i Korony.

A jednak tak się nie stało. Bartosz Bocheńczak, nominat Sławomira Mentzena, nie zebrał wymaganej liczby prawidłowych podpisów. Trudno wchodzić w rozważania, ile prawdy jest w plotkach, że na tę wpadkę zapracowali ludzie Krzysztofa Bosaka, niechętni kandydatowi z rywalizującej frakcji. Faktem jest, że Sławomir Mentzen zareagował dokładnie tak samo jak Donald Tusk po referendalnej klęsce Aleksandra Miszałskiego. Odwołał Bocheńczaka z funkcji prezesa okręgu krakowskiego, zawiesił osoby odpowiedzialne za lokalne struktury i skierował sprawy do sądu partyjnego. Rezultat? W Krakowie „Konfa” jest mocno poobijana. W wypadku Konfederacji Korony Polskiej kandydat mocno lansowany przez Grzegorza Brauna, Michał Klimek, zdobył

Wizja, w której szanse na głosy prawicy będzie miał ktoś, kto się lekko „uprawicowi”, jak Gibała, powinna dać do myślenia zarówno PiS, jak Konfederacji i wreszcie Mateuszowi Morawieckiemu. Tym bardziej że prawica także po krakowskim sprawdzianie nadal nie wykazuje umiejętności do spokojnego łagodzenia antagonizmów po swojej stronie sceny politycznej. Wychodzące na jaw nagrania Grzegorza Brauna, który w obraźliwy sposób komentuje stosunek Kancelarii Prezydenta Nawrockiego do swojej partii, nie ułatwią i tak już niemiłych rozmów na temat ewentualnego prawicowego paktu senackiego.

A przecież koniunktura jest. Badania ogólnopolskiej grupy badawczej, sporządzone przy okazji wyborów w Krakowie, wykazują, że trzy najważniejsze kwestie, które przyciągają uwagę, to sytuacja ekonomiczna, bezpieczeństwo Polski i problem migracji. Tak ulubiony przez Lewicę temat aborcji i „praw kobiet” znalazł się na odległych pozycjach zainteresowań wyborców. Wszystko to tematy, które są bardzo chwytliwe dla prawicy. Całą sytuację można zatem podsumować tak: Tusk ewidentnie słabnie. Swój spadek atrakcyjności swego obozu próbuje maskować deklaracjami „sprawczości” w rodzaju zapowiedzi pacyfikacji Trybunału Konstytucyjnego. Jednak tego typu wysoki, choć nie spotykają się z bezpośrednim oporem na drodze demonstracji, robią na całym elektoracie złe wrażenie. Coraz wyraźniejsze są znużenie Tuskiem i przekonanie o jego braku powagi. Minister finansów Andrzej Domański, który zamiast ratować budżet, zajmuje się odwiedzaniem wieców Moniki Piątkowskiej, może Polaków nieźle irytować. Jeśli dodać do tego całkowitą dewaluację ostrzeżeń Tuska przed zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi, to mamy obraz ekipy, która się zwija.

Problem w tym, że prawa strona jest rozbita i dużo wysiłku wkłada we wzajemne kuksańce. A ciągłe liczenie na prezydenta, który wyciosać ma jakiś przyszły blok prawicowej koalicji, nie musi się ziścić.

Dlatego Kraków to ewidentny symbol zmierzchu Koalicji 13 grudnia, ale rok przed wyborami nie widać jeszcze wyraźnej wizji, czym prawica chce w miejsce Tuska Polaków zachwycić. I jeszcze ważniejsze od zachwycenia, czym dać im nadzieję na wyjście z poczucia rosnącego braku stabilizacji.

wycinanki

bez Zandberga Nowa Lewica wejdzie do jednego dużego bloku od wodzą Tuska, w której znajdują się też PSL i niedobitki po Hołowni. A tu już liczbę mandatów wyznaczać będzie Tusk. A to twardy suweren.

PRAWICA MA NAD CZYM MYŚLEĆ

Jeżeli porównać wyniki w II turze krakowskich wyborów zwycięskiego Łukasza Gibały, kandydata niezależnego wobec Moniki Piątkowskiej z KO, to widać jasno, że młodsza część elektoratu chce czegoś nowego. W grupie wiekowej 18–29 lat Gibała uzyskał 75 proc., a Piątkowska tylko 26 proc. W grupie 30–39 lat Gibała zdobył 73,9 proc., a Piątkowska znowu tylko 26 proc. Nawet w grupie 40–49 lat ten pierwszy dostał 57 proc., a ulubienica Tuska tylko 43 proc. To potwierdzenie nie nowej tezy, że elektorat KO bardzo się starzeje. I to asumpt do podejrzenia, że w skali całego kraju młodszy elektorat chciałby czegoś nowego. Tyle że na razie żaden „ogólnopolski” Gibała się nie pojawił. I w tej sytuacji premię za by-

w I turze jedynie 4,11 proc. W II turze większość jego wyborców – aż 95,7 proc. – poparła Łukasza Gibałę. To znak, że o ile Braun jest rozpoznawalny i buduje się na swojej formacji, o tyle jego lokalni politycy nie muszą porywać tłumów. Na tym tle 17 proc. w Krakowie Michał Drewnicki osiągnął bardzo dobry wynik. Ale to przypomnienie dla PiS, że jeśli wyborcy odrzucają Tuska i jego kandydatów, to nie znaczy, że automatycznie przerzucają swoje głosy na największą partię opozycyjną. Wystarczyłoby, by pochodzący z liberalnego establishmentu Łukasz Gibała rzucił wyzywanie „Platformomajchrowszczyźnie”, a zostałaby przyjęty jak zbawca przez prawicowy elektorat.

Pytanie, czy za jakiś czas ktoś inny z obozu liberalnego nie zechce się tak „ucentrowić” i rzucić wyzwania obozowi starzejącego się Tuska. W ciągu najbliższego, przedwyborczego roku to mało prawdopodobne. Ale w perspektywie dwóch–trzech lat?



Z Barbarą Nowak, byłą małopolską kurator oświaty
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Czy wprowadzenie cenzury w Internecie jest właściwą reakcją na falę brutalnej przemocy, która w ostatnich dniach dotknęła polskie szkoły? Gdzie szukać przyczyn tragedii, które rozegrały się w dwóch szkołach na Mazowszu?

BARBARA NOWAK: Cenzura nie jest żadnym rozwiązaniem na brak odpowiedniego wychowania, wartości i tego wszystkiego, co naprawdę powoduje problemy u młodych ludzi. Oczywiście tych przyczyn jest wiele. Ale chciałabym zwrócić uwagę, że seria dramatycznych wydarzeń, która w ostatnim czasie rozegrała się w naszych szkołach, na Zachodzie jest codziennością. Tam dzieje się tak od dawna. Myślę, że można szukać wspólnej genezy tych wydarzeń. Zdecydowanie upatruję jej w tym, jak prowadzona jest polska szkoła, sposobie, w jaki traktowani są uczniowie i cała społeczność szkolna. Symptomy pogarszania się sytuacji w polskiej szkole były widoczne od dawna. Narzekania, że nauczyciel przestaje być autorytetem, że system wychowawczy się chwieje, były słyszalne od dawna. To, co się stało po objęciu rządów przez Koalicję 13 grudnia i oddaniu władzy nad szkołami minister Barbarze Nowackiej, która jest zdeklarowaną lewaczką, to konsekwentne wprowadzanie lewicowej rewolucji i eksperymentów na dzieciach. Nie wolno też zapominać o agresji, przemocy wulgarności prezentowanej przez środowiska lewicowo-liberalne, publicznych życzeniach śmierci czy nawoływaniach do przemocy, odczuwaniu przeciwników i wulgarności. Wystarczy tylko przypomnieć słynne „...i... PiS”. To wszystko też ma ogromny wpływ na kształtowanie młodych ludzi.

Wielu rodziców i nauczycieli nie ma wątpliwości, że pod władztwem minister Nowackiej proces destrukcji polskiej szkoły gwałtownie przyspieszył.

Dokładnie tak jest. Przypominam sobie sytuację, że niemal codziennie obserwowałam na stronach Ministerstwa Edukacji informacje zapowiadające kolejne posunięcia, zdecydowanie psujące polską szkołę. Mam na myśli permanentne odbieranie rodzicom prawa do decydowania o ich dzieciach. Pani Nowacka mimo wyroku Trybunału Konstytucyjnego ogłosiła, że w szkołach będzie tylko jedna lekcja religii. Nowacka swoimi rozporządzeniami starała się doprowadzić do tego, żeby lekcje religii maksymalnie obrzydzić uczniom, umieszczając je na pierwszej albo ostatniej

Żeby uratować polską szkołę, trzeba zmienić ten rząd

FOT. ARCHIWUM BARBARY NOWAK

godzinie lekcyjnej. Podkreślam tę sprawę, bo ma ona kluczowe znaczenie. Dziś tylko na lekcjach religii uczniów w polskiej szkole dowie się, że życie ludzkie jest czymś wyjątkowym, że każdemu człowiekowi należy się szacunek, słabszych i chorych należy otaczać opieką, że nie wolno mordować dzieci w łonie matki, że eutanazja to zabijanie, co jest absolutnym złem. Tak samo jak każda inna forma zadawania cierpienia, również zwierzętom. To jedyny przedmiot uczący etyki i wartości.

Skoro mamy do czynienia z instytucjonalną przemocą ze strony rządu czy dowodzonego przez Barbarę Nowacką Ministerstwa Edukacji wobec szkoły, to gdzie są rodzice? Kto ma się przeciwstawić lewackim eksperymentom na młodych Polakach, w rodzaju „diety planetarnej”, jak nie oni? Brakuje samoorganizacji?

Na pewno jest ona niewystarczająca, ale nie oznacza to, że oporu wobec niszczenia

polskiej szkoły nie ma. Jeśli spojrzeć na poszczególne szkoły, to rzeczywiście ten sprzeciw wobec polityki realizowanej przez minister Nowacką w szkołach jest często słaby. Ponadto mamy do czynienia z fenomenem, jakim jest powstanie Koalicji na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły. Nie upatrywałam winy za zapaść, w której znalazła się dziś polska szkoła, po stronie rodziców. Przecież protesty przeciw wprowadzeniu do szkół tzw. edukacji zdrowotnej miały powszechny, ogólnopolski zasięg. Rzecz w tym, że obecna władza ma za nic jakikolwiek protest, a także prawo. Przypominę, że w trakcie konsultacji społecznych w sprawie wspomnianej edukacji zdrowotnej zebrano setki specjalistycznych opinii ze strony środowisk związanych z systemem oświaty, do resortu edukacji wpłynęły setki tysięcy protestów ze strony rodziców. Minęły prawie dwa lata, a Ministerstwo Edukacji nie zdobyło się wciąż na publikację



raportu, który byłby podsumowaniem tych konsultacji. To przejaw ogromnej arogancji ze strony pani Nowackiej. Ona daje w ten sposób rodzicom do zrozumienia: „To nie wy będziecie wychowywać swoje dzieci”.

Na razie trudno odmówić Barbarze Nowackiej skuteczności. Gołym okiem widać, jak polska szkoła pod jej rządami traci szybko swoją tożsamość kształtowaną przez dziesięciolecia.

Ta „skuteczność” wynika m.in. z tego, że Nowacka z powodzeniem skłóca rodziców z dziećmi.

Nic nowego. To przecież podstawowy instrument w arsenale rewolucji.

To neokomuna w czystej postaci. Bardziej sprawna od „starej komuny”, bo ma do dyspozycji skuteczniejsze narzędzia do działania. Ale cel pozostaje ten sam: zniszczyć naród polski. Zaczyna się to od „marszu przez instytucje”, opisanego przez włoskiego komunistę Gramsciego. Najskuteczniej w obecnym rządzie tę strategię wdraża właśnie pani Nowacka, najwierniejszy „żołnierz Tuska”. W tej strategii mieści się cały zestaw działań, poczynając od niszczenia autorytetu osoby dorosłej, w środowisku szkoły przede wszystkim nauczyciela. Wszystkie filary cywilizacji chrześcijańskiej, prowadzące do piękna i dobra, są wywrócone. Dzieciom wmawia się, że liczy się tylko ich dobrostan. Termin odnoszący się do zwierzęcia. Wyraźny sygnał, że nie traktuje się młodego człowieka jako integralnej istoty ludzkiej. Zrównuje się go ze zwierzętami. Ma on dostać to, co pozwala mu na doraźne zadowolenie, bez trudu. Bez dążenia do rozwoju.

Mówiąc językiem młodzieżowym, liczy się mega-konsumpcjonizm. Reszta nie ma znaczenia.

Tak, nic poza tym nie ma znaczenia. Ty masz się „dobrze czuć”. Polska szkoła już nie wychowuje. Ona jest napychana różnego rodzaju specjalistami, psychologami, terapeutami i całą masą innych. Nauka nie jest najważniejsza. Jeżeli mamy podsumować naukę, jak we wdrażanej od początku tego roku szkolnego tzw. Reformie26. Kompas Jutra, to uczniowie zostają wyposażeni w szczątkową wiedzę. Mają być niedouczeni.

Wróć do kwestii, o którą już pytałem. Dlaczego rodzice pozostają bierni wobec działań, których konsekwencją jest niszczenie dobrej przyszłości ich dzieci?

To nieprawda, że rodzice są bierni. Z moich szacunków wynika, że w protestach przeciw wprowadzaniu do szkół obowiązkowego przedmiotu edukacja zdrowotna wzięło udział ponad 2 mln ludzi. Od czasów Solidarności w 1980 r. nie było w Polsce bardziej masowego ruchu społecznego. To, że ten protest nie przekłada się na zmianę sytuacji w poszczególnych szkołach, wynika z faktu, że jeżeli w jakiejś szkole jedna, druga czy trzecia osoba przeciwstawi się działaniom resortu edukacji, to zostaną one zniszczone. Rodzice nie bez podstaw obawiają się, że na ich sprzeciwie ucierpią ich dzieci. Stąd lepszym rozwiązaniem jest podejmowanie działania przez zorganizowaną grupę, taką jak Koalicja na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, w której skład wchodzi ponad 100 różnych stowarzyszeń i organizacji, która godnie reprezentuje ich interesy. Problemem nie są rodzice, lecz brak politycznej walki w obronie szkoły.

Rząd Tuska, wykorzystując dramaty, które niedawno rozegrały się w szkołach, chce przeforować cenzurą Internetu, żeby stłumić krytykę pod swoim adresem, udzielić w politycznych oponentów?

Odpowiedzialnością za przemoc w polskich szkołach obarczam ten rząd, niszczący naturalny porządek metod wychowywania dzieci, polegający na uczeniu samodzielności i odpowiedzialności myślenia. Po to wprowadzono do szkół armię psychologów, żeby pozbawić uczniów poczucia wiary w siebie, udowodnić im, że samodzielnie nie są w stanie z niczym sobie poradzić. Masz problem, idź do psychologa. On tobą pokieruje. Załatwi ci, że nie dostaniesz jedynki. Młody człowiek jest cały czas na „krótkiej smyczy” dziennika elektronicznego, stale kontrolowany, bez możliwości samodzielnego podejmowania odpowiedzialności za swoje czyny i trudu naprawy błędu. Dzieje się mu ogromna krzywda. Tragicznym nieporozumieniem jest ustawiczne podkreślanie wagi pomocy psychologicznej dla dzieci i młodzieży, w sytuacji gdy z premedytacją, taśmowo kreujemy takich słabych ludzi. Jeżeli nie rozróżniają oni dobra od zła, bo nie są ani karani, ani nagradzani, to jak mają dobrze odnaleźć się w rzeczywistości? W Polsce realizuje się dziś cyniczny eksperyment na młodych ludziach.

Pani diagnoza każe z obawą myśleć o przyszłości Polski. Jak ma ona trwać, rozwijać się, kiedy wychowanie zastępowane jest „hodowlą”?

Modelowym przykładem „hodowli”, o której pan mówi, jest tzw. dieta planetarna. Pół biedy, kiedy dzieci mają rodziców, którzy są odpowiedzialni i troskliwi i przygotowują posiłki uwzględniające ich potrzeby. Dramatycznie przedstawia się sytuacja tych dzieci, dla których głównym posiłkiem jest ten podawany w szkole. Rząd Tuska, z minister Nowacką, traktuje polskie dzieci jak sekta. Ludziom, którzy wchodzą do sekt, podaje się ubogie w składniki odżywcze jedzenie, żeby pozbawić ich zdolności do logicznego myślenia. To samo ma miejsce dzisiaj w naszych szkołach. Temu właśnie służy „dieta planetarna”. W obronie planety, ale przeciw człowiekowi. Z badań opublikowanych w tym roku przez hiszpański uniwersytet w Nawarze wynika, że dzieci przebadane w każdej grupie wiekowej, korzystające z „diety planetarnej”, miały braki witamin B2 i B12, miały niedobory jodu, wapnia itd. Powszechnie wiadomo, jakie spustoszenie tego rodzaju deficyty powodują w organizmach, szczególnie młodych.

Pomimo złowieszczej transformacji, która ma miejsce w naszych szkołach, masowy odzew na działalność Koalicji na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły daje nadzieję, że walka o jej przyszłość nie została jeszcze definitywnie przegrana.

Mówiąc wprost, warunkiem zmiany w polskiej szkole jest zmiana tego bardzo szkodliwego rządu, który swoim działaniem uderza najmocniej w najbardziej bezbronnych, czyli dzieci i młodzież, nie dając im wiedzy i poczucia bezpieczeństwa. Dla mnie rodzice i specjaliści reprezentujący szerokie spektrum dziedzin, którzy dziś stanowią Koalicję na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, to potencjał, z którego można skorzystać w momencie, kiedy prawica odzyska rząd. Ci ludzie cały czas pracują nad tym, jak powinna wyglądać dobra polska szkoła. To nie cyniczni ideolodzy, lecz ludzie dobrej woli, prawdziwi fachowcy zatroskani o przyszłość tego kraju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**WIĘCEJ O PRZEMOCY W POLSKICH SZKOŁACH
NA STR. 52**



Zuzanna Dąbrowska-
-Pieczyńska

Znany przedsiębiorca postanowił walczyć z fałszywymi reklamami na jego temat na drodze sądowej. Jednocześnie rozpoczął medialną kampanię wymierzoną we właścicieli platform cyfrowych, stwarzając konkretne narzędzie społeczno-technologiczne

Szef InPostu Rafał Brzoska od miesięcy walczy z oszustami wykorzystującymi jego wizerunek w Internecie. Najpierw było zdjęcie w szlafroku i kajdankach. Wokół Brzoski stali policjanci szykujący się do przeszukania domu. Do tego napis wieszczący „tragiczny koniec” przedsiębiorcy. Dalej były kolejne, sensacyjne, ale nie mające nic wspólnego z prawdą doniesienia – pobicie jego żony, Omeny Mensah, jej śmierć, a także zamach na prezesa InPostu. Materiały te pojawiały się na platformach społecznościowych, głównie na Facebooku, także jako płatne reklamy. Wizerunek i nazwisko biznesmena przyciągało uwagę. Wielu klikało z ciekawości, a niektórzy dawali się nabrać na wyłudzenia finansowe. W sierpniu TVN24 opisał kolejną falę fałszywych reklam. Jedna z grafik sugerowała, że Brzoska został zatrzymany przez policję.

WOJNA Z META

Rafał Brzoska postanowił walczyć z procederem na drodze sądowej. Jednocześnie rozpoczął medialną kampanię wymierzoną we właścicieli platform cyfrowych. Na portalu LinkedIn napisał: „Tak działa koncern Meta w Polsce – nieustająco tolerując fake newsy na mój i wiele innych publicznych osób temat... Może innym to nie przeszkadza, ale jeśli moje małoletnie dzieciaki wysyłają mi te screeny, pytając: »O co chodzi Tato?«, to jak się polskiemu zarządowi tej główniej firmy wydaje, że nic z tym nie będę robił mimo pozytywnych wyroków Sądu Polskiego – TO POWIEM TAK – na naszym miejscu szukałbym innej pracy”.

Brzoska rzuca wyzwanie gigantom



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Przedsiębiorca ma na koncie sukces, ponieważ wiosną Sąd Apelacyjny w Warszawie wydał korzystne dla niego rozstrzygnięcie dotyczące zabezpieczenia jego roszczeń wobec Mety. Jednak pomimo tego, a także działań Urzędu Ochrony Danych Osobowych podobne materiały nadal pojawiają się w Internecie. Meta przedstawiła swoje stanowisko w oświadczeniu przekazanym TVN24. Koncern zapewnił, że usuwa oszukańcze reklamy, bo szkodzą one również jego działalności. Jednocześnie skrytykował Brzoskę za publiczne wymienianie nazwisk osób zarządzających firmą w Polsce. „[...] publiczne wymienianie z nazwiska i atakowanie naszych pracowników w sieci zagraża ich bezpieczeństwu i w żaden sposób nie przyczyni się do rozwiązania problemu” – przekazano.

Szef InPostu nie wziął komunikatu za dobrą monetę. „Próżno szukać w nim słowa »przepraszamy«. Jest za to zdanie, że publiczne wymienianie z nazwiska ich pracowników »zagraża ich bezpieczeństwu«. To z płatnych reklam na Facebo-

oku i Instagramie dowiedziałem się, że zatrzymała mnie policja, że pobiłem żonę, że moja żona nie żyje i że nastąpił »mój tragiczny koniec«. Widziały to moje dzieci. Mam prawomocny wyrok Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Reklamy nadal lecą” – odpowiedział. Dodatkowo w sierpniu konto Brzoski na Instagramie zostało czasowo zablokowane – jako reakcja platformy na ostrą krytykę. W spór włączyli się przedstawiciele polskiego rządu.

POZNAJ SWOJEGO KLIENTA

Na początku września Brzoska pokazał kolejne przykłady internetowych manipulacji. W jednym z materiałów stwierdzono, że padł ofiarą zamachu. „Zamach na moje życie... Tak! Wydawało mi się, że po zdjęciu w kajdankach trudno o większą podłość, jaką mogę zobaczyć na polskim Facebooku, ale się myliłem!!! Czy ktoś wreszcie ukróci te działania?” – pytał na LinkedIn. Wezwał kierownictwo Mety, odpowiedzialne za działalność koncernu w Europie Środkowo-Wschodniej, do reakcji. Wyszedł z konkretną

propozycją. „Proponujemy prostą zmianę przepisu o KYC [Know Your Customer (Poznaj Swojego Klienta) to obowiązkowy proces należytej staranności i weryfikacji tożsamości klienta stosowany przez instytucje finansowe, banki, fintechy oraz giełdy kryptowalut – przyp. red.], która położy temu szaleństwu kres – liczę na wszystkich Posłów i Senatorów, a także Pana Prezydenta. Nie pozwalajcie na to, by jeden koncern zarabiał brudną kasę na Polakach!” – apelował.

Niedługo później opublikował zrzut ekranu z innego materiału. Tym razem grafika przedstawiała rzekomo jego żonę w szpitalu. Widniał na niej napis: „Tragiczny koniec Omeny Mensah w wieku 47 lat”. „Ponownie »uśmiercana« jest dzisiaj moja żona! Tym razem na YouTube!!! Gdzie są granice człowieczeństwa?!” – grzmiał Brzoska. Przedsiębiorca po raz kolejny wezwał do zmiany przepisów. „Nie ma innej opcji, jak wdrożenie natychmiastowe procedur #KYC dla dużych platform – zespół #SprawdzaMY zaproponował szybkie i skuteczne zmiany prawa, by raz na zawsze skończyć ze scamem i deepfake'ami w Polsce! Każda platforma będzie musiała dokonać weryfikacji reklamodawcy, by oszuści i kreatorzy deep fakes nie mogli anonimowo ich plasować wśród reklam! Za brak weryfikacji – horrendalna kara dla platformy” – przekonywał na LinkedIn. Brzoska postuluje objęcie KYC dużych platform internetowych, które przyjmują płatne reklamy.

AI NA SŁUŻBIE DEEPFAKE'ÓW

Wykreowane za pomocą sztucznej inteligencji reklamy używają wizerunków innych znanych osób. Pojawiło się np. nieprawdziwe nagranie przedstawiające rzekomo rozmowę Bogdana Rymanowskiego z Karolem Nawrockim. Fałszywy prezydent zachwala oszukańcze usługi inwestycyjne. „Ten wywiad jest fałszywy! Od pierwszej do ostatniej sekundy. Dziennikarz Bogdan Rymanowski nigdy nie przeprowadził tej rozmowy. Prezydent Karol Nawrocki nigdy nie wypowiedział tych słów. Całość wygenerowała sztuczna inteligencja. Publikuję to nagranie jako ostrzeżenie, bo dokładnie takimi materiałami oszuści wyłudniają dziś od Polaków oszczędności życia na fałszywe inwestycje za przy-

zwoleniem właściciela Facebook Polska, czyli Meta” – wyjaśniał biznesmen. Jego zdaniem techniki, które dziś są używane do naciągania poszczególnych osób, w przyszłości mogą posłużyć także do siania paniki i destabilizacji państwa. „Wyobraźcie sobie identyczny fałszywy wywiad, w którym prezydent, premier, marszałek Sejmu, minister Obrony Narodowej, członkowie rządu i Parlamentu oraz znane osoby życia publicznego ogłaszają ewakuację dużych miast. Albo znany dziennikarz podaje nieprawdziwą informację o ataku. Miliony ludzi widzą to w telefonach w tej samej chwili. Zanim ktokolwiek zdąży to zdementować, na drogach jest chaos, a w kraju popłoch” – kreśli wizję Brzoska.

Wykreowane za pomocą sztucznej inteligencji reklamy używają wizerunków wielu znanych osób, np. Karola Nawrockiego

W swojej walce z platformami cyfrowymi przedsiębiorca powołał się na śledztwo dziennikarza Christa Grozeva i Tatsiany Ashurkevich, dotyczące produkcji fałszywych materiałów przez rosyjskie podmioty. Autorzy zamówili deepfake za 80 dol., a za kolejne 80 dol. doprowadzili do jego opublikowania jako wiadomości. Materiał miało następnie powielić sześć rosyjskich redakcji. „Nie mówimy więc o zagrożeniu z przyszłości, tylko o narzędziu, którego rosyjskie służby używają już teraz” – alarmuje Rafał Brzoska.

WERYFIKACJA REKLAMODAWCÓW

Przedsiębiorca przeszedł do działania. W ramach inicjatywy #STOPScam powstało narzędzie służące do analizowania reklam publikowanych na platformach Mety. Pod koniec sierpnia przedsiębiorca przedstawił wyniki analizy: „Przez ostatnie tygodnie #STOPScam narzędzie [...] pobrało z biblioteki reklam Meta ponad 2 miliony reklam emitowanych w Polsce i przeanalizowało 1,76 miliona z nich. Wynik? 290 829 reklam podejrzanych, czyli 16,5 proc. – 28 215 – z nich to oszustwa bardzo wysokiego ryzyka: fałszywe

inwestycje, podszywanie się pod marki i urzędy, wyłudzenie danych, nielegalny hazard, a nawet treści pornograficzne i pedofilskie”. Przedsiębiorca przedstawił trzy postulaty legislacyjne: obowiązkową weryfikację reklamodawców, karę w wysokości 150 proc. przychodów uzyskanych z emisji oszukańczych reklam oraz utworzenie funduszu kompensacyjnego dla poszkodowanych.

Zastrzeżenia wobec modelu reklamowego Mety pojawiają się również poza Polską. Agencja Reutera opisała wewnętrzne dokumenty koncernu, według których firma szacowała, że reklamy oszustw i zakazanych produktów mogły odpowiadać za ok. 10 proc. jej globalnych przychodów reklamowych w 2024 r. Oznaczałoby to ok. 16 mld dol. Z ustaleń dziennikarzy wynikało także, że system automatycznie blokował reklamodawców dopiero po osiągnięciu bardzo wysokiego poziomu pewności, iż chodzi o oszustwo. W przypadku części podejrzanych kont koncern miał stosować wyższe stawki reklamowe, aby zniechęcać do nadużyć. Meta utrzymuje, że walczy z oszustwami, a w 2025 r. usunęła ponad 159 mln fałszywych reklam, w większości jeszcze przed zgłoszeniem ich przez użytkowników.

STRATY POLAKÓW

Piotr Mieczkowski, dyrektor zarządzający Fundacji Digital Poland, w tekście na portalu money.pl zwrócił uwagę, że problem nie ogranicza się do naruszenia wizerunku znanych osób. „W całym sporze nie chodzi wcale o Rafała Brzoskę. Chodzi o infrastrukturę cyfrową generującą miliardy oszustw, którą big techy udostępniają przestępcom na takich samych zasadach jak właściwym reklamodawcom, z pełnym systemem cyfrowych płatności, optymalizacją kampanii i profilowaniem odbiorców i automatycznym zwiększaniem skuteczności przekazu” – napisał. Przywołał dane Revoluta, według których platformy należące do Mety były powiązane z 58 proc. oszustw zgłaszanych przez klientów firmy w Polsce. Nie oznacza to jednak, że Meta była bezpośrednim sprawcą tych przestępstw. Według policyjnych szacunków, cytowanych przez eksperta, w latach 2023–2025 straty Polaków w wyniku oszustw internetowych przekroczyły 1,8 mld zł.



Piotr Gociek

Wiele książek napisano o twórcy „Ubika”. Ale biografia pióra Emmanuela Carrère’a jest wyjątkowa, patrzy na poszukiwania religijne pisarza z punktu widzenia katolika

Wybiła już godzina uznania przez mainstream. Biografia, którą kończycie czytać, jest tego przejawem – napisał Emmanuel Carrère w postłowie do napisanej przez siebie biografii Philipa K. Dicka. Był rok 1993, mijało lat 11 od przedwczesnej śmierci autora „Człowieka z Wysokiego Zamku”. Jeśli wtedy wybiła godzina, to dziś, trzymając się metafory, biją dzwony w kościołach całego świata. Dick jest autorem uznawanym za jednego z najważniejszych amerykańskich twórców XX w., a to, że sławę zdobył najpierw wśród czytelników fantastyki, ma znaczenie drugorzędne.

Faktem potwierdzającym tę tezę jest przecież także i to, że książka „Ja żyję – a wyście pomarli. Biografia Philipa K. Dicka” ukazuje się w Polsce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, obok biografii takich twórców jak Orwell, Huxley i Camus. Niedawno pojawił się na rynku specjalny numer literackiego pisma „Elewator”, poświęcony w całości twórczości Dicka. I nikogo to nie zdziwiło, ot, raz analizuje się Yeatsa czy Norwida, innym razem Płatonowa, Mishimę czy Joyce’a.

Ciekawym przemianom podlega też recepcja dorobku amerykańskiego pisarza wśród czytelników. Pamiętam, jak w latach 90. ukazywały się pierwszy raz po polsku także jego mniej udane czy uznawane za mniej ważne powieści. Wtedy zbywano je często zdaniem „no tak, »Ubik« to to nie jest”. Dziś te same tytuły, często w nowych przekładach, są regularnie wznawiane w serii dzieł zebranych Dicka i czytane są ponownie już z innym podejściem: A może czegoś nie dostrzegliśmy? Coś tu na pewno musi być ciekawego zaszyte. I tak Dick zamienił się



FOT. ARTHUR KIMMEL/ODENA PUBLICZNA

z pisarza czytanego w pisarza, którego dorobek jest także pilnie studiowany.

WIELKIE TEMATY

Dla tych, którzy z fenomenem Dicka się nie zetknęli, autor „Słonecznej loterii” i „Trzech stygmatów Palmera Eldritch’a” zdobył sławę nie dlatego, że zrecznie opowiadał historyjki o międzygwiazdnych wyprawach, podróżach w czasie

czy gadających robotach. Stało się tak dlatego, że miliony czytelników uznały za swoje najważniejsze tematy, które Dick obsesyjnie eksplorował w opowiadaniach i powieściach. Pierwszy to pytanie o granicę między tym, co prawdziwe a sztuczne (a nawet: podrobione). Kopie ludzi, podróbki zwierząt, sztuczne istoty nie do odróżnienia zaludniają światy Dicka. Jak je traktować? Szczególnie gdy

potrafią (czy naprawdę) zachować się bardziej ludzko od człowieka.

To prowadzi nas do drugiego wielkiego tematu Dicka: Kto jest stwórcą uniwersum? Czy to Bóg, czy demiurg? Dick był gnostykiem przekonanym, że otacza nas świat ułomny i zły właśnie dlatego, że nie jest to świat prawdziwy. Boga Stwórcę utożsamiał z pięknem, harmonią i dobrem. Spójrzcie tymczasem na to, co nas otacza. Skoro jest, jak jest, to znaczy, że kto inny maczał w tym palce.

Powstało wiele biograficznych lub wspomnieniowych książek o Dicku, w tym kilka napisanych przez jego byłe żony. Za klasyczną i najważniejszą uważa się „Boże inwazje” Lawrence’a Sutina (wydawane także po polsku), która stanowi dobrą podstawę do dalszych badań. Sutin zaproponował książkę tradycyjną, zestawiał fakty w odpowiedniej kolejności, poświęcił wiele miejsca analizie i ocenie każdej kolejnej książki, tak powinna wyglądać porządna biografia. Podobną robotę na niwie krytyki literackiej wykonał Kim Stanley Robinson w pionierskiej pracy „The Novels of Philip K. Dick”, która była rozwinięciem jego pracy doktorskiej i ukazała się w roku 1984 (dwa lata po śmierci Dicka).

Anthony Peake w książce „Człowiek, który pamiętał przyszłość. Życie Philipa K. Dicka” stawiał własną tezę (równie szaloną, jak niejeden koncept z książek pisarza), że Dick był obdarzony szczerą, prekognicją i „przeżywał” czy też „pamiętał” fakty ze swego przyszłego życia, co sprawiało, że jego umysł funkcjonował w czasowej pętli, a jego książki to po prostu w dużym stopniu autobiografie. Peake wiele miejsca poświęcał też analizie przeżyć Dicka w kontekście spożywanych przez niego substancji czy możliwych neurologicznych urazów. Wyciągał jednak z tej pracy inne wnioski niż ta szkoła biografów, która uważa, że żadnej tajemnicy u Dicka nie ma, że wszystko to po prostu są majaki człowieka chorego psychicznie i sięgającego po narkotyki.

BIOGRAFIA WCIELENIOWA

Na tle wszystkich tych rozważań biografia, którą napisał Emmanuel Carrère wydaje się szczególnie ciekawa. Po pierwsze, Francuz sam jest pisarzem, i to pisarzem znaczącym, o czym przekonali się także polscy czytelnicy sięgający po „Królestwo” czy „Jogę”. Odczytuje zatem

Dicka z większą empatią, a w zakamarki twórczości zagłębia się z większą ciekawością niż zwykły badacz.

Bez wątpienia po lekturze biografii powiedzieć mogę, że jest nie tylko admiratorem i przyjacielem Dicka i jego dzieła. Sprawia to, że „Ja żyję – a wyście pomarli” to coś w rodzaju biografii wcieleniowej (jeśli takie pojęcie nie istnieje, to właśnie je ukułem), kiedy to biograf stąpa śladami swego bohatera, starając się odtworzyć jego tok myślenia na podstawie tego, co emocjom autora było najbliższe, czyli jego dzieła, a nie zapisków czy historyjek z życia codziennego. Nie oznacza to, że lekceważy te ostatnie źródła, ale że w pierwszej kolejności stara się postawić siebie w miejscu autora, by dostrzec to, co tamten dostrzegał, a czego być może inni dziś nie dostrzegają. W finałowych partiach opowieści ten intymny punkt widzenia przeważa, kiedy już nie wiadomo, czy mówi do nas Carrère, czy Dick podrobiony przez Carrère’a.

Francuski twórca często sięga po formę łączącą non-fiction z prozą, jest to zresztą zabieg bardzo charakterystyczny dla dzieł ostatnich dekad, było tak i w „Limonowie” o rosyjskim faszystowskim komunizmie (a zarazem bardzo utalentowanym pisarzu), było tak i w autobiograficznych opowieściach Carrère’a. A propos kwestii z jego życia, jest jednym z tych czytelników, którzy zakochali się w Dicku w latach 70. XX w. za sprawą lektury „Ubika”. Droga bardzo charakterystyczna dla czytelnika francuskiego, bo to właśnie „Ubik” sprawił wówczas we Francji, że sława Dicka wzrosła niepomniernie (inna kwestia, że za sprawą zwulgaryzowanej, niefrazonej interpretacji tego dzieła jako tyrady antykapitalistycznej).

Ważniejsze dla książki „Ja żyję – a wyście pomarli” jest jednak nie to, kiedy Carrère zaczął czytać Dicka, ale to, kiedy pisał o nim książkę. A był to początek lat 90., kiedy francuski twórca przeżywał okres wzmożonej fascynacji katolicyzmem, regularnie uczęszczał na Msze i zafascynowany był głęboko początkami chrześcijaństwa, zwłaszcza postacią św. Pawła. Okres ten opisał zresztą potem w znakomitym „Królestwie”, nie wiem, czy nie

jego najlepszej książce, stanowiącej jednocześnie zapis jego duchowych uniesień, jak i późniejszego odejścia od wiary i przejścia na pozycję agnostyka.

OBJAWIENIE?

Wszystko to czyni Carrère’a wyjątkowym odbiorcą, komentatorem i krytykiem dorobku Dicka, a także nietypowym biografem. Sprawy, które często lekceważone są przez innych jako rojenia, u francuskiego autora stają się fundamentalne. Przypomina nam Carrère, że Dick nawrócił się na katolicyzm, szarpał się potem z tą wiarą, nie dała ukojenia udręczonej duszy, ale faktu nie da się zanegować. Za sprawą lektury św. Pawła zrozumiał, że doświadczenie empatii, które wcześniej opisywał, to chrześcijańskie miłosierdzie. Książ, z którym rozmawiał o swoich doświadczeniach, mówił mu, że ujrzał twarz Szatana. Sam Dick przekonany był, że w pewnym momencie skomunikował się z nim Bóg Stwórca bezpośrednio. Ale nie wiedział który, ten prawdziwy czy ten fałszywy? W listach (ukazało się pięć tomów) znaleźć możemy wprost wyznania Dicka o tęsknocie za doświadczeniem Jezusa.

To doświadczenie naznaczyło jego pisarstwo w ostatnich latach życia i sprawiło, że napisał osiem tysięcy stron „Egzegezy” interpretującej tzw. epizod VALIS, czy też epizod „2-3-74” [od daty: luty-marzec roku 1974 – przyp. P.G.]. Było to niewyjaśnione do dziś olśnienie (objawienie?), dzięki któremu zaczął doświadczać życia w dwóch różnych planach czasowych, zaczął rozumieć aramejski i co najważniejsze, oświadczył, że jego syn cierpi na schorzenie, które

zagraża jego życiu i wymaga pilnej operacji. Wizyta u lekarza potwierdziła diagnozę Dicka, operację przeprowadzono.

Dla wielu krytyków – i sporej części czytelników – wszystko to jest objawem wariactwa. Carrère odpowiada: To wyraz poszukiwania odpowiedzi na pytania najważniejsze. Czy Bóg mówi do nas? Czy go rozumiemy? Czy dobrze interpretujemy to, czego od nas wymaga? Kto nas stworzył i po co? Tylko wielcy pisarze zmagają się na serio z tymi tematami. Był więc Dick wielkim pisarzem. © Wszelkie prawa zastrzeżone



EMMANUEL
CARRÈRE
„JA ŻYJĘ
– A WYŚCIE
POMARLI”
PIW 2026



Romans epistolograficzny



Tomasz Zbigniew Zapert

Agnieszka Osiecka wciąż rozpala wyobraźnię. Dowodem jesienne premiery teatralne (Ateneum i Rampa) jej poświęcone, kolejne książki memuarystyczne (czy wystarczy ręk obu dłoni, by je policzyć?) oraz zbiory listów

Od śmierci tej płodnej tekściarki miną wkrótce trzy dekady, ale dla kolejnych pokoleń Polek i Polaków nie jest ona figurą anonimową. Bez wątplenia przyczynił się do tego serial telewizyjny przedstawiający jej życiorys i przypominający dorobek twórczy. W ostatnich tygodniach druku doczekały się wydobyte z archiwum Osieckiej listy do Janusza Minkiewicza (vide: recenzja Krzysztofa Maślonia pt. „Kiedy w mózgu śpiewa ptaszyna”, „Do Rzeczy” nr 34/2026)), a teraz upubliczniono korespondencję z Jerzym Giedroyciem. Jestem pewny, że odbiją się one znacznie szerszym echem od jej „Dzienników”. Infantylnych, pretensjonalnych i środowi-

skowych bajdurzeń w typie pamiętników pensjonarek. Sześciotomowa (!) edycja zyskałaby na wartości, gdyby odpowiedzialna za nią redaktor Karolina Felberg użyła nożyczek. Na szczęście korespondencja Osieckiej z Giedroyciem zdecydowanie może się bez nich obejść.

BŁĘKITNY, MAŁY KWIAT

Relację obojga naświatliła swego czasu Joanna Siedlecka. W głośnej książce „Kryptonim »Liryka«. Bezpieka wobec literatów” ujawniła, że Osiecka znalazła się w kręgu zainteresowania Służby Bezpieczeństwa m.in. z powodu bliskich kontaktów z Redaktorem. Operacji prowadzonej w tej sprawie nadano kryp-

tonim Osa. W wyniku nacisków esbecji napisała „własnoręczne, kilkustronicowe [...], rytualne »pokajanie«, odcinając się od Giedroycia, przyznając do błędów”. Bynajmniej nie oznaczało to jednakże końca relacji z Księciem z Maisons-Laffitte.

Czy ich pionierskie spotkanie w Paryżu, dokąd trafiła przy okazji winobrania, na które wybrała się do Francji latem roku 1957 wraz z gronem STS, można określić mianem coup de foudre? Wkrótce podążył za nią do stolicy Albionu: „Miła Panno Agnieszko, To ja bardzo dziękuję za »Londyn«. Trudno mi nawet powiedzieć, jak nie chciało mi się wyjeżdżać. Pocięszam się tylko, że niedługo będzie Pani w Paryżu [...]. Jakoś się konspiracyjnie wyklamiemy przed »opinią« Maisons-Laffitte” – pisał wyraźnie oczarowany. Adresatka skwitowała to słowami: „Za dużo barier jest między nami. Najlepiej było mi właściwie z Panem w Londynie. Tam byliśmy oboje wyabstrahowani z miejsc, do których należymy”.

Odpisała z Łodzi, gdzie studiowała reżyserię w PWSFTViT: „Kiedy Pan przyniósł fiołki w Londynie, myślałam, że się pobeczę [...]. Ciepły wieczór. Pod oknami gromada chłopaków z harmonią (!) śpiewa. Dziewczyny wychylają się przez okna i wołają: »Błękitny kwiat«. Zaśpiewajcie »Błękitny, mały kwiat«! Rzucają im papierosy i cukierki”.

KSIĄŻĘ I KOMSOMOŁKA

Zażyłość w listach systematycznie narastała, vide: romantyczne wyznanie Giedroycia: „Miła Kikimoro, najpierw parę słów wyjaśnienia. Kikimora w moich dalekich rodzinnych stronach to jest taki duszek, dziwożona – czy jak to nazwać – która normalnie żyje na naszych bagnach w postaci tańczących płomyków czy ogników. Nieostrożnym przechodniom pokazuje się w kuszącej postaci zielonookiej, jasnowłosej dziewczyny i wciąga ich w topiele [...]. Jakkolwiek tak strasznie daleko jest z Maisons-Laffitte do Mińszczyzny, a Pani jest niebieskooka (niestety), to jednak...”. Na co ona: „Kiedy Ciebie poznałam, to była między nami prawdziwa przepaść (książę i komsomołka)”.

Trzydziestoletniej różnicy wieku korespondentów w ich listach się zupełnie nie wyczuwa. Nazywa ją: „Moja Śliczna i Daleka, Moja Najśliczniejsza, Śliczna Kikimoro, Najśliczniejsza”. Już na progu



**PRZEDMOWA:
DAWID MARIA
OSIŃSKI
„OSIECKA
– GIEDROYC.
LISTY ROZGRY-
MASZONE”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA**

zażyłości listownej wyznaje: „Po szczeniaku się cieszę, że chce Pani mi mówić po imieniu”.

BLAMAŻ EDYTORSKI

Olbrzymim mankamentem publikacji są rażące lapsusy w przypisach pióra Marty Dobromirskiej-Passent, stanowczo pozbawionej kwalifikacji w tej dziedzinie, o czym przekonaaliśmy się już zresztą podczas lektury wyboru listów Osieckiej do Minkiewicza. Kompozytor Konieczny nosi imię Zygmunt, Ziemowit Fedecki nie zakładał STS, lecz był jego filarem, felieton w „Dzienniku Polskim” (londyńskim) publikował Nowakowski Zygmunt, nie Marek, a na łamach „Tygodnika Powszechnego” zamieszczał je Andrzej Kijowski (a nie jego syn). „Zróbmy coś, żeby coś zależało od nas!” to tekst piosenki skomponowanej przez Marka Lusztiga, nie Seweryna Krajewskiego, przebój „Na całych jeziorach ty” nie opiewał mazurskiego leśniczego, ale związek autorki z Jeremim Przyborą. Rozumiem, że wieku paniom nie liczymy, lecz też ich nie odmładzamy. „Ja mam wszystkie Twoje listy, nic nie zniszczyłam. Schowałam przed rewizją i koniec!” – napisała w 1970 r. Osiecka, już 34-letnia!!!

Kardynalny błąd dotyczy pionierskiego pośrednika w wymianie korespondencji między Paryżem a Warszawą. Nie był nim Karol Małcużyński, jak wynika z przypisu na stronie 88, lecz Karol Hirschberg. Dziennikarz („Robotnik”, „Express Wieczorny”) o filmowym życiorysie, sygnujący swe teksty Hig, poznany przez Giedroycia pod Tobruckiem.

„Ten bezczelny Karol, który miał to załatwić najbardziej anonimowo – wepchał się. Nie znoszę tej żydowskiej bezczelności. Mam do niego pewną słabość. Jest to mój kolega z wojska [...]. To taki typ ni to gangster, ni to cynik z przebłykami żydowskiego sentymentalizmu”.

ZŁOŚĆ ŻŁE UKIERUNKOWANA

Pozostaje zagadką, na ile Osiecka stosowała w listach autocenzurę. Poniższy passus rzuca na to zagadnienie snop światła: „Jest to pierwszy od wielu miesięcy list, który mogę napisać szczerze, normalnie, bez żadnych niedomówień. Zabiera go ze sobą przyjaciółka Matki jadąca do Anglii. Nie muszę się obawiać cenzury [...]. Mnie

po prostu nie wolno jest z Wami korespondować. I tu znowu potrzebne jest małe wyjaśnienie: ten »zakaz« nie jest zakazem policyjnym. Jego złamanie nie grozi mi kryminałem, utratą pracy, słowem żadnymi koestlerowskimi historiami. To się na szczęście rzeczywiście tu nie zdarza. Ale od tego po prostu zależą wyjazdy za granicę. Już kiedyś, bardzo dawno, pisałam Panu, że moje »kontakty z pewnymi kołami« zostały uznane tutaj za podejrzane – nic na to nie poradzę... Więc poradzono mi systematyczne uwalnianie się od tych podejrzeń – m.in. zaniechanie intensywnych korespondencji z Wami [...].

Zdaje się, że największą nieostrością z tej dziedziny, jaką popełniłam, było listowne namawianie Pana na wyjazd do Jugosławii, gdyż »odpowiednie czynniki« się o tym dowiedziały i ani rusz nie mogły uwierzyć w prywatny charakter takiego rendez-vous... Zresztą rozmawiano ze mną na ten temat w sposób kulturalny, lecz stanowczy...”

Mimo trudności paszportowych podróżuje. „Czasem żałuję, że nie zostałam na Zachodzie”. U schyłku lat 60., przebywając w USA, opisała Giedroyciowi stan autora „Zniewolonego umysłu” („Biedny Czesław jest w złej formie, szalenie pije, przeżywa duży kryzys twórczy i dostaje to, co nazywam »kompleksem Wańkowicza«, chciałby odświeżyć swoje laury w Polsce”) i klarowała adresatowi tło bieżących wydarzeń w Polsce.

„Pomyśl: w dziesiątkach fabryk szefem politycznym, partyjniakiem, »panem kierownikiem« bywał Żyd. Wiem, jak ludzie nie cierpieli »pana kierownika«. No, więc zaczęli właściwie na nowo wymyślać antysemityzm. Jak gdyby nie słyszeli o przedwojennym. Tamten był związany np. z różnicami religijnymi. A ten nie jest! Jest w nim normalna złość na »partyjniaków«, źle ukierunkowana”.

Po czym dodawała: „Amerykańska prasa żydowska nie bardzo mi się podoba [...]. Mieszą rząd z narodem polskim i robią z nas jakichś żydożerców w stylu pogromów”. I dalej: „W telefonie Zygmunt [Hertz – przyp. T.Z.Z.] mi powiedział, że uważasz, iż naród polski jest na dnie upadku. Tak samo uważa Andrzej Jarecki i masa literatów z kawiarni »Czytelnika«.

Ale błagam Cię, Jerzy, pamiętajcie, że ten naród pierwszy raz wygrzebał się z nędzy i że musi odpocząć, zanim się zerwie do następnych powstań i rewolucji [...]. Ludzie u nas rozpaczliwie gonią za jednym dolarem, za stową, za pralką, za wczasami i nic ich nie obchodzi Andrzejewski, Czesi, STS, Słonimski i nawet Żydzi. Jeden mój kolega tak się zapędził w tym obrażaniu się literatów na naród, że powiedział złe słowo nawet o okupacyjnych czasach (że to jest naród szmalcowników, że podziemie było bez sensu i tylko kwitł przemysł itp.) [...]. Nie można ani wychować narodu, ani obudzić jego sumienia, jeśli będzie się tylko zaplawać ze złości na ten naród, wymyślać od żydożerców itp.”

Redaktor odpowiadał: „Zygmunt jest mieszaniną Wojskiego, pachciarza i przedwojennej Ziemiańskiej, który na zasadzie drobnych przysług winduje się do tzw. elity intelektualnej. Nic nie rozumie, jest tylko uzbrojony w potężną encyklopedyczną wiedzę plotkarską i coraz apodyktyczniej wyraża różne opinie. Zosia [Hertz – przyp. T.Z.Z.], którą tak cenię, to nie jest jednak partner”.

NATURA UCZUCIOWA

Polityka powraca w listach Osieckiej po 13 grudnia 1981 r.: „Wyszedł [z więzienia] Marek [Nowakowski], dużo siedzi w domu, piżamuje, humor marny. Sama jeszcze po więzieniu Marka nie widziałam, chociaż to ja z wywieszonym językiem słałam po całej Europie list z podpisami w jego sprawie. Świntuch nawet nie zadzwonił. Czy poznał Pan jego żonę, adwokatkę, Jolę? Jest nadzwyczajna! Dzielna, pogodna, ostra i ma zdrowie do niego”.

Prowadzoną przez 33 lata – z rozmaitym intensyfikacją – epistolografię wieńczą wyznania natury uczuciowej: „Wstyd mi, że krępowałam się zostać Twoją dziewczyną, a w końcu nie krępowałam się wyjść parę razy za męża, mieć dzieci i tak dalej [...]. Pokochałam Pana jako młoda dziewczyna, kiedyś tam jako Kikimora, i kocham Pana teraz – taka, jaka jestem. W środku, gdzieś w latach sześćdziesiątych, szukałam w ludziach wielkich rzeczy, których nie znajdowałam, bo są tylko w Tobie [...], myślałam, że ułożę sobie normalne życie z normalnym Polaczkiem w normalnym domu... Nie wyszło”.



FOT. IMC

Świętość w Iukrze



Dariusz Wieromejczyk

Bardzo oryginalną lekturą obdarzyło czytelników wydawnictwo Biały Kruk. Jest to książka Czesława Ryszki zatytułowana „Historia i świętość. Zofia Kossak. Biografia ilustrowana”

Czesław Ryszka to autor, dla którego opisywanie rozmaitych dróg do świętości wydaje się chlebem powszednim, a nawet pisarską rutyną. Ma on już na swoim koncie takie pozycje jak „Andrzej Bobola. Orędownik Polski. Życie, męczeństwo, świętość”, „Wiara i ofiara. Życie, dzieło i epoka św. Maksymiliana M. Kolbego”, „Prymas Wyszyński. Ojciec Ojczyzny”, „Błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko. Tajemnica życia i śmierci”, „Jan Paweł II Wielki”, „Przeor Kordecki”, „Upragniona świętość. Błogosławiona Janina Szymkowiak”, „Cuda Boże. Matka Boska i święci w naszych dziejach” – oraz tuziny nie mniej szlachetnych w tytule i zamiarze opracowań. Zagadnieniem świętości zajmuje się więc autor metodycznie i nie od dziś. Sam opisuje siebie jako „strażnika polskich dziejów i wartości chrześcijańskich”.

PROSTE ZADANIE

Choć znakomita polska pisarka, Zofia Kossak, nie została jeszcze wyniesiona na ołtarze, to także jej losy postanowił wziąć na warsztat ten płodny i pracowity autor. Zagadkę swojego wyboru wyjaśnia on czytelnikom klarownie. „Moim zdaniem pisarka, jako artystka, matka, patriotka, chrześcijanka, wielka Polka, jest idealną kandydatką do wyniesienia na ołtarze.

Takich wzorów i świadków nam trzeba. Święci, o których pisała, rodzą nowych świętych” – zapewnia Czesław Ryszka.

Pod piórem mniej obytego ze świętością autora podobne założenie początkowo mogłoby się wydawać przeszkodą, a nawet ograniczeniem w pracy twórczej. Czesław Ryszka widzi w nim tylko ułatwienie swego, jak skromnie przyznaje, prostego zadania. „Czytając utwory Zofii Kossak, bardzo łatwo dostrzec w nich ów blask piękna Bożego, a konkretnie: wewnętrzny cel moralny i religijny, zasadzający się na chrześcijańskich wartościach. Bezwzględnie wybitność tych utworów wiąże się z ich religijnym wymiarem, a dokładnie z kręgiem mentalnym zatoczonym przez chrześcijaństwo. Aby to zauważyć, nie trzeba analizować tych utworów literackich z jakąś wyznaniową czunością czy porządkować ich przy pomocy teologicznego warsztatu. Można bez większej pomyłki i bez specjalnego dowodzenia wykazać, że w większości dzieł Zofii Kossak religijny wymiar jest zasadniczym elementem tak konstrukcji, jak i fabuły utworu”.

Wykazywanie świętych racji „bez specjalnego dowodzenia” jest istotą recenzowanej książki. Stanowi ona swoistą antologię podniosłych, duchowionych, prawowiernych i żarliwie katolickich cytatów, starannie wybranych z bogatego dziedzictwa literackiego Zofii Kossak. Autor, którego otwarcie deklarowanym celem jest przekonywanie czytelnika o szlachetności, patriotyzmie i duchowej mocy swej bohaterki, nie dzieli się z odbiorcami żadnymi, co do powyższych przymiotów, wątpliwościami. W tak skonstruowanej opowieści nie mają się one prawa pojawić. Tam, gdzie cytowane przez Czesława Ryszkę fragmenty utworów Zofii Kossak są niewystarczająco prawowierne i podniosłe, autor uzupełnia je własnym, nie mniej uduchowionym, wyjaśnieniem bądź cytatami z pozostałych polskich świętych. Ich

dorobek zna przecież jak mało kto. Podobną technikę stosuje, przedstawiając biografię bohaterki, subtelnie uwypuklając fakty, które przyczynić się mogą do wyniesienia Zofii Kossak na ołtarze.

PĄTNICZYM SZLAKIEM

Metodę pisarską zastosowaną przez Czesława Ryszkę można najlepiej zilustrować na niewielkim, mniej znanym fragmencie dorobku pisarki. W roku 1936 wyjechała ona w pielgrzymkę do Ziemi Świętej, której owocem była niewielka książeczka pt. „Pątniczym szlakiem”. Oto jak opisuje to dzieło Czesław Ryszka: „Nie tylko ukazuje ona piękno i wartość Ziemi Świętej, lecz także zawiera ogromną wiedzę historyczną, przekazaną z gorącą, żywą wiarą. O tym, jak wysoki był stopień przygotowania merytorycznego autorki do napisania »Krzyżowców«, świadczy fakt, że żołnierze generała Andersa zwiedzali Ziemię Świętą, trzymając w ręku jej książkę pt. »Pątniczym szlakiem«. Nie jest to zwykły przewodnik, ponieważ zawiera pogłębione spojrzenie na to, czym jest to miejsce dla chrześcijan, dla Europejczyków. Oprócz tego zawiera urocze obrazki z podróży, obserwacje innych pielgrzymów, opisy miejscowych tradycji i zachowań”.

Czytelnik, który poświęci się samodzielnej lekturze fascynującej, choć czasem zaskakującej książki „Pątniczym szlakiem”, zdziwić się może treścią tego „przewodnika”. Oto jak opisuje autorka koptyjską procesję w Jerozolimie: „Koptowie zamykają pochód. Jednocie czarno odziani, ciemnoniccy, posępni, dziwaczni. Śpiew ich nie jest śpiewem, nie jest nawet zawodzeniem, lecz przeraźliwym, zwierzęcym stękanieniem. Monotonnym jak bek kozy, rozdzierającym jak ryk osła. Mieszając wszystkie te głosy i pienia w jedną przerażającą kakofonię, spoglądając na siebie wzajem z niechęcią i podejrzliwie, procesja okrąży bazylikę wkoło”. Kilka stron wcześniej autorka tak

opisuje spotkanych na Bliskim Wschodzie miejscowych chrześcijan: „Szeroka jego twarz wyraża roślinny spokój i niezdolność myślowego wysiłku. Jakoż na podobieństwo maronitów, nestorianów i innych odcieni starochrześcijaństwa Koptowie dawno zatracili rzeczywistość, czujną i czynną wiarę. Zakrzepli w formach sprzed dwu tysięcy lat, zabagnionych naleciałościami innych wiar, zwłaszcza islamu, pozostali na mieliźnie, jak odrzucona przez prąd pusta muszla, co zachowywała z morza tylko szum”. Podobnie nieoczywistych „uroczych obrazków z podróży” znajdziemy na kartach tej książki znacznie więcej.

Podobnie jak Czesław Ryszka, przekonany jestem o wielkiej duchowej mocy, heroizmie i nadzwyczajnych dokonaniach Zofii Kossak. Jej świętość, którą także podziwiam, nie była jednak, na pewno, zlepkiem polukrowanych komunatów. Nie była to nigdy świętość rodem z pastelowych obłoczków, ponad którymi bezszelestnie przelatują pucołowate aniołki, rozpylające nad zbawionymi francuskie perfumy. Zofia Kossak wykuwała swą wielkość w próbach, które porównać możemy ze zstąpieniem

do piekieł. To, co przeżyła i opisała, na Wołyniu i w Auschwitz, stanowi lekturę trudną, okrutną, szarpiącą nerwy najbardziej doświadczonego czytelnika. Jej wybory życiowe i literackie oceny nie miały w sobie nic z „kremówkowego” frazesu. Były owocem okrutnych prób, które złamać mogły największych duchowych tytanów. Słowa, którymi opisywała Kossak rewolucję bolszewicką, pierwszą rzeź wołyńską, a także walkę o człowieczeństwo w obozie koncentracyjnym, są często okrutnym oskarżeniem nie tylko Niemców, Ukraińców i Rosjan, lecz także Polaków, Żydów i całego Boskiego stworzenia.

Czesław Ryszka, pisząc biografię Zofii Kossak, postanowił napisać kolejną, w swoim dorobku, hagiografię. W mistycznym uduchowieniu i deklarowanej prawowierności stara się on co najmniej dorównać swej bohaterce, a może ją nawet, dzięki spiżowemu tonowi i unikaniu jakichkolwiek kontrowersji, zawstydzić i przewyższyć. Nie jest to zarzut – dążenie



CZESŁAW RYSZKA
„HISTORIA
I ŚWIĘTOŚĆ.
ZOFIA KOSSAK”
BIAŁY KRUK 2026

do świętości w tym świecie jest prawem i obowiązkiem każdego chrześcijanina. Czesław Ryszka, obok pasji literackiej, jest też, od ponad dwóch dekad, czynnym politykiem – zasiadającym w Sejmie i Senacie od 1997 r. Reprezentował w Sejmie Akcję Wyborczą Solidarność, należał do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, jako polityk Prawa i Sprawiedliwości reprezentując tę partię w Senacie VI, VII, VIII i IX kadencji. Prowadzona z takimi sukcesami kariera polityczna nie mogła oszczędzić senatorowi Ryszce trudnych, duchowych prób. Sądząc po jego książkach, wyszedł z nich co najmniej zwycięsko. Może się nawet zdarzyć, że pisarz ten, pomimo politycznych obowiązków, w literackim zawodzie pozostający ze świętością „za pan brat”, osiągnie ów szczytny cel nawet przed ewentualną beatyfikacją Zofii Kossak. Znając skromność i wyrozumiałość autorki „Krzyżowców”, na pewno nie będzie mu ona tego triumfu zazdrościć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

CO SIĘ STAŁO Z NASZĄ EUROPEĄ?

Nowak. Legutko. Ziemkiewicz
i inni rozmówcy o przyszłości Europy.

esprit

FAKT

Zamów na esprit.com.pl lub pod nr telefonu 12 262 35 51



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Mniej ciekawy



★★★★★
REŻ. KRISTOFFER
RUS
„MNIEJ OBCY”
POLSKA 2026

wyst. Mikołaj
Bukrewicz, Kinga
Preis, Patryk
Pietrzak

Film fabularny „Mniej obcy” o Borysewiczu i Lady Pank nakręcony na zlecenie Netflix’a błyskawicznie stał się numerem jeden w polskiej odnodze serwisu. Do znanych wszystkim przebojów dołożono szkielet typowego, przeciętnego kinowego biopiku – szybki wzlot bohatera, nagły upadek, katharsis, odnalezienie nowego życia. Twórcy filmu przesuwają jednak akcenty – najważniejsze ma być nie to, co i jak zrobił sobie oraz otaczającym go ludziom Borysewicz, ale to, jaki był z niego typ niepokorny. Istnieje jednak różnica między niezłomnością a szczeniackimi rockandrollowymi wygłupami. Muzycy grani na liście przebojów Trójki i wpuszczani na festiwale w Opolu nie byli

żadnymi symbolami oporu czy działaczami opozycji. Nie dajmy się zwariować.

Ciekawsze są wątki osobiste, przy czym oczywiście wiele rzeczy podkoloryzowano, żeby pasowały do opowieści; i tak ojciec perkusista jazzowy stał się dziadem z harmoszką. Najbardziej intryguje relacja z bratem, którego Borysewicz stracił za młodu, był tu materiał na bardziej interesujące dociekania, niż widzimy. Całą historię opowiada filmowy Borysewicz i ma ona formę rozmowy z Bogiem, na którego kiedyś się obraził, a potem długo próbował wrócić. Ale księża są tu stereotypowi, odstręczający – na szczęście esbeków pokazano jako bydlaków, i dobrze.

N

Nie miałem okazji poznać osobiście Jana Borysewicza, ale znam wielu ludzi, którzy zaczynali muzyczną karierę w PRL mniej więcej w tym samym czasie. Ścieżki wielu z nich przecinały się ze ścieżkami lidera Lady Pank. Z ich opowieści wyłania się ten sam portret człowieka, który – posiadając niebywały talent – był jednocześnie sam swoim największym wrogiem. Tym, co wypił i wciągnął, można byłoby obdzielić parę innych kapel. W wywiadzie rzece (który był w dużym stopniu bazą scenariusza) lider Lady Pank balansuje między szczerością a wybielaniem.

Czy dojrzał? Mam wątpliwości. W filmie zrobiono z niego – tak mi się przynajmniej wydaje – postać ciekawszą i sympatyczniejszą niż w realu. A że żyjemy w czasach wielkiego niedoboru bohaterów pozytywnych, to nagle nadał się na takiego i osobnik machający męskością przed dziećmi podczas niesławnego koncertu we Wrocławiu. ©©

GRA TYGODNIA: „WSIAŚĆ DO POCIĄGU: EUROPA” (EDYCJA 2026)

Gracze znów mogą się wcielić w rolę magnata kolejowego u progu XX w., tym razem w nowej, najwygodniejszej wersji tej gry. Ich celem jest zbieranie kolorowych kart wagonów, aby zajmować trasy na planszy i budować linie

kolejowe między europejskimi miastami. Rozgrywka opiera się na realizacji tajnych biletów – każdy ma ukryte zadanie (np. połączyć Londyn z Berlinem nieprzerwanym połączeniem kolejowym). Najnowsza odsłona zyskała nowoczesny,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

elegancki design; zmieniono też wielkość kart wagonów z mikroskopijnych do pełnowymiarowych. ©©

Anna Zalewska

- **Gatunek:** familijna, kolejowa
- **Producent, wydawca:** Rebel

Sępy z telewizji

Pamiętacie narodziny mody na reality show? Format, który miał tchnąć nowe życie w mocno już stetryczną XI muzę, poszerzyć zastępy jej wyznawców o młode pokolenie, przyniósł więcej kłopotów niż pożytku.

Pal diabli, że od telewizji zaczęli się odwracać mądrze, esteci tudzież ludzie o słabych żołądkach i czułym powonieniu. Gorzej, że nie było już odwrotu: publika zasmakowała w igrzyskach, oczekując przekraczania kolejnych czerwonych linii. Wybiła godzina Chrisa Hansena, samozwańczego pogromcy pedofilów. We współpracy z organizacją Perverted-Justice zastawiał on w Internecie pułapki na amatorów kwaśnych jabłek i zwabiał ich do lokali naszpikowanych kamerami i mikrofonami. Tam byli stawiani pod telewizyjnym pręgierzem. Z dziennikarstwem nie miało to wiele wspólnego, zresztą sam Hansen zapewniał, że pracuje w branży rozrywkowej. Obsesja upolowania grubej ryby zwykle kończy się źle, lecz showman z NBC chyba nigdy nie słyszał o kpt. Achabie.

O tym, że Robert Pattinson jest dobrym aktorem, wiadomo co najmniej od „Latarni-



★★★★★

REŻ. LANCE OPPENHEIM
„PRIMETIME”
USA 2026

wyst. Robert Pattinson, Skyler Gisondo, Merritt Wever

ka”. Nazywanie jego kreacji w „Primetime” oscarową zakrawa jednak na przesadę. Hansen to potępieniec, chodząca ilustracja kalwińskiej tezy o podwójnej predestynacji. Lekceważy wszystkie sygnały ostrzegawcze, wydaje mu się, że skoro walczy ze złem, to sam jest dobrem wcielonym, a cel uświęca środki. Ma zresztą fanów, którzy sądzą, że jest zbyt wyrozumiały i zdemaskowanych zwyroli powinien bić w mordę. Lincz medialny rządzi się swoimi prawami, więc komenda: „Kamery na karabiny!”, stanowiąca o wyższości show-biznesu nad wymiarem sprawiedliwości jest jak najbardziej na miejscu.

Z czasem okazuje się, że ta historia ma dwóch bohaterów. Ciekawsze i mniej przewidywalne są losy Dana

– początkującego aktora, którego Chris namówił do udziału w swojej krucjacie. Nadzieja, że reżyser dokumentalista doda produktowi jakości, się ziszcila, jednak tylko w kategoriach technicznych. Oppenheim uległ miażdżącej sile szablonu, grzechu pierworodnego amerykańskiego kina. Od początku wiadomo, dokąd „Primetime” zmierza. W segmencie filmów pokazujących moralny upadek mediów o klasę lepszy jest „Wolny strzelec” z Jakiem Gyllenhaalem. ©©

Wiesław Chelminiak

KINO

SZÓSTKA Z PRZODU

Falszywa młodość czy deprymująca starość? Wybór należy do ciebie. Agata Kulesza dała czadu w nowej „Lalce”, tym razem prawie samotnie dźwiga na aktor-skich barkach melodramat futurystyczny. Przyszłość wydaje się dziwnie znajoma. Polską rządzi partia, która zawsze ma rację. Technologia pokonała kolejne bariery (wszystkie samochody są autonomiczne), a fundamentem dobrobytu jest usankcjonowany prawnie ageizm. Ludzie wyglądają młodo, chociaż wcale nie żyją dłużej. Gdy skończy im się termin przydatności, padają jak muchy. Wbrew teorii Marii Janion o końcu romantyzmu są jednak i tacy, którzy chcą się razem zestarzeć. Odmawiających kuracji antygeriatrycznej władza – dla ich własnego dobra – umieszcza w rezerwacie. Gdyby Piotr Szulkin urodził się kobietą, może kręciłby takie filmy. Temat uniwersalny, sugeruję eksport. ©©



★★★★★

REŻ. JULIA ROGOWSKA
„CZAS, KTÓRY NIE NADSZEDŁ”
POLSKA/BELGIA 2026

wyst. Agata Kulesza, Dobromir Dymceki, Michalina Łabacz

KINO

DO ZOBACZENIA

Sekretne komnaty władzy ludowej



ANNA ZALEWSKA

Mało znanym epizodem odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie w latach 70. XX w. jest to, że zamierzano urządzić w nim luksusowe apartamenty dla zagranicznych gości. Projekt obejmował reprezentacyjne salony, marmurowe łazienki i rozbudowane zaplecze, ale na szczęście nie został zrealizowany.

Na wystawie można zobaczyć zaaranżowane przestrzenie repre-



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

zentacyjne, które miały służyć zagranicznym dygnitarzom odwiedzającym Polskę. Zachowane

projekty, fotografie, meble, lampy, tkaniny i przedmioty dekoracyjne mają pokazać, jak wyobrażano sobie luksus na najwyższych szczeblach władzy w tamtych czasach. Ekspozycję uzupełniają w większości niepublikowane dotąd fotografie Chrisa Niedenthala, dokumentujące odbudowę Zamku na przełomie lat 70. i 80, a także pracę ludzi przy przywracaniu oryginalnego wyglądu tego zabytku. ©©

GDZIE? Zamek Królewski, Warszawa
KIEDY? do 17 stycznia 2027 r.

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Teatr jednego aktora

W swojej debiutanckiej książce Witold Pietraszewski opowiada o tym, jak na przełomie lat 80. i 90. zeszłego wieku pewien warmiński rolnik przez 12 lat zajmował się psychicznie chorym człowiekiem, z którym nikt nie był w stanie sobie poradzić. Dziesięć lat młodszy od niespełna rozumu Kurta, bo tak tytułowy „wariat” miał na imię, został przez niego uznany za „ojca”, co niesło za sobą wszelkie konsekwencje. Także i te, które wywoływały ostracyzm ze strony sąsiadów, jak również poważnie zakłócały funkcjonowanie rodziny rolnika, w której nagle, ni z tego, ni z owego, pojawił się ktoś, czyjego postępowania nie dało się wytłumaczyć w jakiegokolwiek racjonalny sposób. A kłopoty były jego specjalnością.

Pracowity był ten Kurt nad wyraz, tyle że nigdy nie było wiadomo, za jaką pracę akurat się zabierze, co robi dobrze, a co dokumentnie spartaczy, poza tym o wszystkim decydował sam. Rzec można, że był skrajnym indywidualistą. Na pewno „nie był to pierwszy lepszy przymuł czy kryminalista. Co prawda, posiadał fizjonomię kretyna, lecz jednocześnie wyglądał na kogoś, kogo życie nie oszczędzało”. Z jego opowieści nie wyłaniał się jednak jakiegokolwiek spójny wizerunek, jeśli już, to składniki jednej wielkiej sumy nieszczęść. Z jakiegoś powodu uznał tego, kto dał mu pracę i dach nad głową, za swojego patrona, ale nie mentora – o nie, niech będzie, że za „tatę”.

I „tata” zaakceptował ten układ, co więcej, przyrzekł sobie, że dopóki Kurt będzie potrzebował pomocy, dopóty ją od niego dostanie. Tak też się stało, a jego podopieczny starał się jak mógł...



FOT. ARCHIWUM WITOLDA PIETRASZEWSKIEGO

Kiedy np. trzeba było pociąć na kawałki przywiezione z lasu drewno, Kurt po zainkasowaniu zapłaty dzielnie machał siekierą przez całą noc. Rano, gdy gospodarz otworzył drzwi, zwała się na niego hałda narąbanego drewna. Zadowolony z siebie robotnik tłumaczył: – Teraz żona będzie miała wygodę i nie będzie musiała latać za patykami do palenia po całym gospodarstwie. Otwiera drzwi i ma. „Całe szczęście, że dom ma dwa wyjścia, bo to pierwsze było zawalone co najmniej przez miesiąc”.

Dostarczał też Kurt wielu atrakcji innego rodzaju. Na przykład „dość często chodził do kościoła, ponieważ mieszkaliśmy z dala od wsi, czyli na tzw. kolonii, my rzadko uczęszczaliśmy. Niedziela – zamiast wypoczynku – dla rolnika staje się balem przebierańców. Najpierw w łachmany i do obory, potem mycie, przebieranie i do kościoła. Z kościoła – w gumofilce i do świątecznego obiadu znów przebieranka, do spania to tak ze trzy razy. A ponieważ dochodziły mnie słuchy, że Kurt zachowuje się niezbyt poprawnie w kościele, wybrałem się raz z nim. Napływała ludność Warmii (bo tylko taka tu mieszka) nie jest zbyt bogobojna, więc kościół jest słabo zaludniony. W normalną niedzielę w ławkach są duże luki. Msza z Kurtem to był moment, w którym główny aktor, czyli ksiądz, schodził na plan dalszy. Kurt siedział w pierwszym rzędzie i gorliwie się modlił. Wznosił głowę do góry, potem ręce,

po czym kurczył się w uniesieniu jakby Pana Boga złapał za nogi. Po paru takich ruchach żegnał się parokrotnie. Trwało to z 10 minut, po czym zadowolony jakby dostał wyjątkowego oświecenia wstawał uśmiechnięty, radosny i ku uciesze wiernych rozpoczynał wędrówkę wokół ścian kościoła. Była to swego rodzaju droga krzyżowa albo raczej droga przez mękę dla proboszcza, który odprowadzał mszę. Wszystkie oczy skierowane na Kurta, a Kurt podchodził do kolejnych figur świętych i albo groził im pięściami, albo całował w piętę. Przed Matką Boską zakładał chusteczkę do nosa na głowę i głupekowato się uśmiechał, jednym słowem, był to mierny teatr jednego aktora. Oczywiście jako pierwszy ustawiał się do Komunii Świętej, a potem stawał na baczność przy wejściu do zakrystii. Gdy kościelny wracał z tacą, Kurt, udając, że rzuca na tacę, zabierał z niej najgrubszy papier”.

I grubsze, i cieńsze papiery wymieniał, nie da się ukryć, na alkohol. Wtedy zniknął na dłużej, bo „tata” nie tolerował jego podlewanego gorzałą wyskoków. Ale jakiś rodzaj modus vivendi udało im się wypracować.

W swojej warstwie, nazwijmy ją psychologiczną, jest „Poeta i wariat” opowieścią o relacjach z ludźmi chorymi psychicznie czy – szerzej – ułomnymi. Nie ma tu śladu czułościowości ani wywołującej mdłości moralistyki. Jest za to – prawdziwa! – wzruszająca historia trudnej, twardej relacji międzyludzkiej, w której objawia się nasze człowieczeństwo. W całym swoim pięknie.

A humor wpisany w tę prozę pozwala w postaci Kurta dostrzec odbicie hrabalowskiego stryja Józefa. Naśmialiśmy się, czytając o nim, oj, naśmialiśmy. Do łez. ©



★★★★★
WITOLD
PIETRASZEWSKI
„POETA I WARIAT”
BOOKPLAN.PL
2026



POCZYTANKI

Prawdziwy świat

Cykl „Kroniki Amberu” to dokonanie niezwykle: Roger Zelazny łączy w nim Platona i Kiplinga, Chandlera i Szekspira, legendy arturiańskie z klimatem spiskowych thrillerów itd. Długo przed tym, jak Andrzej Sapkowski pokazał światu swą pisarską bezczelność w żonglowaniu motywami pożyczonymi skąd tylko chciał, Zelazny zrobił to na o wiele większą skalę i w sposób głębszy. Choć „Kroniki Amberu” zdają się po prostu przygodową opowieścią pełną fantastycznych miejsc i postaci, to stanowią zarazem bardzo ciekawą propozycję filozoficzną. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że jest to najlepsza postmodernistyczna powieść przegapiona przez badaczy postmodernizmu dlatego, że skoro wygląda jak produkowana masowo fantastyka, to nie może być niczym więcej. Otóż jest.

W centrum uniwersum Zelaznego znajduje się Amber: królestwo, miasto i zarazem jedyny prawdziwy byt. Wszelkie inne miejsca – łącznie z naszą Ziemią – to tylko Cienie Amberu (inspiracja platońską jaskinią jest tu oczywista). Owych cieni, owych ostatnich światów, może być nieskończenie wiele i żyć w nich może każdy dowolnie wyobrażony złek

czy stwór. Członkowie królewskiej rodziny z Amberu obdarzeni są natomiast mocą nie tylko podróżowania przez Cienie, lecz także kształtowania ich zgodnie ze swoimi wyobrażeniami i potrzebami. Główny bohater cyklu, książę Corwin, budzi się bez pamięci w prywatnej klinice. Śledztwo w sprawie własnej przeszłości odsłania przed nim (i przed nami) prawdę: przegrał walkę o sukcesję po zaginionym królu Oberonie i jego rywale – z bratem Erykiem na czele – zaaranżowali jego zniknięcie, a potem próbowali zabić.

Cykl o Amberze skrzy się pomysłami, literackimi aluzjami i pełen jest świetnie nakreślonych bohaterów. Pytania o realność świata i obsesja, wedle której prawda jest ukrywana za kolejnymi zasłonami, przywodzą oczywiście na myśl Dicka (napisał z Zelaznym jedną powieść). To także historia istoty o boskiej mocy, która odkrywa w sobie empatię dla

zwykłych śmiertelników, a także wyrzuty sumienia – bo od pewnego momentu najważniejszym zadaniem księcia Corwina staje się walka ze złem, które sam sprowadził na wszystkie światy. Seria ta czytana jest nieustannie i wznowiana od ponad półwiecza – jestem pewien, że tak pozostanie. ©



★★★★★
ROGER ZELAZNY
„KRONIKI AMBERU”, T. 1
ZYSK I S-KA 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Uznana za wartościową rasowo „kandydatkę do zniemczenia”, po latach odkryła swe korzenie. W książce wydanej we współpracy z Muzeum Dzieci Polskich ofiara Lebensbornu opowiada historię własną i tysięcy innych.



BARBARA PACIORKIEWICZ
„DZIECKO SZCZĘŚCIA”
KSIĘŻY MŁYN

Patrząc od strony Hadesu – czyli skrzyżowanie opowieści historycznej i reportażu o życiu w cieniu grozy – Włochy, kojarzone z winem i zabytkami, to przecież także kraj na tykającej bombie. Idzie nie tylko o Etnę i Wezuwiusza.



PAOLO RUMIZ
„GŁOSY Z GŁĘBI. NIEOCZYWISTA PODRÓŻ PRZES WŁOCHY”
ZNAK

Nieoczywisty ciąg dalszy „Lalki”, w którym Wokulski wędruje przez Rosję ku Japonii (ciekawe, że do Japonii wysyłał bohatera Prusa także Dukaj w „Imperium chmur”). Ale powracają także Łęcka, Stawska czy Wąsowska.



BOGUMIŁ WOJCIK
„WOKULSKI”
LIRA

Najdojrzalsza jak dotąd powieść syna Stephen Kinga – bardziej w duchu prozy Petera Strauba niż prozy sławnego ojca. Autor odwiedza w tych dniach Polskę, można go spotkać i zdobyć autograf na targach książki w Krakowie.



JOE HILL
„KRÓL SMUTEK”
ALBATROS

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: UROCZE DZIEŁO TOLKIENA

„Władca Pierścieni” jest najslynniejszy i najważniejszy, gdy idzie o dziedzictwo Tolkiena, ale „Hobbit” bez wątpienia jest najbardziej uroczy, ciepły i zabawny. Sprawia to, że stał się idealnym materiałem do adaptacji w formie powieści graficznej dla czytelników



DAVID WENZEL, CHARLES DIXON
„HOBBIT. POWIEŚĆ GRAFICZNA”
ZYSK I S-KA 2026

w wieku od 10 do 100 lat. Komiks długo niedostępny, teraz wreszcie wznowiony.

Piotr Gociek

Święta wojna Zachodu



Wojciech Golonka

Przez ostatnie pięć lat Zachód nie wymyślił – mimo mizernych prób zakończenia kryzysu przez Donalda Trumpa – lepszej strategii niż podtrzymywanie walk poprzez nieustanne zbrojenie Ukrainy i wsparcie wywiadowcze, a chodzi o starcie, które jest zasadniczo wojną na wyniszczenie

Całe wzmoczenie wokół prób importu rosyjskiej ropy do USA przez administrację Donalda Trumpa może sprowadzić się do prostego hasła: nie dawać pieniędzy Moskwie, łożyć pieniądze na Kijów. Drugi trzon tego imperatywu kryje jednak ponurą rzeczywistość, której nie odmienną wysiłki jej zaklinania, ponieważ bieżąca wojna na wyniszczenie jawi się jako bardziej śmiertelna dla Ukrainy niż dla samej Rosji.

Kilka tygodni po rosyjskiej inwazji Ukrainy, w marcu 2022 r., cytowałem na portalu DoRzeczy.pl potrzebę uczciwej oceny opłacalności wojen, wyłożoną w prosty sposób na kartach Ewangelii. Warto do niej wrócić w chwili, gdy jedynym pomysłem na toczącą się od ponad czterech lat wojnę na wyniszczenie jest, po stronie zachodnich partnerów Ukrainy, jej eskalacja, czyli – mówiąc językiem prostym – jeszcze więcej wzajemnego wyniszczenia.

Otóż: „Który król, mając wyruszyć, aby stoczyć bitwę z drugim królem, nie usią-

dzie wpierw i nie rozważy, czy w dziesięciu tysięcy ludzi może stawić czoło temu, który z dwudziestoma tysiącami nadciąga przeciw niemu? Jeśli nie, wyprawia poselstwo, gdy tamten jest jeszcze daleko, i prosi o warunki pokoju” (Łk 14, 31–32). Wprawdzie zadaniowa erystyka byłaby w stanie wykorzystać ten cytat, argumentując każdą tezę za i przeciw w przyjętych w bieżącym konflikcie strategiach (a w końcu Ukraina stawia trwały opór siłom Federacji Rosyjskiej), niemniej chcę się skupić na tym, co w przytoczonych słowach Chrystusa jest oczywiste i zdroworozsądkowo do nas przemawiające: w konfliktach zbrojnych siłą rzeczy zachodzi perspektywa możliwych zysków i strat oraz ich bilansu, stąd nie każda wojna (w tym odrzucenie niekorzystnych warunków pokoju nieprzyjacielem) jest z góry racjonalna czy roztropna.

„BEZ WZGLĘDU NA CENĘ”

Zostawmy zatem na chwilę z boku notorycznie powtarzaną, choć zbyt uproszcza-

jącą i abstrakcyjną odpowiedź, że przecież Ukraina ma prawo się bronić przed rosyjską agresją, i nie przesądzając w ogóle, jak wyglądałby podobny bilans zysków i strat na chwilę obecną (a przede wszystkim jak będzie on wyglądał na koniec konfliktu), zauważmy, że dla takiego bilansu miejsca zasadniczo po prostu nie ma. Organizująca militarno-polityczny szczyt bezpieczeństwa w Warszawie w dniach 12–13 października prof. Katarzyna Pisarska powiedziała wprost, co równie dobrze mogłoby stanowić motto przewodnie całego tego forum: „Stójmy po stronie Ukrainy, niezależnie od kosztów” [„everything it takes” – jakiegolwiek byłyby tegoż koszty]. Wtórował jej na tym wydarzeniu premier naszego państwa: „Każdy, kto z jakichś przyczyn, zdrady, głupoty, pieniędzy, chce osłabić Ukrainę [...] w jej obronie przed agresją rosyjską, działa jednoznacznie przeciwko własnemu narodowi, bezpieczeństwu własnego państwa i suwerenności”. Innymi słowy: nie ma przyczyn – a z pewnością nie ma ku



FOT. ADRIAN STICK

po stronie Ukrainy w wojnie kosztowało już oficjalnie przeszło 500 mld zł, co odpowiada skalą prawie jednej czwartej państwowego długu publicznego (porównuję procentowo obie kwoty, nie twierdząc, że ten koszt jest tożsamy z długiem publicznym).

Paweł Kowal w Polsat News mówił nawet o czterokrotnie większej kwocie strat Polski w wyniku wojny – 500 mld euro (a to już, procentowo, nasz pełny dług publiczny). Ale skoro, jak twierdzi premier, kwestie finansowe nie mają tu żadnej racji, to nie istnieją powody, dla których nie można by w kolejnych latach równie dobrze podwoić naszego wkładu, osiągając zawrotną kwotę biliona złotych, albo i euro, rachunku za tę wojnę.

„Bez względu na cenę” – głosił na początku wojny prezydent Macron, „niezależnie od ceny” – powtarza dziś prof. Pisarska, goszcząc w Warszawie wielu oficjeli z całego świata i wiodących przedstawicieli rządu Rzeczypospolitej.

Przez ostatnie pięć lat Zachód, mimo mizernych prób zakończenia tego konfliktu przez Donalda Trumpa, nie wymyślił lepszej strategii niż podtrzymywanie walk poprzez nieustanne zbrojenie Ukrainy i wsparcie wywiadowcze, a chodzi o starcie, które – tego nie można w żadnym razie w dyskusji pomijać – jest zasadniczo wojną na wyniszczenie. Najprościej rzecz ujmując: nie wymyślono lepszego sposobu niż podtrzymanie wojny, która w praktyce bardziej uśmierca Ukrainę niż Rosję. Skalę tego dramatu jedynie potwierdzają słowa córki gen. Keitha Kellogga, byłego wysłannika Donalda Trumpa na Ukrainę, zachęcającą Ukrainki do wyruszenia na front, zapewne w miejsce poległych już ich ojców, mężów i synów. To nadrabianie zaś parytetów wśród ludzkich mogił pani Mobbs nazywa „bojem o przyszłość naszej cywilizacji”.

PO NAS TYLKO POTOP?

Ignorowanie ewangelicznych rad i nauk – choćby sam papież wzywał, jak uczynił to ostatnio we Francji wobec prezydenta Macrona, od odwagi zawierania kompromisów i ustępstw na rzecz pokoju – oto najwyraźniej kryterium cywilizacyjne przyszłości. A zatem cała naprzód i ani kroku wstecz, choć pytanie, naprzód ku czemu, pozostaje otwarte, a tym bardziej zasadne. Jak te elity, odmawiające tu i teraz całościowego bilansowania zysków i strat wojny na Ukrainie jako racjonalnego wa-

runku ich zaangażowania, widzą zakończenie tej wojny na wyniszczenie, jeśli w ogóle dopuszczają mentalnie jej zakończenie? Pytanie to nie jest li tylko retoryczne, jeśli wspomnimy przestrożę płynącą z „Roku 1984” Orwella, a mianowicie, że podtrzymywanie wojny, choćby tłącej się, na granicach imperium, jest jednym z filarów konsolidowania rządów partii utrzymującej się przy władzy za pomocą miękkotwardej tyranii i wszechobecnej demagogii. Zadajmy pytanie wprost: W jakim stanie będzie Ukraina – skoro ponoć o jej dobro chodzi – w jakim stanie będzie jej populacja (demograficznym, zdrowotnym, mentalnym), w jakim stanie materialnym, gospodarczym, ekonomicznym będzie nasz wschodni sąsiad przy założeniu, że wojna rosyjsko-ukraińska ma osiągnąć swój naturalny finał w ramach eskalującej wojny na wzajemne wyniszczenie? A przede wszystkim: Jaki ma być naturalny finał tej „proxy war”, wojny zastępczej między NATO a Rosją za pośrednictwem Ukrainy?

Jeśli bowiem strategią Zachodu jest niezmiennie trwanie u boku Ukrainy aż do samego końca wojny na wyniszczenie, to możliwe opcje tego końca są trzy: dosłowna śmierć Ukrainy tudzież położenie, w którym żywi również dobrze zazdroszczą już umarłym; pokonanie Rosji przez Ukrainę, tak że to Moskwa przyjmie warunki pokojowe Kijowa; przystąpienie, w końcu, Zachodu do wojny celem uniemożliwienia pierwszego wariantu (śmierci Ukrainy), co osobiście nazwałbym substytucją umierającego. Oto opcje, których nikt z powtarzających śpiewkę „niezależnie od kosztów” nam nie tłumaczy. Celem, jeśli już – jak dobroduszenie wyjawiał go prezydent Nawrocki przy okazji pierwszej rocznicy swej prezydentury – jest zabicie jak największej liczby Rosjan. Że przy okazji realizowania tego zamiaru umiera Ukraina – no cóż, cel najwyraźniej uświęca środki w tej, jak widać, świętej dla władz Rzeczypospolitej wojnie, niezależnie, czy wsłuchać się w deklaracje płynące z obozu premiera czy te z obozu prezydenta.

ZASŁONA DIESLEM

„Bez względu na koszty” to nie jest jednak powszechnie stosowana na świecie maksyma polityki zagranicznej. Obecne horrendalne ceny ropy uderzają w USA w tradycyjny rolniczy elektorat republikanów, co w przypadku listopadowych

temu żadnych powodów finansowych – do kalkulowania sensowności przedłużania tej wojny. A skoro strategia wojny ukraińskiej, po stronie europejskich partnerów, ma nie podlegać jakiegokolwiek ewaluacji, to również dobrze można by mówić wręcz o świętej wojnie, przynajmniej dla Polaków, jak to wybrzmiało ponownie w ustach Donalda Tuska: „Chcę bardzo wyraźnie powiedzieć, i te słowa muszą wybrzmieć tu, w Polsce, szczególnie mocno: jeśli masz na uwadze interes swojego narodu, jeśli myślisz o bezpieczeństwie swoich rodaków, jeśli pragniesz naprawdę suwerenności swojego państwa, to twoim obowiązkiem dzisiaj jest wspieranie Ukrainy przed rosyjską agresją”.

W rzeczywistości to podejście – bez względu na koszty (na koszty wszelakie, a zwłaszcza na koszty ludzkie po stronie Ukrainy) – towarzyszy nam, po stronie Europy, od samego początku wojny. To podejście pozostaje żywe i jedynie nabiera decybeli, gdy wychodzą na jaw szokujące zwykłych ludzi fakty: zaangażowanie Polski

■ wyborów uzupełniających, oprócz samej przegranej, na co się szykuje, może oznaczać historyczną katastrofę partii Donalda Trumpa. Stąd, mimo rozbieżności wyciąganych wniosków, import rosyjskiego diesla do USA bezsprzecznie jawi się komentatorom jako rozpaczliwa próba Donalda Trumpa gaszenia skutków pożaru, który wzniecił na Bliskim Wschodzie. Mankamentem wrzawy i emocji wokół tego epizodu jest jednak przykrycie faktów, które jeszcze we wrześniu jawiły się jako oczywiste i nie do ukrycia. Otóż – jakkolwiek by oceniać skuteczność ukraińskich uderzeń na rosyjski przemysł naftowy – nie ma wątpliwości, że spotkały się one z bardzo konkretną odpowiedzią. Rosyjskie systematyczne niszczenie składów, zakładów przemysłowych, sieci energetycznej, serwerowni, stacji benzynowych, dostępu do szlaków komunikacyjnych z Morza Czarnego przy coraz większej ciszy ze strony ukraińskiej obrony przeciwlotniczej, również w samej stolicy, siłą rzeczy powoduje opłakany stan kraju, którego katastrofalny obraz przebił się mimo wszystko we wrześniu dość powszechnie do mediów. Jak nazwać zatrzymanie ukraińskiego przemysłu hutniczego – pierwszy raz od 100 lat – jeśli nie katastrofą? Jak trudną zimę muszą przeżyć mieszkańcy Ukrainy, aby pochylić się nad racjonalnością założeń bieżącej wojny na wyniszczenie? Pomijam tu nawet specjalnie niezwykle oburzający temat gigantycznej korupcji na Ukrainie, która wszelkie dalsze próby o wsparcie finansowo-materiałne powinna obejmować systematyczną kwarrantanną przyzwoitości do czasu zaprowadzenia porządku w tym zakresie.

Jeśli więc odpowiadać na pytanie, kto wygrywa obecnie wojnę na Ukrainie, należy w pierwszym miejscu wskazać, że decydenci zachodni zasadniczo odrzucają w ogóle możliwość publicznej dyskusji nad konsekwencjami bliższymi i dalszymi angażowania Ukrainy w długofalową wojnę na wyniszczenie z jednej strony, z drugiej – nad racjonalnością własnych wydatków w tym zakresie. To aprioryczne podjęcie najpewniej próbuje przemilczeć rażący fakt: jeśli rokować na podstawie zasobów, demografii, międzynarodowej układanki sojuszy i możliwości eskalacyjnych, to strona ukraińska raczej sama zostanie doszczętnie przemieleną, choć powoli, zanim zdoła wykończyć stronę rosyjską. Wprawdzie mogą pojawiać się

w tej sprawie odmienne tezy, ale powiedzmy, że ciężar dowodowy spoczywa tu na podważającym to, co jawi się jako wystarczająco wiarygodne, a dowód ten nie może być ani przejawem chęci, ani demagogią odwracającą moralnymi imperatywami uwagę od rzeczywistości. Innymi słowy: jeśli twierdzimy, że Ukraina ma przewagę, gdyż Rosja obrywa coraz bardziej, to zapominamy, że jednocześnie eskalacja ukraińska jest przejawem jej trudnego położenia i powoduje jeszcze cięższe odpowiedzi Rosji. Mówiąc wprost: im bardziej w tym konflikcie obrywa Rosja, tym bardziej obrywa Ukraina. Sam casus importu diesla do USA jedynie potwierdza, że nie da się odizolować Rosji od światowego obrotu surowców energetycznych – rekordowy import skroplonego rosyjskiego gazu do Unii Europejskiej, za pośrednictwem państw czyniących ten gaz nieco mniej rosyjskim z nazwy, jest tego również dobitnym przykładem.

ODERWANIE EUROPEJSKICH ELIT

Pytanie o wygrywającego w konflikcie, jeśli już, jest jednak źle postawione, ponieważ pomija prozaiczny fakt, że dotychczas w wojnie rosyjsko-ukraińskiej przegrywamy tak naprawdę my. Zauważmy, że polskie władze nie są w stanie racjonalnie wskazać korzyści, które równoważyłyby niebotyczne koszty tej wojny po stronie Polski, a przeciwstawiają im jedynie głośnie deklaracje o świętych obowiązkach wobec Polski, czyli wobec Ukrainy, utożsamiając nasze interesy narodowe. Spektakl ten odbywa się, gdy poza insynuacjami stricte medialnymi nie ma jako takich wiarygodnych informacji o woli zaatakowania państw NATO przez Rosję, a wręcz przeciwnie – cała strategia obronna sojuszu północnoatlantyckiego, jak potwierdził to na wspomnianym forum w Warszawie jego głównodowodzący w Europie gen. Alexus Grynkewich, polega na skutecznym odstraszeniu Rosji przed atakiem na państwa sojusznice.

Ma się rozumieć, mimo potężnych środków socjotechnicznych, szeregowy Europejczyk jest w stanie łączyć kropki, kiedy spada siła nabywczą jego pieniądza, roszczenia Kijowa o finanse idą w parze z wszechobecnymi w Europie inwestycjami ukraińskiej oligarchii, a jedynym pomysłem rodzimych polityków jest „więcej tego samego, a kto tak nie myśli – ten zdrajca

i agent Putina”. To oderwanie europejskich elit politycznych od naturalnych instynktów samozachowawczych ludów może skutkować jedynie postępującą erozją politycznego kapitału, co jest szczególnie widoczne w Wielkiej Brytanii, gdzie nikt już nawet nie pamięta wielu premierów, którzy pojawili się po Borysie Johnsonie, i w Niemczech, gdzie jednym z czynników spektakularnego wzrostu poparcia dla przecież jakże „trędowatego” AfD jest niezwykle krytyczny stosunek tamtejszych obywateli do zaangażowania władz federalnych w wojnę rosyjsko-ukraińską.

Sęk w tym, że władze na Ukrainie też są świadome tej pogorszającej się dla nich perspektywy: przyszłoroczne wybory w różnych krajach Europy mogą skutkować znacznym ograniczeniem lub wręcz zamknięciem kurka dla Kijowa, uniemożliwiając tym samym dalsze prowadzenie tej wojny obronnej... na wyniszczenie. Władze te, które wobec zaniku elementów demokracji równie dobrze można obecnie postrzegać jako utrwaloną formę oligarchicznej dyktatury wojskowej, doskonale znają mechanizmy w postaci wszelakich stanów wyjątkowych mogących odsunąć w czasie przesunięcie wyborczej wagi, a o takiej możliwości poinformował nas m.in. minister Ireneusz Raś. Chcę przez to powiedzieć, że w naszych realiach nie tylko nie miało miejsca udzielenie mandatu demokratycznego do decyzji prowojennych, które obciążą nasz naród na taką skalę (utrzymywanie w praktyce dwóch narodów i współfinansowanie jednej wojny), nie tylko słyszy się oskarżenia o zdradę tych, którzy domagają się racjonalności w finansach publicznych w tym zakresie, lecz także między wierszami straszy się nas, że w niewiadomej przyszłości pewne sytuacje mogą na jakiś czas wstrzymać proces wyborczy w Polsce. W końcu to przecież logiczne i oczywiste, że Putin atakując Polskę czy Niemcy, chce uniemożliwić demokratyczne rozliczenia strategii wojny na wyniszczenie nas samych, jeśli w ogóle jako społeczeństwo zdolamy z tej kwestii uczynić pierwszorzędnym temat wyborczy. A kto na razie wygrywa w wojnie rosyjsko-ukraińskiej? Na pewno nie polska debata demokratyczna, choć ten istniejący jedynie z pozoru twór jest ponoć filarem współczesnej cywilizacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

RZECZY



Episkopat ma za co przepraszać



ks. prof. Waldemar Rakocy CM

Przedstawiam trzy epizody z życia Kościoła katolickiego w Polsce, powiązane z tzw. dialogiem z judaizmem, mające miejsce w 2026 r., których bohaterami są czcigodni księża biskupi

List Episkopatu Polski z 12 marca

Mamy jeszcze żywo w pamięci list biskupów z dnia 12 marca, odczytany w polskich kościołach 10 dni później w V Niedzielę Wielkiego Postu. Powstał z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej Synagodze Większej. Miał nawiązywać do tamtego wydarzenia, do radosnej, przyjaznej atmosfery, jaka tam panowała, a przybrał oskarżycielski

ton pod adresem Bogu ducha winnych katolików, którym przypisano antysemityzm i nakazywano kochać Żydów, bo tak rzekomo każą dokumenty kościelne.

Co więcej, w owym liście podano ludowi Bożemu do wierzenia stwierdzenie z dokumentu Komisji do spraw Kontaktów Religijnych z Judaizmem, z wątpliwą (błędą) teologicznie tezą, że Żydzi uczestniczą w zbawieniu dokonanym przez Chrystusa pomimo Jego nieprzyjęcia. Innymi słowy, Żydzi mają być uprzy-

wilejowani w przystępie do zbawienia, podczas gdy wiemy, że wszyscy wobec zbawienia w Chrystusie są równi.

Otóż dokument stwierdza wyraźnie we wprowadzeniu, że „nie jest nauczaniem doktrynalnym Kościoła katolickiego, ale refleksją przygotowaną przez Komisję” do ewentualnych dalszych analiz. Znaczy to, że propozycje Komisji mogą być odrzucone. Dokument nie przesądza ich prawdziwości. Refleksja jest etapem w poszukiwaniu odpowiedzi i nie należy podawać wiernym do wierzenia jej wstępnych, niesprawdzonych ustaleń. Jest to jaskrawy brak roztropności, rażący zwłaszcza w przypadku pasterzy odpowiedzialnych za wiernych. Świadczy to o braku ludzkiej, ale i Bożej mądrości. Dopóki proces ustalania faktycznego stanu nie zostanie zakończony i nie będziemy mieli pewności co do prawdziwości jakiegś tezy, dopóty należy powstrzymać się z głoszeniem jej jako pewnika.

Episkopat postąpił jednak inaczej. W jego postępowaniu zabrakło wiedzy na temat charakteru dokumentu oraz roztropności w działaniu. Działano na hura i do przodu, bez zastanowienia się, bez konsultacji. Przepraszam, konsultacja miała miejsce i przynajmniej dwóch profesorów, znawców tematu, przedstawiło swoje krytyczne opinie. Chociaż poproszono ich o te opinie, to jednak nie wzięto ich ostatecznie pod uwagę.

Zamiast posłuchać ekspertów, Episkopat posłuchał (albo złąkł się) wewnątrzkościelnego mąciela. Tym większa jest wina Episkopatu, że mając wiedzę, że list przedstawia fałszywy obraz rzeczywistości, polecono odczytać go wiernym. U części biskupów zabrakło wiedzy i roztropności, u części odwagi, aby się przeciwstawić, a jeszcze inni zostali być może wprowadzeni w błąd. Górą okazał się mąciela.

List biskupów miał upamiętnić piękne wydarzenie sprzed 40 lat. Zamiast napisać go w tym samym pojedynczym i przyjaznym duchu, w jakim odbyło się tamto spotkanie, czyjaś chora wyobraźnia użyła go jako bata na katolików. List mógł być utrzymany w ciepłym tonie, w którym docenia się wysiłki obu stron, katolików i żydów, w nawiązywaniu wzajemnych relacji i buduje dobry klimat. Byłby to w obustronnych relacjach krok do przodu, jak spotkanie sprzed 40 lat, a stał się on krokiem wstecz. Nie stało się tak z winy wiernych Kościoła katolickiego w Polsce, którzy odrzucili list jako nieprawdziwy w swej treści, ale z winy jego autora, nierozumiejącego ducha upamiętnianej rocznicy lub świadomie próbującego wykorzystać ją do forsowania własnych tez. W drugim przypadku było to manipulowanie rocznicą, a nie szczerą chęć jej uczczenia. Większości Episkopatu zabrakło roztropności, mądrości i odwagi, aby takiemu działaniu przeciwstawić się i powiedzieć: nie!

Zaskakuje to, że wierni w ocenie listu byli tego samego zdania co eksperci, a Episkopat poszedł inną drogą. Pasterz, znając opinie ekspertów, wybrał bezdroża, a owca, kierując się tylko zdrowym rozsądkiem, wybrała właściwą drogę. Po co owcom taki pasterz? W interesie biskupów leży odzyskanie zaufania wiernych. A do tego konieczne są przeprosiny.

Rozsądni, ale naiwni wierni spodziewali się, że po liście biskupów odczyta-

nym 22 marca br. Episkopat zreflektuje się, uzna popełniony błąd i w jakimś komunikacie przeprosi wiernych oraz wyjaśni im, co tak naprawdę chciał powiedzieć w swoim liście. Z bólem stwierdzam, że tak się nie stało pomimo upływu ponad pół roku. Przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo.

Jak daleko sięgam pamięcią, nie było podobnego przypadku, żeby Episkopat podpisał się pod błędnymi lub nieprawdziwymi tezami, podał je wiernym do wierzenia i nie wycofał się z popełnionego błędu. Jest to stan, który podważa nauczycielską wiarygodność Episkopatu i stale domaga się od niego refleksji i przeprosin względem ludu Bożego. Dlatego temat będzie powracał jak wyrzut sumienia, bo jest to stale nieodpuszczona wina na sumieniu Episkopatu, podważająca jego wiarygodność jako pasterza ludu Bożego.

U części biskupów zabrakło wiedzy i roztropności, u części odwagi, aby się przeciwstawić, a jeszcze inni zostali być może wprowadzeni w błąd

Okazuje się, że lud Boży ma w sobie więcej Bożego ducha i mądrości. Umie bowiem lepiej rozeznaczyć, jaka jest prawda. Dlatego można usłyszeć: „Nie słucham Episkopatu, ale tego, co Jezus mówi w Ewangelii”. Jeżeli ludzie widzą taki rozdźwięk, tak to postrzegają, to Episkopat (przynajmniej w tym przypadku) nie jest na właściwej drodze. Nie błądzą wierni, ale kuleje Episkopat.

Lud Boży jest stale rozgoryczony i ciągle czeka na akt skruchy swoich pasterzy, aby mógł ponownie im zaufać i mieć pewność, że nie prowadzą go na skraj przepaści.

Zapytanie do Komisji Nauki Wiary przy KEP z 12 czerwca

W pierwszej połowie tego roku toczyła się w kręgach katolickich w Polsce ożywiona dyskusja na temat dialogu

chrześcijańsko-żydowskiego oraz sytuacji religijnej judaizmu po nieprzyjęciu Chrystusa. W powyższej dyskusji miałem swój udział, pisząc kilka tekstów. Kiedy dyskusja już wygasła, postanowiłem zwrócić się z zapytaniem do Komisji Nauki Wiary przy Konferencji Episkopatu Polski odnośnie do czterech tez budzących poważne wątpliwości w tym doktrynalne. Oto one:

1) Czy jest prawdą, że nie tylko Kościół stanowi kontynuację starotestamentowego Izraela, ale również judaizm, który nie przyjął Chrystusa, co znaczy, że trwa on wiernie w wierze ojców Starego Testamentu?

2) Czy jest prawdą, że przymierze na Synaju nie wygasło, co skutkuje istnieniem obecnie dwóch równoległych porządków zbawczych, Kościół i judaizm?

3) Czy jest prawdą, że Żydzi uczestniczą nadal w przywileju wybrania pomimo nieprzyjęcia Chrystusa, czyli że ich pozycja względem Boga nie uległa zmianie?

4) Czy jest prawdą, że Żydzi są naszymi starszymi braćmi w wierze, co znaczy, że trwają oni wiernie w tradycji ojców Starego Testamentu, tym samym nie wystąpili przeciwko Bogu, odrzucając Chrystusa?

Z przykrością stwierdzam, że nie otrzymałem do dzisiaj odpowiedzi na powyższe pytania ani nawet informacji, że Komisja przyjęła mój wniosek i odpowie na moje zapytania w stosownym czasie. Żeby ułatwić Komisji zadanie, przygotowałem jasno sformułowane pytania i poprosiłem, żeby tylko odpowiedziała „tak” lub „nie”. To najprostsza forma i szybka w odpowiedzi. Zaległo jednak milczenie. Wiele to mówi, bo rok wcześniej wystąpiłem do tej samej Komisji z zapytaniem w innej sprawie. Jej sekretarz odpowiedział mi od razu i zapewnił, że Komisja udzieli odpowiedzi. Tak też się stało. Teraz jednak zaległo głębokie milczenie.

Mogę tylko podejrzewać, że stoi za tym abp Stanisław Budzik, przewodniczący Komisji Nauki Wiary, który nie nadał mojemu wnioskowi dalszego biegu. Odpowiedź bowiem na postawione pytania, łatwa do przewidzenia, uderzyłaby wprost w ks. kard. Grzegorza Rysia, który jest jednym z głoszących takie poglądy. Gdyby zaś Komisja chciała potwierdzić powyższe tezy, większość jej członków

■ – na ile ich znam – sprzeciwiłaby się temu. Najlepszym zatem wyjściem było milczenie.

Dla lepszego zrozumienia kontekstu warto przypomnieć fakt, że abp Stanisław Budzik stanął „mężnie” w obronie kard. G. Rysia w momencie wylania się nań krytyki po liście Episkopatu Polski odczytanym 22 marca br. Uczynił to razem z rektorem KUL dnia 31 marca br, udzielając ks. kardynałowi pełnego poparcia. Znamienne, że z całego Episkopatu jedynie abp Stanisław Budzik udzielił tak jednoznacznego poparcia ks. kard.

Smutne jest to, że nie chciano zbadać, czy tezy głoszone w tzw. dialogu z judaizmem i podzielane m.in. przez ks. kard. G. Rysia są zgodne z nauczaniem Kościoła katolickiego czy nie. To dyskwalifikuje. Czy cały Kościół katolicki w Polsce ma się podporządkować jednej osobie – wprowadzającej zamęt i wzbudzającej antagonizmy? W teologii znana jest zasada *sensus populi Dei* mówiąca o zmyśle, wycuciu Bożej prawdy przez lud Boży. Kiedy pasterz głosi poglądy, którym sprzeciwia się *en masse* wierny Bogu lud, na pewno nie ma racji.

Kiedy zachodzi potrzeba stanięcia w obronie Bożej prawdy, nie można kierować się osobistymi względami, znajomościami. Każdy to wie i przyjmuje, ale nie każdy stosuje się do tego w życiu.

List otwarty do Episkopatu Polski z 15 września

Z powyżej przedstawionymi zdarzeniami wiąże się mój list otwarty na temat dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, który skierowałem do Episkopatu Polski 15 września br. Wysłałem go na adres e-mailowy Sekretariatu Generalnego Konferencji Episkopatu Polski oraz bezpośrednio do wiadomości jej przewodniczącego, ks. abp. Tadeusza Wojdy. Uzasadniałem ten fakt wkradającymi się błędnymi poglądami w prowadzonym dialogu z judaizmem, poglądami pochodzenia protestanckiego (zob. pkt 2). Jeden z nich wkradł się nawet do listu Episkopatu Polski z marca br., o czym już mówiłem.

Wspomniane poglądy stanowią zagrożenie dla nauki i wiary Kościoła katolickiego. Nie jest to tylko moje przekonanie, ale większości wiernych i duchowieństwa w Polsce. Wystąpiłem zatem w imieniu

ludu Bożego do jego pasterzy. Tego samego dnia, tj. 15 września br., zostałem poinformowany przez Sekretariat Generalny KEP o przyjęciu mojego pisma i nadaniu mu statusu „korespondencji przedmiotowej”.

List otwarty, adresowany do Sekretariatu Generalnego KEP, zawierał prośbę o przekazanie jego treści księżom biskupom, do ich wiadomości. Moim celem było poinformowanie Episkopatu Polski o obecnym stanie tzw. dialogu z judaizmem i pojawiających się w nim błędach teologicznych, aby biskupi rozważyli sprawę i zdecydowali, czy konieczne są jakieś działania. Określenie przez Sekretariat Generalny KEP mojego pisma jako korespondencji przedmiotowej zobowiązuje do jego odpowiedniego potraktowania.

Tak jednak się nie stało. Zmieniono zdanie z chwilą przeczytania mojego listu. Na moje dwukrotne zapytanie o dalszy jego bieg nie otrzymałem odpowiedzi. Dnia 24 września br. wysłałem zatem do Sekretariatu Generalnego KEP pismo, w którym poprosiłem „[...] o wskazanie, czy pismo, którego potwierdzenie przyjęcia przez Sekretariat Generalny otrzymałem drogą elektroniczną tego samego dnia, tj. 15 września br., zostało zarejestrowane w korespondencji KEP, a jeżeli tak, jaki jest znak/numer sprawy i jaki organ KEP został wyznaczony do jego rozpatrzenia? Proszę o potraktowanie niniejszego pisma jako formalnego wniosku o informację o stanie sprawy”.

Kolejnego dnia otrzymałem odpowiedź z Sekretariatu Generalnego KEP, sporządzoną przez ks. dr. Wojciecha Lecha, bez odpowiedzi na moje główne pytanie, czy i w jaki sposób mój list otwarty do Episkopatu Polski został zarejestrowany w korespondencji KEP. Była jedynie odpowiedź na moje wcześniejsze pytanie, czyli że list otwarty nie został przekazany do wiadomości księży biskupów. W tym samym e-mailu powiadomiono mnie też, że został on „przekazany sekretarzowi generalnemu KEP”, czyli ks. bp. Markowi Marczakowi.

Zwyczajowo list otwarty jest dokumentem, który nie musi być oznaczony sygnaturą. Powinien jednak być zarejestrowany w dokumentacji, jeżeli został skierowany i wysłany do konkretnego adresata i dotyczy ważnej sprawy. Zaczęło stawać się dla mnie jasne, że mojemu pismu nie został nadany bieg, a mówiąc

obrazowo, zostało ono wyrzucone do kosza. Na stronach www.episkopat.pl nie znalazłem o nim żadnej informacji w zamieszczanym tam wykazie korespondencji. Wprawdzie znajduje się tam informacja, że nie jest to pełny wykaz korespondencji (w domyśle te najważniejsze), to kierowany list otwarty w ważnej dla życia Kościoła w Polsce sprawie powinien się tam znaleźć. Nie znam przypadku, aby w przeszłości listy otwarte do polskiego Episkopatu w ważnych sprawach nie były odnotowywane – były nawet komentowane przez jego rzecznika. W moim przypadku nałożono embargo na rozpowszechnianie treści listu. Kiedy w piśmie z 30 września br., do którego wróć, zapytałem sekretarza generalnego KEP, aby podał mi z przeszłości drugi taki przypadek, nie odpowiedział.

**Wśród biskupów
są mądrzy, Boży
ludzie i dobrzy pasterze.
Ale są też tacy,
którzy rozczarowują**

Na moje dwa ponowne wnioski formalne nie otrzymałem odpowiedzi. Ostatni z nich, z 30 września br., nie był już adresowany do Sekretariatu Generalnego KEP, ale bezpośrednio do sekretarza generalnego ks. bp. Marka Marczaka. Brak odpowiedzi do dziś jest zachowaniem zdradzającym brak kompetencji urzędniczej, a w wymiarze ludzkim po prostu lekceważeniem petenta. Moja trzykrotna prośba została zignorowana. Nie powiadomiono mnie nawet, że w swoim czasie otrzymam odpowiedź. Zwyczajowo odpowiedź na takie zapytanie jest udzielana w ciągu kilku dni, maksymalnie do tygodnia. Sprawdzenie sygnatury czy rejestracji pisma jest bowiem prostą czynnością, tym bardziej że chodziło o pismo sprzed ok. 10 dni.

Stało się dla mnie jasne, że brak odpowiedzi jest ukrywaniem faktu niezarejestrowania mojego listu. List otwarty do Konferencji Episkopatu Polski, dotyczący zagrożeń dla nauki i wiary Kościoła katolickiego w Polsce i wskazujący sposób uzdrowienia tzw. dialogu z judaizmem, przyjęty przez sekretariat

w dniu 15 września br. jako korespondencja przedmiotowa, został zignorowany i wyrzucony do kosza. Nie przekazano o nim informacji księżom biskupom, nie przekazano go do rozpatrzenia żadnej komisji działającej przy KEP, nie nadano mu (najprawdopodobniej) identyfikatora, nie umieszczono w ewidencji korespondencji KEP na stronie www.episkopat.pl. Zrobiono co możliwe, aby ukryć i wyciszyć sprawę.

Trzeba jasno powiedzieć, że główna odpowiedzialność spada na kierującego Sekretariatem Generalnym bp. Marka Marcza. W świetle Statutu Konferencji Episkopatu Polski (art. 37 pkt 5 i 6) Sekretariat Generalny jest odpowiedzialny za prowadzenie korespondencji Episkopatu i powinien to czynić zgodnie z obowiązującymi standardami. Postępowanie w stosunku do mnie stanowi niedopełnienie obowiązków i jaskrawe naruszenie kultury urzędniczej. Po instytucji kościelnej tak wysokiej rangi należałoby spodziewać się wysokich standardów. Tu mamy brak profesjonalizmu i żenadę. A przecież opinia na temat sekretariatu przekłada się na opinię całej Konferencji Episkopatu Polski.

Nade wszystko zignorowanie pisma przedmiotowego jest zlekceważeniem poruszanej sprawy, a ta dotyczyła czystości nauki Kościoła katolickiego w Polsce. Zamiast przekazać pismo do Komisji Nauki Wiary przy KEP, sekretarz generalny zdecydował sam o jego losie, chociaż nie jest ekspertem. To tak jakby analfabeta decydował o tym, jak umiejący czytać ma to robić. Sekretarz generalny wykazał się brakiem kompetencji, roztropności i troski o Kościół. Tak oto złamał zapis Statutu KEP, który głosi obowiązek troski

„o integralność wiary i obyczajów ludu Bożego” (art. 2 pkt 12).

Pomyśleć, że wcześniej byłem traktowany z honorami. Co się zatem stało? I tu dochodzimy do pytania o pobudki próby wyciszenia mojego listu otwartego do Episkopatu Polski dotyczącego tzw. dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Moim zdaniem powodem był nade wszystko pkt 8 tegoż listu. Pokazuję w nim czarno na białym nieprawdy głoszone przez ks. kard. Grzegorza Rysia i przez środowisko prowadzące rozmowy z judaizmem. Podaję tam przykłady stosowanych przez nich nieuczciwych zabiegów mających przekonać innych, nieorientowanych w temacie, do ich własnych, błędnych tez. Na marginesie: nieznający mojego listu otwartego do Episkopatu („Ocena dialogu chrześcijańsko-żydowskiego i potrzeba nowego otwarcia”) mogą przeczytać go w całości, w tym także jego pkt 8, wpisując w Internecie nazwisko autora tego tekstu i podany wyżej tytuł.

Trzeba tu koniecznie wiedzieć, że sekretarz generalny KEP, ks. bp Marek Marczak, jest biskupem pomocniczym archidiecezji łódzkiej, której ks. kard. Grzegorz Ryś był wcześniej pasterzem (2017–2025). Ówczesny abp G. Ryś był przełożonym ks. bp. M. Marcza. Obaj biskupi znają się dobrze, przez osiem lat ściśle ze sobą współpracowali. Relacje między nimi są bardzo dobre. Staje się zrozumiałe, że krytyka ks. kardynała, któremu w liście otwartym wykazałem jasno stwierdzenie nieprawdy, spotkała się, delikatnie mówiąc, z niezadowoleniem sekretarza generalnego KEP. Najgorsze są w tym pobudki. Nie liczyła się troska „o integralność wiary”, czystość nauki, zapisana w Statucie KEP, ale – jak sądzę –

wyciszenie krytyki. Całokształt postawy sekretarza generalnego dowodzi braku predyspozycji do pełnienia tej funkcji.

BYĆ PASTERZEM, A NIE PASTUCHEM

Wiem, że wśród biskupów są mądrzy, Boży ludzie i dobrzy pasterze. Ale są też tacy, którzy rozzaczarowują. A tu chodzi o to, aby być pasterzem, a nie pastuchem. Brak u pasterza roztropności, odwagi czy kultury osobistej jest nie do zaakceptowania. Wszyscy potykamy się i nawracamy, ale potknięcia biskupów rażą mocniej z racji ich eksponowanej pozycji, dlatego w większym stopniu potrzebują oni nawrócenia, uderzenia się w pierś i przyznania wobec wiernych do popełnionych błędów. Skrucza jest oznaką działania w człowieku Bożej łaski i przywraca okazującemu ją wiarygodność.

Lud Boży (wierni świeccy) ma tę moralną przewagę nad swymi pasterzami, że otwarcie mówi prawdę i staje w jej obronie. Nie wie, co to dyplomacja w przypadku głoszenia Ewangelii. Bo Ewangelia Chrystusowa nie zna dyplomacji, ale bezkompromisowo, choć roztropnie, głosi Bożą prawdę. Z racji swej prostolinijności lud Boży jest godny zaufania. Kiedy zgodnie mówi, że coś widzi inaczej, należy to poważnie rozważyć. To lud Boży niesie w pierwszej kolejności światło Bożej Ewangelii. Dlatego wierny Bogu lud stale czeka na przeprosiny Episkopatu. To mu się należy.

Jeżeli biskupi nie zdadzą tego egzaminu, to w polskim Kościele nie pasterze ludowi, ale lud pasterzom będzie wskazywał drogę do Boga. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

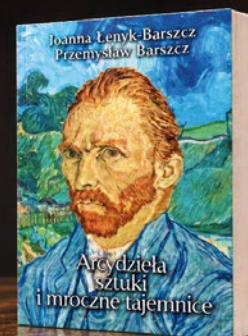
Ksiądz profesor Waldemar Rakocy CM to teolog, biblista i emerytowany profesor Teologii KUL, autor książek i ok. 150 artykułów, członek kilku krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych.

REKLAMA

Co skrywają wielkie obrazy?

Szesty tom bestsellerowej serii o ukrytych kodach w dziełach malarstwa

ODKRYJ KSIĄŻKĘ NA XLM.PL →



XLM.PL

W jednym z poprzednich numerów tygodnika „Do Rzeczy” (nr 39/2026) opisywałem, jak biskupi w Stanach Zjednoczonych walczą z aborcją, sprzeciwiając się liberalnemu kursowi, który próbował im narzucić choćby papież Franciszek. To pocieszające w świecie, w którym Kościół katolicki coraz częściej jawi się jako organizm wałęsający się w mroku, tak jakby zapomniał o swojej misji głoszenia Ewangelii bez zawierania kompromisów z liberalną demokracją. Krajobraz katolicyzmu za oceanem jest jednak zdecydowanie bardziej złożony i nie ogranicza się bynajmniej do kwestii obrony życia. Na mapie Kościoła w Stanach Zjednoczonych są również miejsca zdecydowanie mniej podnoszące na duchu, niż wynikałoby to z ogólnej polityki w obszarze ochrony życia. Dotyczy to przede wszystkim problematyki homoseksualizmu, ale również wolności religijnej i herezji tzw. pluralizmu religijnego.

CENTRYSTA Z BOGATEGO ZACHODU

Niestety, wypada zacząć od najważniejszego dziś hierarchy Kościoła związanego z Ameryką, czyli od samego papieża Leona XIV. Choć Robert Prevost przez wiele lat posługiwał w południowo-amerykańskim Peru, jego wypowiedzi dotyczące natury relacji Kościoła ze światem polityki demokratycznej pokazują, że jego tożsamość intelektualną uformowało raczej życie w Chicago niż w latynoskich tropikach. W obszarze „dialogu” Kościoła ze środowiskami LGBTQ obecny papież pozycjonuje się tak jak polityczny centrysta z bogatego Zachodu. Już w 2024 r. na pytanie o możliwość błogosławienia związków tej samej płci, którą wprowadziła deklaracja „Fiducia supplicans”, odpowiedział odwołaniem do regionalnego zróżnicowania świata, wyjaśniając, że „u nas”, czyli na Zachodzie, sytuacja jest przecież zupełnie inna niż np. w Afryce. Jako papież o swój stosunek do homoseksualizmu był pytany jeszcze latem 2025 r. Stwierdził, że zanim pomyślimy o zmianie nauczania Kościoła na ten temat, potrzebna jest „zmiana kultury” w samym Kościele, tak jakby jego zdaniem katolicy na świecie musieli dopiero dojść do liberalnej tolerancji,

Liberalna twarz Episkopatu USA



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych ma opinię instytucji dość konserwatywnej. Wielu katolików z Europy patrzy z nadzieją za ocean, spodziewając się, że stamtąd może przyjść odnowa. Nadzieja ta może jednak zawieść



FOT. GUGLIELMO MANGANO/REUTERS/EPFLUM

którą proponuje obecnie główny nurt demokratycznej polityki. We wrześniu tamtego roku nie zrobił nic, by powstrzymać albo choćby delikatnie skrytykować przedziwną pielgrzymkę środowisk homoseksualnych z całej Europy, która przeszła przez Watykan. Wedle świadectwa wiceszefa Episkopatu Włoch Francesca Savina zaaprobował nawet jego plany odprawienia Mszy Świętej dla tych ludzi. W czerwcu 2026 r. został zapytany przez dziennikarza o to, czy potępia uroczyste, liturgiczne błogosławieństwa dla gejów i lesbijek w Niemczech. Choć zdystanso-

wał się lekko od tej praktyki, wskazując na zapisy „Fiducia supplicans”, ostatecznie uznał pytanie za mało zasadne. Jak stwierdził, są inne, ważniejsze tematy niż moralność seksualna.

Gdyby Leon XIV był biskupem w Ameryce, jego postawa nie wywoływałaby prawdopodobnie większego zdziwienia. Na tle niektórych tamtejszych hierarchów mógłby nawet uchodzić za człowieka ostrożnego. Przykładem jest kardynał Robert McElroy z archidiecezji waszyngtońskiej. Co ważne, człowiek ten trafił na to prominentne stanowisko pod koniec

pontyfikatu Franciszka, kiedy w polityce personalnej papieżowi z Argentyny doradzał właśnie Robert Prevost, jako prefekt Dykasterii do spraw Biskupów. McElroy publicznie opowiedział się za tym, by Kościół katolicki dopuścił do Komunii Świętej homoseksualistów, którzy prowadzą z partnerem życie intymne. Zanim trafił do Waszyngtonu, był ordynariuszem diecezji San Diego w Kalifornii. Pozwalał tam, by w jednym z najbardziej znanych kościołów urządzano nabożeństwa dla środowisk LGBT, charakteryzujące się przystrajaniem świątyni tęczowymi barwami czy dopuszczaniem do głosu aktywistów tego ruchu. Następcą McElroya został już za pontyfikatu Leona bp Michael Pham, wcześniej biskup pomocniczy San Diego. Nic się nie zmieniło, również pod jego nadzorem odbyła się w diecezji „tradycyjna” msza dla homo- i transseksualistów. Co ciekawe, do 2025 r. za te ekscesy odpowiadał biskup pomocniczy San Diego Ramon Bejarano. Na mocy decyzji Leona XIV otrzymał później własną diecezję, Monterey w Kalifornii...

Wielu amerykańskich biskupów regularnie współpracuje z organizacjami, które skupiają katolików walczących o „prawa” środowisk LGBT. To przede wszystkim organizacje Outreach oraz New Ways Ministry. Pierwsza z nich, związana z jezuitą Jamesem Martinem, zorganizowała w czerwcu tego roku konferencję na prestiżowym, katolickim Georgetown University w Waszyngtonie. Pojawił się na niej sam McElroy, pochlebny list wysłał metropolita Chicago abp Blase Cupich. Z kolei z inicjatywy drugiej z tych organizacji odbywają się cykliczne „dialogi” z biskupami USA. Jak dotąd odbyły się trzykrotnie w różnych miejscach kraju.

Z homoseksualistami dialog prowadzili m.in. biskupi John Stowe z Lexington w Kentucky, Joseph Kopacz z Jackson w Missisipi czy biskup pomocniczy z Newark w New Jersey, Michael Saporito. Kopacz przekonywał publicznie, że spotkanie z homo- i transseksualistami stanowiło „autentyczny wyraz tego, co Duch mówi do Kościoła na globalnym synodzie”, a Saporito deklarował „ubogacenie dzięki wymianie osobistych historii”.

Stowe angażuje się na rzecz LGBT już od wielu lat. W roku 2021 poparł rządowy Akt równości, w którym ekipa Bidena chciała zabezpieczyć środowiska LGBT przed

Takie praktyki, jak okadzanie ołtarza pogańskimi kadzidłami czy kłanianie się na cztery strony świata, by uczcić duchy ziemi, to rzecz nagminna

dyskryminacją, uczestniczył też w wydarzeniach związanych z homomarszami.

Kto chciałby w Kościele katolickim w USA uprawiać aktywną propagandę na rzecz homo- czy transseksualizmu, niewątpliwie znajdzie w episkopacie hierarchów, z którymi będzie mógł nawiązać konkretną współpracę. Nie oznacza to, że cały amerykański Episkopat jest „tęczowy”, bynajmniej, to tylko jego niewielka część. Jednak wystarczyć porównała ten stan rzeczy z Polską, gdzie tak wyraziście progejowskich biskupów jest jednak zdecydowanie mniej.

WALKA Z TRADYCYJNĄ LITURGIA

Innym poważnym problemem Ameryki jest stosunek do wolności religijnej. Rzecz ma głębokie korzenie. W 1899 r. papież Leon XIII w liście „Testem benevolentiae nostrae” potępił tzw. herezję amerykanizmu, która polegała na szero-kim zaakceptowaniu przez ludzi Kościoła zasad liberalizmu, w tym zasadę pluralizmu religijnego, czyli uznania, że w życiu społecznym prawda nie ma większego znaczenia. We wrześniu ukazało się w mediach USA nagranie wywiadu z czarnoskórym biskupem pomocniczym Waszyngtonu, Robertem Boxie. Duchowny stwierdził: „Bóg stworzył wszystko: każdą rasę, kulturę, język, pochodzenie etniczne i każde wyznanie – to wszystko pochodzi od Boga”. W obszarze, o którym mowa, to proste wyznanie błędu potępianego przez papieża od kilku wieków. W czerwcu tego roku abp Edward Weisenburger z Detroit odwiedził lokalny meczet i stwierdził, że czuje się tam wspaniale, bo wyraźna jest „obecność Boga”, jak argumentował, wszystkie „kościóły, meczety, synagogi i święte miejsca” to przestrzeń, gdzie „Bóg wyciąga rękę”.

W lipcu abp John Wester z Santa Fe stwierdził, że do obowiązków chrześcijan, wynikających jakoby z nauczania Kościoła, należy obrona prawa muzułmanów do

islamskiego kultu. Można byłoby wymienić jeszcze długo podobne przypadki związane z „inkulturacją” religii szamańskich tzw. rdzennych ludów Ameryki, ale jest ich po prostu zbyt dużo. Takie praktyki, jak okadzanie ołtarza jakimś pogańskimi kadzidłami albo kłanianie się na cztery strony świata, by uczcić duchy ziemi, to rzecz po prostu nagminna.

Patologie są wszędzie, mógłby ktoś powiedzieć. Co jednak w sytuacji, w której mają urzędowe wsparcie? Od 7 do 14 października odbywało się w Rzymie wielkie spotkanie papieża z biskupami z całego świata, dotyczące duszpasterstwa rodzinnego. Większość uczestników była na miejscu z urzędu, ale niektórych Watykan zaprosił osobiście. Ze Stanów Zjednoczonych Leon XIV zaprosił aż czterech hierarchów. Nie chodzi już nawet o liczbę, choć ta jest zdecydowanie za duża na tle reprezentantów innych krajów, chodzi o światopogląd. Na specjalne zaproszenie do Watykanu przyjechali wymienieni w tym tekście Cupich i McElroy, a oprócz nich jeszcze Daniel Flores jako wiceszef Episkopatu USA oraz Joseph Tobin. O ile Flores zajmuje się głównie imigracją, o tyle Tobin wielokrotnie zabierał głos w sprawach LGBT, krytykując kościelny język, przyjmował też w swojej katedrze w Newark homopielgrzymkę. Ten wybór doskonale pokazuje, jakie skrzydło Episkopatu USA może liczyć dziś na wsparcie w Rzymie.

Kwestie homoseksualizmu i różnorodności religijnej to tylko dwa wybrane problemy. Osobną kwestią jest choćby kara śmierci. Podczas gdy tradycyjne nauczanie Kościoła przyznaje prawo do jej stosowania, biskupi amerykańscy w zdecydowanej większości od dawna ją krytykują, dość bezkrytycznie powtarzając nauczanie ostatnich papieży. W amerykańskim Episkopacie jest też wielu hierarchów, którzy zajadło walczą z tradycyjną liturgią, wprowadzając ostre ograniczenia, które umożliwił papież Franciszek, albo tępiąc kłęknięcie do przyjmowania Eucharystii podczas Mszy sprawowanej w nowym ob-rządku, jak uczynił np. bp Michael Martin z Charlotte w 2025 r.

Mówiąc krótko, nawet jeżeli Kościół w USA jest jakąś nadzieją dla Kościoła powszechnego, to nadzieja ta może zowieść.

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.



Biesy na Mazowszu



Filip Memches

Nastolatkom, którzy z ostrymi przedmiotami ruszyli do placówek edukacyjnych, przyświecał jakiś cel. Kluczowym słowem jest „challenge”, a więc, przekładając na język polski, „wyzwanie”. Ono pada przy różnych okazjach, gdy młodzi ludzie dopuszczają się czynów społecznie nieakceptowalnych – niezależnie od tego, czy chodzi tylko o przekraczanie norm moralnych czy o łamanie prawa

Niedawne ataki nastolatków w szkołach w różnych częściach kraju wstrząsnęły Polską. Stało się tak nie tylko dlatego, że w wyniku użycia ostrych przedmiotów jedna osoba zmarła, a kilkanaście zostało rannych, lecz także z powodu szokującej plotki, że prawem serii nastąpi eskalacja procederu. Taki komunikat ponoć przekazała jakaś skrzyknięta w Internecie anonimowa grupa młodzieży. Mowa była o „krwawym piątku” (9 października). W efekcie tego dnia w blisko 60 szkołach w całym kraju lekcje odwołano, a w tych placówkach, w których zajęcia się miały odbywać,

wielu uczniów się nie zjawilo. Zostali oni zatrzymani przez swoich rodziców w obawie o ich bezpieczeństwo.

Wybuch zbiorowej paniki wywołał spekulacje na temat politycznego tła tego, co się stało. Nasuwa się bowiem pytanie: Komu mogłoby zależeć i kto mógłby skorzystać na uruchomieniu lawiny zdarzeń skutkujących zastraszeniem Polaków? Jedną z odpowiedzi podsuwają zakusy rządu „uśmiechniętej” koalicji, żeby za wszelką cenę nie dopuścić do zmiany władzy w Polsce po wyborach parlamentarnych w roku 2027. Aby wytropić potencjalnych zbrodniarzy, trzeba byłoby podjąć na sze-

roka skalę inwigilację obywateli Rzeczypospolitej. A to by otwierało ekipie rządowej drogę do sięgnięcia po środki nadzwyczajne przeciw prawicowej opozycji, przedstawianej przez nią jako siła, która szermuje „mową nienawiści” i tym samym daje nastolatkom przyzwolenie na przemoc.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę i to, że seryjny charakter ataków w mazowieckich szkołach już zaabsorbował uwagę służb odpowiedzialnych za wewnętrzne bezpieczeństwo Polski. Tropienie prawdziwego lub wydumanego spisku nastolatków mogłoby je odciągnąć od monitorowania zagrożenia dla strategicznej infrastruktury państwa (a więc dla fabryk uzbrojenia, torów kolejowych, mostów) płynącego z zewnątrz, a konkretnie ze strony rosyjskiej agentury. Rosja prowadzi przeciw Polsce rozmaite operacje poniżej progu wojny kinetycznej. Funkcje obronne Rzeczypospolitej już są testowane rosyjskimi dronami. W grę jednak wchodzi również wykorzystywanie przez Rosję wszelkich sytuacji, które wywołują wśród Polaków zamieszanie. Im bardziej jakieś społeczeństwo jest zdezorientowane (nie zapominać też o zastraszeniu), tym łatwiej na nie naciskać. I wtedy drony są zbędne.

„WYDAJE SIĘ, ŻE JAKBY ZOSTAŁ ODŁĄCZONY OD CZEGOŚ”

Kiedy powstaje niniejszy tekst, trudno jednak o twarde dowody na to, że doszło do jakiejś zorganizowanej akcji politycznej wewnątrz lub na zewnątrz Polski. Natomiast niewątpliwie warto zastanawiać się nad czynnikami społecznymi i cywilizacyjnymi, które są katalizatorami patologicznie agresywnych zachowań młodzieży. Znamienne jest to, co powiedział dyrektor szkoły podstawowej w Leszczycie-Nowinach, gdzie nastolatek śmiertelnie ranił 37-letnią woźną. Ów nożownik został obezwładniony przez szefa placówki. Dyrektor szkoły, relacjonując w rozmowie z mediami to zdarzenie, stwierdził, że gdy mu się udało sprawcę zbrodni unieszkodliwić, ten nagle okazał bezradność. Szef placówki dodał: „Wydało się, że jakby został odłączony od czegoś”.

Zatrzymajmy się przy tym cytacie. Jest coś, do czego nastolatek był „podłączony”. W każdym razie dyrektor szkoły odniósł takie wrażenie. I tu dochodzimy do roli Internetu, w którym roi się od treści odbiegających w swojej wymowie od przekazu

serwowanego młodym ludziom w instytucjach, które ich wychowują. W cyfrowych czeluściach – mogą to być choćby gry wideo czy zamknięte grupy społecznościowe – niedojrzałe umysły „podłączają się” do alternatywnych rzeczywistości. W nich zaś rodzą się scenariusze stawania się kimś innym, niż się jest, włącznie z przekraczaniem granic natury ludzkiej. Można zatem przyjąć hipotetycznie, że sprawca zbrodni, o którym mówił dyrektor szkoły, był „podłączony” do alternatywnej rzeczywistości.

Pod wpływem nowej lewicy kultura mieszczańska doszła do etapu, na którym stawianie młodym ludziom wymagań stało się czymś podejrzanym

Przed wszystkim jednak przypuszczalnie nastolatkom, którzy podjęli ataki w mazowieckich szkołach, przyświecał jakiś cel. Kluczowym słowem jest „challenge”, a więc, przekładając na język polski, „wyzwanie”. Ono pada przy różnych okazjach, gdy młodzi ludzie dopuszczają się czynów społecznie nieakceptowanych – niezależnie od tego, czy chodzi tylko o przekraczanie norm moralnych czy również (a może głównie) o łamanie prawa. Tak więc wyzwaniem w ich oczach staje się coś, co w społeczeństwie uchodzi za zło. To taka ponura zabawa, która jest zjawiskiem światowym. Na Mazowszu „challenge’em” dla nastolatków stało się zabijanie nożem czy innym ostrym narzędziem w szkole.

ROSYJSKIE ZWIASTUNY „NADCZŁOWIEKA”

Zjawisko, o którym mowa, z pewnością przeraża. Komuś może przyjść do głowy, że nastały koszmarnie czasy, bo kiedyś młodzież nie była tak zdemoralizowana, jak jest dziś. Tyle że jeśli dotkniemy sedna sprawy, to okaże się, iż mamy do czynienia z bólaczkami, które zostały już dawno zdiagnozowane.

Już w drugiej połowie XIX w. Friedrich Nietzsche poruszył kwestię kryzysu cywilizacji europejskiej. Niemiecki filozof zajął

się wiwisekcją społeczeństwa mieszczańskiego, w którym do rangi cnoty urosła pospolitość, a wzorem stał się filister – osoba niskich lotów, skoncentrowana na zapewnieniu sobie komfortu i nieskora do podejmowania jakiegokolwiek ryzyka. Nietzsche pokładał więc nadzieję w nadejściu „nadcześniaka”. Ktoś taki miałby „przewartościować wartości” i – co za tym idzie – stawiać czoła miernotom, które narzucają ludziom moralność utrzymującą ich w stanie mentalnego niewolnictwa. Przy czym w tej wizji „nadcześniak” to ilustrująca określoną postawę postać alegoryczna, a nie konkretna osoba.

Myśl Nietzschego zawiera wątki, które zwiastowała twórczość Fiodora Dostojewskiego. Rosyjski pisarz był od niemieckiego filozofa starszy o 23 lata, więc można uznać, że żyli oni w tej samej epoce.

Dostojewski inspirował się prawosławiem (pod tym względem różnił się od Nietzschego, który był zjadliwym krytykiem chrześcijaństwa), co znalazło odzwierciedlenie m.in. w „Biesach”. Powieść ta opowiada o grupie politycznych radykałów, którzy w imię nihilizmu wywołują w prowincjonalnym rosyjskim mieście chaos, bo chcą przeprowadzić rewolucję. Tytułowe biesy to demony, które oponowują tych ludzi (ujmując rzecz słowami dyrektora szkoły w Leszczydole-Nowinach, „podłączają” ich do siebie). Ale poza tym powieść Dostojewskiego jest prozą psychologiczną. Warto więc na jedną z jej postaci spojrzeć właśnie z psychologicznego punktu widzenia. Chodzi o Aleksieja Kiriłłowa, inżyniera, który całymi nocami siedzi przy herbacie, snując rozważania filozoficzne. Uważa on, że człowiek warunkują ból i strach. To one stanowią korzenie religii, która jest jednym wielkim oszustwem. Człowiek ucieka w nią przed cierpieniem, ale to nic mu nie daje, bo jedynie pograża się w złudzeniach. A powinien szukać wolności. Jedynym wyjściem, żeby pokonać ból i strach, jest zatem samobójstwo. Popelniając je, człowiek staje się bogiem (Nietzsche mógłby powiedzieć, że „nadcześniakiem”). Ostatecznie Kiriłłow sam siebie zabija, choć podejmuje ten „challenge” z dużymi oporami. Teoria, którą głosił, zostaje skonfrontowana z jego instynktem samozachowawczym.

W innej powieści Dostojewskiego – „Zbrodni i karze” – główna postać, czyli Rodion Raskolnikow, 23-letni były student

prawa, siekierą morduje lichwiarke, u której się zadłużył. Motywy rabunkowe są bez znaczenia, on bowiem też – jak Kiriłłow – podejmuje przede wszystkim „challenge”. Potem w rozmowie z Sonią Marmieladową, prostytutką będącą jego powiernicą, wyznaje, że chciał się dowiedzieć, czy jest „wszyscy jak wszyscy, czy też człowiekiem” (Nietzsche mógłby doprecyzować, że „nadcześniakiem”), czy potrafi „przeskoczyć zasady moralne” czy nie.

FILISTERSKA SOCJALIZACJA

Kryzys cywilizacji europejskiej, którego świadkami byli Nietzsche i Dostojewski, jest kosztem wyparcia przez kapitalizm etosu rycerskiego i trwa do dziś. W kulturze mieszczańskiej wyżej się ceni pracowitość niż waleczność. I choć motorem kapitalizmu jest rywalizacja, to jednak ostatecznie w tym systemie liczy się korzyść materialna, a nie honor. Znaczenie może mieć też prestiż, ale jeśli nie da się go zmonetyzować, to traci on wartość.

Tyle że kapitalizm w swojej późnej fazie – gdy dobrobyt był już udziałem ogółu społeczeństwa – stał się podatnym gruntem dla idei nowej lewicy, które w ogóle piętnują jakąkolwiek rywalizację. W ich świetle konkurencja sama w sobie jest czymś złym, bo jej rezultat zawsze dyskryminuje tego, kto przegrywa. W warunkach, w których te idee nadają ton życiu społecznemu, nastolatkom płci męskiej są upupiani. Cała energia chłopaków jest tłamszona. A jeśli mimo ograniczeń nakładanych na nich przez porządek społeczny zachowują się oni agresywnie, to feministki zarzucają im zakompleksienie i oskarżają ich o to, że ci nie potrafili pogodzić się z tym, iż kobiety zmieniły świat, ubogacając go o czułość, empatię, wrażliwość.

Pod wpływem nowej lewicy kultura mieszczańska doszła do etapu, na którym stawianie młodym ludziom wymagań stało się czymś podejrzanym. Uszczęśliwiacze ludzkości chcą im bowiem życie ułatwiać, a nie utrudniać. Ale ci i tak będą szukać wyzwania, bo podejmowanie ich jest wpisane w naturę ludzką. Gorzej, że w reakcji na filisterską socjalizację może to przybierać charakter patologiczny i kryminalny. I o tyle liczność ta bynajmniej nie usprawiedliwia nastoletnich nożowników. Natomiast powinna ona dawać do myślenia ludziom, którzy nie łączą kropek.

Spotkanie oficerów niemieckiego
z sowieckim w Brześciu, wrzesień
1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Nasi” bohaterowie



Paweł Witaszek

Mordechaj Anielewicz, późniejszy przywódca Żydowskiej Organizacji Bojowej, nie tyle był obojętny na los Polski, ile kibicował jej wrogom

W relacjach polsko-żydowskich jednym z głównych wątków jest opis i ocena polskich zachowań wobec rzezi Żydów dokonanej przez Niemcy. Przyjmuje się za pewnik, że Polacy byli zobowiązani do wspierania Żydów, a negatywną ocenę moralną zyskują nie tylko takie głęboko naganne zachowania jak szmalcownictwo, lecz także brak pomocy dla walki zbrojnej warszawskiego getta czy

szeroko rozumiana obojętność. Takie oceny opierają się na dwóch założeniach: bardziej radykalnym, że Żydzi są narodem wyjątkowym, który tak dużo wycierpiał przez wieki, że gotowość udzielania im pomocy jest problemem moralności. Łagodniejsza wersja mówi tyle, że państwo polskie (ułamne, bo działające w warunkach obcych okupacji) było zobowiązane do obrony swych obywateli (w tym Żydów) oraz do pomocy militarnej powstańcom getta, którzy podnieśli oręż przeciwko wspólnemu wrogowi. Spróbujmy przyjrzeć się temu ostatniemu motywowi.

ATRAKCYJNOŚĆ KRAJU RAD

W II Rzeczypospolitej mniejszości narodowe stanowiły ok. jednej trzeciej ludności. W przypadku Niemców (ok. 4 proc.) i Ukraińców (ok. 14 proc.) mieliśmy do czynienia z mniejszościami

zamieszkującymi w miarę zwarte terytoria, które aspirowały do odrębności państwowej i stawiały postulaty zmiany granic. Żydzi (ok. 10 proc.) zamieszkiwali przede wszystkim miasta i miasteczka, w których czasem stanowili większość, a w stolicy, w Warszawie, Łodzi, Wilnie, we Lwowie, w Białymstoku czy Lublinie ponad 30 proc. Wśród mniejszości miały miejsce procesy asymilacyjne, były środowiska lojalne wobec państwa polskiego, ale nieliczne. Wśród Żydów rozwijał się ruch syjonistyczny, który istotnie różnił się od separatystycznych ruchów innych mniejszości, gdyż dążył nie do oderwania od państwa polskiego terytorium zamieszkałego przez daną mniejszość, ale do budowania państwa żydowskiego w Palestynie, co wiązało się z opuszczeniem Polski, a w konsekwencji zmniejszeniem odsetka ludności żydowskiej w Polsce. Z tego powodu

państwo polskie wspierało organizacje syjonistyczne.

Te jednak były mocno zróżnicowane, niemałe znaczenie odgrywały w tym ruchu środowiska o nastawieniu komunistycznym. Żydowska partia Poalej-Syjon Lewica starała się o przyjęcie do Kominternu (międzynarodówki komunistycznej). Po otrzymanej odmowie część jej działaczy wstąpiła do KPP, a część kontynuowała działalność pod dawnym szyldem. Jednak i ci ostatni byli życzliwie nastawieni do państwa sowieckiego i międzynarodowego komunizmu.

Wybuch drugiej wojny światowej niczego w tym względzie nie zmienił. Poalej Syjon-Lewica i jej młodzieżowa przybudówka Haszomer Hacair starały się kontynuować dotychczasową działalność. Była ona utrudniona, w części Polski zajętej przez Sowietów wystąpił znany już wcześniej problem: z perspektywy komunisty-syjonisty Kraj Rad był atrakcyjny, ale ta atrakcyjność była swoistym przekleństwem, perspektywa udziału w budowie komunizmu w ramach funkcjonującej już struktury, dającej możliwość udziału we władzy, przyciągała wielu Żydów, wygrywając z perspektywą żmudnego budowania kibuców w Palestynie. Na terenie okupacji niemieckiej do momentu ataku Niemiec na Sowiety w czerwcu 1941 r. działały kibuce, a działacze HH narzekali na utrudnienia w pracy wiążące się z utworzeniem gett (generalnie druga połowa 1940 r.): „Utworzenie getta w Warszawie spowodowało ogromne trudności w pracy Ruchu. Niemożliwe okazały się szeroko zakrojone szkolenia [...]. Mury utrudniały również rozsyłanie druków Komendy Racznej, gazet i okólników” – pisano w „Iton Hatnua”, gazetce HH wydawanej w getcie, w numerze listopad 1940/styczeń 1941 (s. 222).

BRACIA BUDOWNICZYCH SOWIETÓW

Duża część z tych działaczy HH, którzy znaleźli się na terenie okupacji sowieckiej, postanowiła udać się do Wilna, które Sowietci po kilku tygodniach od zajęcia przekazali Litwinom. Do Wilna, czy szerzej, na niepodległą jeszcze wtedy Litwę, starali się dostać także pragnący kontynuować walkę Polacy. Atmosferę tej podróży tak relacjonował we wspomnianym wcześniej numerze „Iton Hatnua”

Szmuel Bresław: „Z ciężkim sercem ruszamy w drogę. Nie jesteśmy samotni, ku granicy płyną tysiące ludzi – ale jakże obco czujemy się wśród nich my. Chcemy zadokumentować, że nie mamy nic wspólnego z tą bandą pacholków faszystowskich, która z tępym mieszczańskim zacięciem opluwa swą jadowitą śliną dzieło budowy socjalizmu. Chcemy podkreślić, że mimo tragicznego losu, który nas rozdzielił tym razem, czujemy się braćmi budowniczych Sowietów i niezłomnie wierzymy w nadejście dnia, w którym bez przeszkód stanimy ramie przy ramieniu” (s. 238–239).

Te „faszystowskie pacholki” to Polacy, których państwo zostało zaatakowane przez współpracujących sąsiadów. Z perspektywy lewicowych syjonistów zajęcie przez Armię Czerwoną połowy Polski określane było jako wyzwolenie i budowanie socjalizmu.

Po przekroczeniu litewskiej granicy Bresław opisał taką sytuację: „W kącie na ławce siedzą dwaj polscy oficerowie i głośno między sobą rozmawiają. Słychać wyraźnie jak pomstują na »czerwonych gudłajów« i jak wymyślają bezsilnie »parszywym Żydom« i »chucpowatym moszkom«, jak obiecują sobie krwawy dzień zapłaty. »Tu nie Bolszewia« – brzmi co drugie słowo [...]. Ucho odwykło już dawno od takich słów, więc świerzbi ręka i zaciskają się pięści. Trudno jednak »tu nie Bolszewia« istotnie – trzeba zaciąć zęby i milczeć” (s. 239).

Czyż autor nie jest doskonałym przykładem „czerwonego gudłaja”, a komentarze polskich oficerów właśnie w świetle poglądów jego, ale też i całej przynależnej mu formacji wydają się zupełnie trafne? Ten opis doskonale ukazuje rozbieżność polskiej i żydowskiej perspektywy. Jak wyglądała ta ostatnia w wydaniu Haszomer Hacair? Możemy to wyczytać w relacji z „dyskusji w Radzie Naczelnej” (przypomnę: jesteśmy na przełomie lat 1940–1941, przed atakiem Niemiec na Sowiety). Padają tam takie stwierdzenia: „Proletariat musi być uzbrojony. Dlatego jedyną szansą dla rewolucji jest wojna. Proletariusz, ufając w siłę militarną Sowietów, był zainteresowany wojną. Sowietci byli zniechęceni do wojny. Wojna ocaliła i stworzyła realną szansę dla rewolucji. Zwycięstwo socjalizmu zależne jest od zwycięstwa Sowietów”.

I dalej: „Los żydowskiego narodu związany jest ze zwycięstwem Związku Radzieckiego. Jesteśmy na śmierć i życie połączeni z siłami postępu” (s. 224).

Najprościej na to patrząc: Polacy utracili swoje państwo, elity narodowe były poddane eksterminacji (w co najmniej równym stopniu pod okupacją sowiecką jak pod niemiecką), a młodzi syjonistyczno-socjaliści na terenie połowy terytorium polskiego radowali się z wyzwolenia przez Armię Czerwoną, a na drugiej połowie narzekali na trudności w organizowaniu szeroko zakrojonych szkoleń.

Należy podkreślić, że artykuły w gazetkach HH zadają kłam bardzo rozpowszechnionej tezie, że Żydzi szukali w Sowietach ratunku przed Hitlerem, który przygotował dla nich Zagładę. Widzimy, że podejście jest zupełnie inne: prosowiecki entuzjazm budowany jest na więzi ideowej, projekcie światowej rewolucji proletariackiej, którą szomrowie chcieliby realizować także we wskrzeszonym państwie żydowskim. Przeciwnikiem proletariatu jest faszyzm, polski na równi z niemieckim nawzajem się wyniszczające, dzięki czemu oba łatwiej zostaną pokonane przez Armię Czerwoną. Miłość do tej ostatniej nie zaczęła się od ataku Hitlera na Sowiety czy nawet od zmagania w „republikańskiej” Hiszpanii. W tekście „Słowo do żołnierza Sowietów” pisano: „Przecież to ty, boso i z karabinem na sznurku biłeś Denikina, Kornilowa i Kołczaka i niosłeś atamanom ukraińskim, i polskim i fińskim panom swój krwawy, czerwony rachunek krzywd do wyrównania. Wtedy to właśnie kułeś swoją legendę, opowieść o zuchwałym Budionnym, stalowym Woroszyłowie...” (s. 386–387). Widzimy więc, że Armia Czerwona budziła sympatię w czasie wojny w 1920 r. (Budionny przeciwko polskim panom), kiedy nikt jeszcze nie słyszał o wiedeńskim malarzu ani jego rasistowskich teoriach.

WOJNA W IMIĘ REWOLUCJI

Korzyści z wybuchu wojny i geniusz polityki Stalina chwalono w tym samym numerze „Iton Hatnua” w tekście podpisanym M.A. Autor daje przegląd stanowiska lewicowego wobec wojny, zaczynając od kojarzonego z socjalizmem pacyfizmu („Nie ma większego błędu od utożsamienia socjalizmu z pacyfizmem”). Wskazuje tutaj na niebezpieczeństwo

izolacji Sowieców i zniszczenia Kraju Rad – kraje kapitalistyczne chciały bowiem napuścić Hitlera na ojczyznę proletariatu. Jednak ten plan się nie powiódł: „Ufni w potęgę militarną Związku, wzniesioną przez dwie zwycięskie pięcioletki – postanowili przywódcy państwa sowieckiego rozegrać własną kartę. I jak dotychczas – zwycięsko. Wbrew wszelkim obawom nie Sowiety padły pierwszą ofiarą w nowej wojnie. Walczące bloki zaś ponoszą kolosalne straty, które pośrednio wzmacniają pozycję wojskową Sowietów. Cel polityki zagranicznej Sowietów jest jednak dalszy. Nie tylko o zażegnanie aktualnego niebezpieczeństwa chodzi, ale o zlikwidowanie izolacji i odosobnienia Sowietów na zawsze. A to jest możliwe wtedy, gdy w pozostałych krajach Europy zwycięży rewolucja socjalna. Sowiety są

wyrzynają Polaków, tym lepiej dla sprawy rewolucji. Ten tekst naprawdę doskonale rozszyfrowuje istotę polityki sowieckiej, gdyż nie jest pisany według instrukcji Kominternu, który jednak starał się ukrywać swoje cele. Na jeden szczegół warto zwrócić uwagę, autor, tak jak i propaganda sowiecka, twierdzi, że sprokurowanie ataku Niemiec na państwa „demokratyczne” (jego cudzysłów bardzo na miejscu, bo Polska była przecież państwem faszystowskim) przez Stalina nie miał na celu uniknięcia ataku Niemiec i ich sojuszników na Sowiety. Hitler zwrócił się bowiem do Stalina właśnie dlatego, że Polska odmówiła mu współpracy przeciwko swojemu wschodniemu sąsiadowi.

Wydawcy prasy getta warszawskiego, z których pracy korzystam, wykazują, że ukrywającym się za inicjałami M.A.

kluczowy problem. Jednak Polacy i polskie instytucje powinny przyjmować perspektywę polską. Perspektywę, w której Anielewicz był kolaborantem niegorszym, chociażby od Igo Syma czy Volksdeutscherów. W normalnych okolicznościach jego zbrodnia byłaby ukarana. Państwo polskie nie miało jednak odpowiednich środków, żeby to wyegzekwować.

Można by powiedzieć, że w tym względzie wyręczyli je Niemcy. Jednak niezupełnie: postać Anielewicza została uhonorowana na wielu płaszczyznach: w lipcu 1944 r. został odznaczony Krzyżem Walecznych przez AK. To zadziwiające, gdyż Anielewicz nie walczył o wolną Polskę; nawet wtedy kiedy strzelał do Niemców, to jednocześnie gardłował za niosącymi Polskę zniewolenie Sowietami. W roku 1955 jego imię nadano dawnej ulicy Gęsiej w Warszawie. Dekomunizacja nie dotknęła tego patronatu, a dzisiaj ulica ta jest adresem Muzeum Polin, które notabene patronuje promocji niszczącej Polskę przez lata żydokomuny. Ma także swoje ulice w kilku innych miastach Polski, a w jego rodzinnym Wyszku ćwierć wieku temu odsłonięto pomnik-tablicę na jego cześć.

Polska w czasie drugiej wojny światowej miała dwóch wrogów, którzy najpierw ze sobą współpracowali, a później się pobili. Koniec końców polską państwowość zniszczyli Sowiet. Nie powinniśmy celebrować ani tych, którzy po stronie Niemiec strzelali do Sowietów, ani tych, którzy po stronie Sowietów strzelali do Niemców. A tych, którzy popierali jednego z wrogów w jego walce przeciwko Polsce, powinniśmy skazać na wieczną infamię.

Dzięki wydawnictwu Żydowskiego Instytutu Historycznego, choć zapewne wbrew jego intencjom, możemy poznać prawdziwe, z gruntu antypolskie oblicze Mordechaja Anielewicza i jego organizacji Haszomer Hacair. To dobra podstawa do odebrania mu Krzyża Walecznych oraz usunięcia z przestrzeni publicznej wszelkich upamiętnień.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z wydawnictwa Żydowskiego Instytutu Historycznego im. Emanuela Ringelbluma, „Archiwum Ringelbluma, Konspiracyjne Archiwum Getta Warszawy, tom 18: Prasa getta warszawskiego: Haszomer Hacair”, Warszawa 2023. Podane przy cytatach strony odnoszą się do tej pozycji.

Anielewicz nie walczył o wolną Polskę; nawet wtedy kiedy strzelał do Niemców, to jednocześnie gardłował za niosącymi Polskę zniewolenie Sowietami

przeto obecnie jedynie poważnym nosicielem socjalizmu. Polityka zagraniczna Sowietów winna być wykładnią taktyki ruchu robotniczego we wszystkich krajach kapitalistycznych. Do powyższego należy dodać, że stosunek Sowietów do wojny uległ analogicznym zmianom, co stosunek ruchu robotniczego. Sowiety były zawsze elementem pokoju w Europie. Gdy jednak stało się oczywiste, że wojna jest dla faszyzmu koniecznością, Sowiety postanowiły doprowadzić w miarę swoich możliwości do walki pomiędzy blokiem faszystowskim a blokiem „demokratycznym”. Każdy miesiąc wojny (bez udziału Sowietów) to osłabienie faszyzmu i kapitalizmu. Nikt bardziej od ruchu robotniczego nie jest w tym zainteresowany. Interesy ruchu robotniczego, gdy spojrzemy na nie w świetle rewolucji i dyktatury proletariatu, pokryły się w ten sposób zupełnie z polityką Sowietów. Pokryły się i pokrywać się będą niezależnie od tego, czy jest ona jest proniemiecka, czy proangielska” (s. 185–186).

Ten dość długi cytat doskonale pokazuje istotę rozumowania autora i jego perspektywę, w której Polska i jej los nie mają żadnego znaczenia – im dłużej Niemcy

był Mordechaj Anielewicz. Późniejszy przywódca Żydowskiej Organizacji Bojowej i „wojny żydowsko-niemieckiej” w warszawskim getcie. Jego entuzjazmu dla państwa sowieckiego i jego polityki nie sposób zakwalifikować jako „odmienną wizję Polski”. Polska w tym myśleniu zupełnie się nie liczyła, a dokładnie była przeszkodą w realizacji światowej rewolucji. Przeszkodą, którą genialny Stalin zniszczył, inicjując faszystowsko-„demokratyczną” wojnę. Polakom zarzuca się obojętność na los Żydów, kiedy Hitler postanowił ich wymordować oraz gdy podjęli beznadziejną walkę, a tutaj widzimy, że Anielewicz nie tyle był obojętny na los Polski, ile kibicował jej wrogom (Niemcom, bo Polskę i siebie samych osłabiają, Sowietom – bo przeprowadzą proletariacką rewolucję).

Specjaliści od stosunków polsko-żydowskich nie kwapią się z oceną takich zachowań. Wydawcy zauważają jedynie to, że Żydzi źle wyszli na komunizmie, któremu niesłusznie zaufali. Jeżeli przyjmiemy perspektywę żydowską, to rzeczywiście brak wdzięczności komuny dla swoich najgorliwszych zwolenników (sprawa „spisku lekarzy”, Marzec '68) można postrzegać jako



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Kolaboracja?

Ciekawym a nieznanym epizodem jest udokumentowane współdziałanie zrzutków sowieckich z oddziałami Brygady Świętokrzyskiej na Kielecczyźnie. Kontakty były dość długie, trwały kilka tygodni i zaowocowały tym, że desantowa grupa sowiecka przekazała broń i pieniądze nie tam, gdzie były one przeznaczone.

Z moich rozmów i wspomnień oficerów i żołnierzy BŚ na początku lat 90. wyłaniał się zupełnie inny ich obraz niż powszechnie znany, czyli zjadłych antykomunistów. Życie jest bogatsze i bardziej urozmaicone niż nastawienie polityczno-ideologiczne.

Oto sowiecki desant Józefa Sobiesiaka „Maksa” (o przedwojennym rodowodzie z KPP) nawiązał kontakt ze zgrupowaniem, tworzącym wkrótce Brygadę Świętokrzyską. W składzie oddziału „Maksa” znalazła się grupa desantowa por. Mirosława Petelickiego (ojca późniejszego współtwórcy jednostki GROM). On sam wywodził się z rodziny wołyńskich osadników wojskowych, która w zamian za zasługi otrzymała prawo nabycia ziemi po korzystnych cenach. Po wejściu Sowietów w 1939 r. na te tereny został aresztowany, przeszedł odpowiednie pranie mózgu i został wciągnięty na ich służbę. Po przygotowaniach i przeszkoleniach, również ideologicznych, został przeznaczony w 1944 r. do grup desantowych na ziemiach centralnej Polski, aby wspomóc budowę zaplecza PPR i AL.

Gdy desantowcy zaciągnęli języka wśród ludności, dowiedzieli się, że Armia Ludowa to bandy złodziei i bandziorów. A równolegle działały NSZ i ku nim zrzutkowie zwrócili swą uwagę, kierując się opiniami okolicznych mieszkańców. Kontakty musiały być nader częste, ponieważ gdy 27 sierpnia 1944 r. oddziały Brygady Świętokrzyskiej NSZ zostały zaatakowane przez Niemców i doszło do walk z nimi, otrzymały one pomoc od grupy por. Mirosława Petelickiego właśnie. Być może to ta pomoc żołnierzy (wyszkolonych i świetnie uzbrojonych) uratowała 202. pułk piechoty NSZ. Z odrębnego meldunku mjr. Władysława Marcinkowskiego „Jaksy” (dowódcy 202. pp NSZ) do szefa sztabu Brygady ppłk. Leonarda Zub-Zdanowicza „Zęba” wynika rzecz następująca: „Nawiązana łączność z PPR w ręku. Ubezpieczają nas od strony Samsonów – Odrówąj. Siły jeszcze nieznanne”.

Na tę okoliczność M. Petelicki był intensywnie przesłuchiwany w 1948 r. przez Informację Wojskową w Polsce Ludowej. Tłumaczył się, że NSZ to było dla niego wojsko w przeciwieństwie do AL. Karierę sobie zламаł, ale zeznał prawdę. Był to wyjątkowy przypadek dłuższego współdziałania zrzutków sowieckich z NSZ, gdy Polacy z komunistycznego desantu potrafili się porozumieć z Polakami z NSZ we wspólnej walce z Niemcami. I kto tu z kim kolaborował? ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Gulden
gdański

Kłęsa państw centralnych w pierwszej wojnie światowej wywołała potężne zmiany terytorialne na mapie Europy. Zniknęły trzy dawne cesarstwa, a w zamian powstawały państwa o charakterze narodowym. Jednym z problemów, z którymi musieli zmierzyć się zwycięscy alianci, była sprawa przynależności Gdańska. Politycy koalicji wiedzieli bowiem doskonale, że pozostawienie portu w granicach Niemiec zniszczy gospodarkę odradzającej się Polski, ale nie wchodziło w rachubę przyłączenie miasta do Rzeczypospolitej. Było bowiem zdominowane przez Niemców i łatwo mogło stać się przyczyną nowej wojny, więc wybrano rozwiązanie kompromisowe, które od początku przysparzało poważnych problemów.

Wzorowano się na pomysłach Napoleona (wtedy pierwszy raz powstało Wolne Miasto Gdańsk) z dodatkami właściwymi dla pierwszych dekad XX stulecia. Miasto miało stać się odrębnym organizmem państwowym, całkowicie zdemilitaryzowanym, i nie mogło też prowadzić samodzielnej polityki zagranicznej. Rolę tę przeznaczono Rzeczypospolitej, której terytorium otaczało obszar Gdańska niemal ze wszystkich stron.

Wbrew pozorom nowe państwo nie ograniczało się wyłącznie do samego miasta, gdyż w jego skład weszły także obszary ościennych powiatów (w tym Sopot). Nowy twór państwowy miał łączną

powierzchnię 1893 km kw. Mieszkańcy posiadali obywatelstwo gdańskie, miasto wydawało też własne paszporty. Gdańsk miał konstytucję zatwierdzoną przez Ligę Narodów, własny hymn, a od polskiego terytorium oddzielała go granica obsadzona przez służby celne. Od obcokrajowców nie wymagano jednak wiz i w praktyce powstała strefa wolnocłowa, tym bardziej że umowa polsko-gdańska była mniej restrykcyjna niż przepisy obowiązujące na innych granicach Rzeczypospolitej.

W mieście działał bank emisyjny, jednostką płatniczą był gulden gdański, dzielący się na 100 fenigów. Waluta obowiązywała od 20 października 1923 r., kiedy zastąpiła zniszczoną hiperinflacją markę niemiecką. Wymiana odbyła się według kursu 1 gulden za 750 mld. (!) marek.

Organem ustawodawczym Wolnego Miasta był parlament (Volkstag), a władzę wykonawczą sprawował senat. Językiem urzędowym był niemiecki, jednak do pism adresowanych do Polaków i Kaszubów obowiązkowo załączano polskie tłumaczenie.

Rzeczpospolita miała zagwarantowaną wymianę handlową przez port gdański oraz prawo do swobodnej żeglugi na Wiśle. W rzeczywistości różnie z tym bywało, a Polakom utrudniano osiedlanie się na terenie Wolnego Miasta. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa z rejestracją polskich firm i nabywaniem przez Polaków nieruchomości. ©



Jan Bogatko z Berlina

BND (Bundesnachrichtendienst) to nie są jednak – jak można by sądzić – Federalne Usługi Informacyjne. To niemiecki wywiad. Ma zapewniać Niemcom bezpieczeństwo. Chronić unijne i NATO-wskie mocarstwo przed działaniem obcego wywiadu. Łapać szpiegów i nie pozwalać im na przekazywanie informacji zagranicznym centralom. Ważne zadanie. I trudne zadanie

Rankiem, we wtorek 6 października, przed położonym romantycznie na uboczu miejscowości Nordwalde (w regionie Münsterland, po polsku Monastyr, w Westfalii, w Niemczech Zachodnich) obszernym domu z czerwonej cegły mieszkańców sennej na co dzień o tej porze osady zaskoczyły liczne samochody policyjne pod domem Hanningów. Reporterom radia, prasy i telewizji nie udało się zebrać informacji o mieszkańcach rezydencji na terenie dawnej cegielni. Nie pokazywali się oni na ogół sąsiadom, teren, na którym stoi dom, jest bardzo duży i nieprzejrzysty. – Hanning? Nie znam, ale słyszałam – mówi mieszkanka Nordwalde. Rozmówczyni dziennikarza nie wie, o co tu chodzi. Inna dodaje, że słyszała w radiu, że o aferę szpiegowską.

SZARA EMINENCJA

Dom w Nordwalde zamieszkuje „bardzo ważna osoba”, VIP, jak to się mówi. I to nie byle jaka. Jest nią August Hanning, dr Hanning. August Hanning, prawnik, specjalista od ekologii, od 1998 do 2005 r., kiedy to kanclerzem Niemiec był znany ze swych przyjacielskich relacji z Putinem Gerhard Schröder (dla przyjaciół Gerd), Hanning był prezydentem BND, niemieckiego CIA. Miał kolosalne kontakty, był w Niemczech szarą eminencją. Nikt nie wiedział więcej od niego. A niezbędne kontakty, umożliwiające zbieranie informacji, liczący 80 lat prawnik po studiach we Fryburgu (Bryzgowijskim) i Mona-



August Hanning został aresztowany we własnej posiadłości w Nordwalde 6 października 2026 r.

FOT. CHRISTOPH REICHWEIN/DPA PICTURE-ALLIANCE/AFP/EAST NEWS

Tu się sprzedaje, tu się kupuje

styrze posiada do dziś. Jednym z nich, bodajże najważniejszym, jest (a raczej był) ówczesny szef biura prezydenta Hanninga, Manfred D., również aresztowany w związku z aferą szpiegowską. Manfredowi D. prokurator generalny, w którego właściwości spoczywa dochodzenie, zarzuca sprzedawanie latami Augustowi Hanningowi poufnych dokumentów – utrzymuje FOCUS online. Jak utrzymuje lewicowa monachijska gazeta „Süddeutsche Zeitung”, sprzedawane Hanningowi aktualne dokumenty BND to w istocie raporty dotyczące sytuacji w Urzędzie Kanclerskim.

Po co Hanningowi były te dokumenty, nietrudno się domyśleć. Były szef BND po przejściu na zasłużoną zapewne emeryturę rozpoczął na własną rękę działalność konsultingową. FOCUS online utrzymuje, że celem specjalisty od informacji był... handel nimi. Aktualnie prokurator generalny bada, czy Hanning sprzedawał tajemnice państwowe obcym mocarstwom. Z kolei informacje mediów są rezultatem wspólnych badań, prowadzonych zarówno przez monachijską gazetę

SZ, jak i stacje radiowe WDR (Kolonia) i NDR (Hamburg).

SZPIEGOSTWO I UPROWADZENIE

Jak w ogóle doszło do wybuchu afery, która zagroziła Hanningowi utratą prawa do pogrzebu na koszt państwa i pośmiertnego orderu? Jak zwykle na początku był przypadek...

W 2025 r. hamburska prokurator wszczęła postępowanie przeciwko Hanningowi w związku z podejrzeniem, że firma, za którą odpowiadała, miała uprowadzić dwoje dzieci Christiny Block (w związku z utratą przez milionerkę praw rodzicielskich po rozwodzie z mężem, Stephanem Henslem) z Danii do Niemiec. W ramach tego postępowania we wrześniu 2025 r. przeszukano łącznie osiem lokali mieszkalnych i użytkowych należących do Hanninga oraz zabezpieczono materiały dowodowe. I właśnie na ich podstawie pojawiło się później podejrzenie o szpiegostwo. W konsekwencji 6 października 2026 r. Federalny Prokurator Generalny przy Federalnym Trybunale Sprawiedliwości zlecił Federalnemu Urzędowi Kryminalnemu (BKA)

wykonanie nakazu aresztowania Hanninga w jego miejscu zamieszkania w Nordwalde. Zarzuty dotyczyły uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstw polegających na szpiegostwie na szkodę państwa, działalności wywiadowczej w celu uzyskania tajemnic państwowych, na usiłowaniu zdrady państwa oraz prowadzeniu działalności agenturalnej na rzecz obcego wywiadu. Bezpośrednim impulsem do działań były materiały zabezpieczone podczas przeszukania u Hanninga we wrześniu 2025 r., przeprowadzonego w ramach dochodzenia przeciwko wspomnianej Christinie Block. Według ustaleń, na mocy porozumienia zawartego wiosną 2010 r., Hanning miał – w zamian za wynagrodzenie – regularnie otrzymywać od swojego byłego szefa biura, Manfreda D. (zatrudnionego w BND do marca 2026 r.), informacje będące w posiadaniu tego urzędu, aby następnie wykorzystywać je z zyskiem w swojej prywatnej działalności doradczej.

Manfreda D. również aresztowano, w Geretsried (w Bawarii), gdzie mieszka. Miał on przekazać Hanningowi blisko 2 tys. różnych dokumentów z BND, służących przede wszystkim informowaniu kierownictwa urzędu oraz przygotowywaniu odpraw dotyczących sytuacji wywiadowczej dla Urzędu Kanclerskiego. Znaczna ich część (liczba trzycyfrowa) była opatrzona klauzulą tajności „VS-Vertraulich” (poufne) lub „Geheim” (tajne). W co najmniej jednym przypadku Hanning wykorzystał materiały niejawne o klauzuli „Geheim” do sporządzenia analizy dla zagranicznej służby wywiadowczej – prawdopodobnie azerbejdżańskiej służby wewnętrznej DTX – przy czym nie jest jasne, czy służba ta faktycznie otrzymała wspomniany dokument. Hanning utrzymywał miał również intensywne kontakty z inną obcą służbą, której przekazywał informacje polityczne – częściowo uzyskane od Manfreda D. Adwokat Hanninga oświadczył, że choć jego klient był w posiadaniu poufnych dokumentów, to nie przekazywał zawartych w nich informacji, czyli nie działał na szkodę Republiki Federalnej Niemiec.

CHIŃSKI TROP

Zostawmy Azerbejdżan na boku. Magazyn „Der Spiegel” odkrył o wiele ważniejszy trop działalności biura usług konsul-

tingowych Augusta Hanninga, prowadzący do Chin ludowych (dzisiaj unika się raczej tego określenia ChRL). A konkretnie – do gen. mjr. Wanga Jianzhenga. „Der Spiegel” utrzymuje, że były szef BND po przejściu na emeryturę często bywał w narodowo-komunistycznych Chinach, niekiedy wędrując po Wielkim Murze. Otóż odwiedził on tam generała i dyplomata, który przez wiele lat służył chińskim komunistom w Niemczech, a mianowicie Wanga Jianzhenga.

Towarzysz Wang swego czasu (w latach 1987–1990) pracował w ambasadzie Pekinu w Berlinie Wschodnim, wówczas stolicy sojuszniczego NRD. Potem jeszcze dwa razy wysyłano go do Niemiec, już zjednoczonych, ostatnio w randze attaché wojskowego. Może to wtedy Hanning poznał Wanga, uchodzącego w Państwie Środka za koryfeusza wiedzy o Niemczech. Według zarzutów Prokuratury Generalnej Hanning utrzymywał „intensywne kontakty z funkcjonariuszem obcego wywiadu państwowego”. Miał on przekazywać tej osobie „informacje polityczne” przez wiele lat – częściowo „w oparciu o materiały otrzymane od Manfreda D.”. Prokurator nie ujawnił jednak, dla którego państwa pracował domniemany kontakt Hanninga. Azerbejdżan? Chiny? A może Rosja? Jak wyglądały relacje szefa BND z ówczesnym kanclerzem Niemiec, Gerhardem Schröderem? Dzisiaj przyjacielem Putina? Na ten temat nic nie wiadomo i mało prawdopodobne, by w Karlsruhe (siedzibie prokuratora generalnego) padły słowa na ten temat.

Na emeryturze generał nadal zajmował się niemiecką polityką. To on przetłumaczył wspomnienia Hansa Modrowa (ostatniego premiera rządu w NRD), a w 2018 r. był jego przewodnikiem po Chinach. „Towarzysz Wang” to mój stary przyjaciel – powiedział wtedy Modrow. A zatem trzech przyjaciół: Modrow z NRD, Wang z Chin Ludowych i Hanning z BND w Republice Federalnej? A może do domniemyanych trzech muszkieterów należy dodać i czwartego, Schrödera? Towarzysz Wang bowiem przetłumaczył także na chiński zbiór rozmów z byłym kanclerzem Niemiec, Gerhardem Schröderem. W przedmowie do wydania z lipca 2017 r. Wang wyraźnie podziękował Hanningowi za wskazówki i wyjaśnienia w związku z jego publikacją.

Również w 2017 r. doszło do spotkania Augusta Hanninga, szefa BND, i gen. mjr. Wanga podczas oficjalnego przyjęcia w mieście HuaiBei. Według kroniki miasta rozmowy dotyczyły m.in. współpracy i rozwoju gospodarczego. W programie znalazły się również wizyty w lokalnych przedsiębiorstwach, które Hanning i Wang odbyli wspólnie. Jeszcze w 2023 r. oba nazwiska figurowały na liście uczestników konferencji unijno-chińskiej. Ponadto byli oni członkami gremium doradczego niemiecko-chińskiego ekoparku w Qingdao. Generał major Wang jest tam wymieniony jako członek honorowy. Na pytanie, czy powiązania Hanninga z Wangiem są przedmiotem postępowania przygotowawczego Prokuratury Federalnej, organ w Karlsruhe nie chciał ani udzielić odpowiedzi, ani też skomentować doniesień magazynu „Der Spiegel”. Wyjaśnieniem kwestii, czy Hanning za pieniądze przekazywał wewnętrzne informacje BND, ma zająć się Bundestag, a konkretnie komisja do spraw kontroli wywiadu (PKGr). Czyli o sprawie się zapomni, a ona sama ucinie. Prokurator generalna, Ines Peterson, jest przekonana, że były szef BND, Hanning, i urzędnik wywiadu, Manfred D., już wiosną 2010 r. zawarli porozumienie, iż Manfred D. za pieniądze przekazywać będzie Hanningowi cenne informacje wywiadowcze. Dzisiaj wiemy, że w celu ujęcia sprawców policja miesiącami śledziła Manfreda D. W jego mieszkaniu zainstalowano podsłuch. Specjalista od wywiadu padł jego ofiarą.

BAKU ZAPRZECZA

Azerbejdżan zdementował doniesienia magazynu „Der Spiegel”, jakoby Hanning miał utrzymywać kontakty z azerskim agentem. Agencja APA zamieściła komunikat, że Baku odrzuca doniesienia medialne, protestując za pośrednictwem służb specjalnych i kanałami dyplomatycznymi w Urzędzie Kanclerskim i MSZ w Berlinie w tej sprawie. Radio AnweZ z Baku z kolei podało, że Urząd Kanclerski i BND poinformowały oficjalnymi kanałami, iż w toczącym się postępowaniu przeciwko Hanningowi i Manfredowi D. nie wymienia się Azerbejdżanu.

Chiny nie wydały oświadczenia. O Rosji nie wspominam. Niemcy są tak czy siak skompromitowane. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Pieczyński

Wojna zostawia oczywisty ślad w psychice żołnierzy. Problem cierpiących na PTSD weteranów dotyczy nie tylko Rosji, lecz także Ukrainy. Niebawem zapewne dotknie również Polskę

Wywołana wojną przemoc nie ogranicza się do tego, co dzieje się na froncie. Żołnierz, wracający do cywila, zabiera ze sobą również traumę, jaką przeżył podczas walk. I często ją odreagowuje, stosując agresję. W mediach często mówi się o PTSD w przypadku rosyjskich weteranów. W dużej mierze dlatego, że narracja o „złych Rosjanach” jest bardziej poprawna politycznie. Są też dwie praktyczne przyczyny. Po pierwsze, Rosjanie częściej niż Ukraińcy rekrutowali na front więźniów, u których doświadczenie wojny tylko spotęgowało i tak już istniejące zamiłowanie do przemocy. Po drugie, z uwagi na lepszą sytuację demograficzną Putin może sobie bardziej niż Zeleniśki pozwolić na odsyłanie żołnierzy do cywila i wymianę mięsa armatniego na świeższe. Ukraińców po prostu mniej niż Rosjan wraca z frontu, w związku z czym przypadków przemocy jest mniej. Ale się zdarzają. Poza tym ukraińscy poborowi wiecznie w okopach siedzieć nie będą. W pewnym momencie wojna się skończy i wrócą do „normalnego” życia, „bogatsi” o nienormalne doświadczenia. Być może będą nawet bardziej strauatyzowani niż ich wrogowie z przeciwnej strony frontu, relatywnie więcej czasu spędzą bowiem na wojnie.

KRONIKI POLICYJNE

Polska, jak to zwykle bywa, jest pierwsza do pomagania Ukrainie. Także w sferze pomocy kombatanom. W tym roku nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych przeznaczyło ponad 14,6 mln zł na projekty wspierające ukraińskich weteranów i ich rodziny. Z jednej strony, rząd w Warszawie powinien być wyjątkowo ostrożny w wydawaniu pieniędzy na pomoc dla coraz

Niebezpieczni ukraińscy weterani

W 2025 r. w Amsterdamie nożownik zranił pięć osób, w tym Polaka. Sprawcą był Ukraińiec. 30-letni Roman D. służył w armii na froncie. Zdezerterował podczas przepustki

FOT. GENE MEDI/NURPHOTO/GETTY IMAGES, GEENSTIJL.NL

bardziej nieprzyjaznego nam państwa. Z drugiej strony, chcąc nie chcąc, mogą to być pieniądze wydane również na polskie bezpieczeństwo.

Gdy zakończy się wojna, oczywistym krokiem Kijowa będzie demobilizacja. Tysiące ukraińskich żołnierzy odejdzie ze służby. Naturalnym wyborem dla wielu, wobec zniesienia zakazu wyjazdu z kraju, będzie emigracja i dołączenie do przebywających za granicą rodzin. Weterani z PTSD, umiejący posługiwać się bronią i zabijać, staną się wówczas naszym problemem. Kroniki policyjne najpewniej zapewnią się przypadkami przemocy domowej czy przestępczości zorganizowanej. Nie trzeba być niechętnym Ukraińcom, żeby przewidzieć taki scenariusz, oczywisty dla każdego społeczeństwa, które właśnie przeżyło krwawą wojnę.

To zresztą mogło się już wydarzyć. Trzydziestoletni Ihor M., który

24 września w opactwie benedyktynek w Jarosławiu zabił księdza i ranił pięć innych osób, według nieoficjalnych doniesień medialnych mógł być weteranem ukraińskiej armii. Nie ma jednak co do tego pewności.

Przedsmak tego, czego możemy być świadkami lub nawet ofiarami, można zobaczyć w relacjach ukraińskich mediów. Prawda o cierpiących na PTSD weteranach nie jest tam zamiatana pod dywan. Jest natomiast opisywana jako realne, wymagające interwencji zjawisko. 10 lipca tego roku w Zaporozżu 35-letni, uzbrojony w nóż mężczyzna wdarł się do gabinetu lekarskiego. Groził lekarzowi śmiercią. Policja przyjechała na czas i obezwładniła napastnika. Agresorem okazał się weteran. W 2022 r. zaciągnął się na ochotnika do Sił Zbrojnych Ukrainy. Walczył pod Awdijiwką. Wskutek odniesionych ran ma problemy ze wzrokiem, a także z kręgo-



ślupem. Przeszedł długotrwałe leczenie szpitalne. Jego matka opowiedziała historię syna w rozmowie z portalem Suspilne. Z jej wersji wynika, że leczenie trwało trzy-cztery miesiące. Jedynym źródłem utrzymania weterana była wtedy emerytura rodziców. Wojskowa komisja lekarska zaproponowała mężczyźnie przyznanie trzeciej grupy niepełnosprawności, ale z przyczyn cywilnych, a nie wojskowych. I to pomimo że utrata zdrowia była wprost spowodowana ranami odniesionymi na froncie. Prawdopodobnie właśnie poczucie rażącej niesprawiedliwości popchnęło weterana do desperackiego kroku, do którego zapewne nie doszłoby, gdyby nie syndrom stresu pourazowego.

Nie jest to jedyny przypadek, gdy były ukraiński żołnierz dopuszcza się ataku z nożem w rękę. W marcu 2025 r. w Amsterdamie nożownik zranił pięć osób. Sprawcą był Ukrainiec. Trzydziesto-

letni Roman D. służył w armii na froncie. Zdezerterował podczas przepustki. Jeszcze przed ucieczką niejednokrotnie wyrażał chęć trafienia do europejskiego więzienia. Tak przynajmniej twierdzą jego dawni towarzysze broni, cytowani przez holenderskie „Nieuwsuur”.

W styczniu 2025 r. dowództwo wyraziło zgodę na krótką przepustkę. Roman D. miał odwiedzić matkę w Czechach. Było to jednak najwyraźniej kłamstwo. Matka twierdzi, że nie kontaktował się z nią od momentu wybuchu wojny. „Często mówił, że chce zabić kogoś w Norwegii, żeby trafić tam do więzienia i spędzić (w tym kraju) resztę życia” – mówił „Ukraińskiej Prawdzie” były dowódca nożownika. – „Studiował systemy prawne różnych krajów, żeby się zorientować, co trzeba zrobić, aby dostać dożywocie. Od dawna było widać, że jego stanem psychicznym jest coś nie tak” – dodał. Po raz ostatni

dowódca kontaktował się z Romanem D. w lutym. Wtedy dezterter miał mu powiedzieć, że jest w Polsce i nie zamierza wracać na Ukrainę. Roman D. pochodzi z Sartany w obwodzie donieckim, miejscowości okupowanej przez Rosję. Stąd pojawiła się hipoteza, że został zwerbowany przez służby agresora. Jednak – jak czytamy na „Ukraińskiej Prawdzie” – jest to mało prawdopodobne, gdyż mowa o człowieku, który od lat walczył przeciwko Rosji. Roman D. wstąpił do armii na ochotnika jeszcze na długo przed wybuchem wojny i ogłoszeniem pełnej mobilizacji. W 2023 r. został ciężko ranny w głowę wskutek wybuchu granatu. Potem często cierpiał na zawroty głowy. Został więc przeniesiony na stanowisko administracyjne w wojsku. Koledzy w rozmowie z mediami opisują go jako zamkniętego w sobie i niestabilnego psychicznie. Jeden nazywa przyszłego nożownika odludkiem, inny wspomina, że Roman D. często zmieniał zdanie, byle tylko posprzeczować się w dyskusji. Raz fascynował się Elonem Muskiem, innym razem – radykalnym islamem.

Bywały też przypadki bardziej spektakularne. W lipcu 2024 r. na jednej z ulic w Łucku 35-letni ukraiński żołnierz rzucił granat. Pięć osób zostało rannych. Dwie trafiły na intensywną terapię. W listopadzie 2025 r. sprawca został skazany na 10,5 roku więzienia. Miesiąc przed rzezonym atakiem w tym samym mieście doszło do podobnego incydentu. W czerwcu 2024 r. 23-letni żołnierz Sił Zbrojnych Ukrainy rzucił granat treningowy na podwórzu. W pobliżu były cztery osoby, ale nikt nie został ranny. Przed sądem sprawca nie potrafił wyjaśnić swoich motywów. Dostał karę grzywny w wysokości 25 500 hrywien.

KRWAWE ZDARZENIA

W maju 2022 r. w jednym z miast obwodu winnickiego na środkowej Ukrainie pięciu żołnierzy spotkało się po służbie w lokalu, w którym była kawiarnia i sklep zarazem. Przynieśli ze sobą swój alkohol. Gdy już nie mieli co pić, postanowili dokupić wódkę. Właściciel jednak odmówił sprzedaży, powołując się na godzinę policyjną. Wtedy między pijanymi żołnierzami wywiązała się ostra kłótnia, która przerodziła się w bójkę, gdy wyszli na ulicę. Jeden z nich, uderzony w twarz, ■

upadł na ziemię. W odpowiedzi wyciągnął granat, wyjął zawleczkę i rzucił go w czterech pozostałych. Wszyscy odnieśli rany różnego stopnia, ale nikt nie zginął. Sprawcą był 32-latek. 30 lipca 2023 r. usłyszał wyrok – 10 lat więzienia.

W grudniu 2024 r. w Sumach na wschodzie kraju żołnierz śmiertelnie pobił cywila. Do tragicznego w skutkach zdarzenia doszło na terenie centrum mobilizacyjnego (TCK). Sprawcą był Ihor Hawryłeć. Czterdziestopięciolatek służył w 95. Samodzielnej Brygadzie Desantowo-Szturmowej. Został zmobilizowany w 2024 r. Uczestniczył w operacji kurskiej, podczas której odniósł poważne obrażenia wskutek wybuchu granatu. W Sumach przechodził rehabilitację. Nadal jednak był czynnym żołnierzem. Nie został zdemobilizowany. Miał problemy z chodzeniem. Poruszał się o kulach. Feralnego 29 grudnia Hawryłeć pojechał do miejscowego TCK w prywatnej sprawie, chciał odebrać telefon, który zostawił u znajomego, przebywającego wtedy w centrum mobilizacji. Na schodach przed budynkiem spotkał Jewhena Krywoduba, pijanego 40-latka, właśnie przywiezionego przez funkcjonariuszy w ramach przymusowego poboru. Krywodub zaczął obrażać żołnierza, wyzywać go od tchórzy. Hawryłeć uderzył 40-latka w twarz. Ten zachwiał się, przewrócił na schody i uderzył głową o beton. Hawryłeć nie udzielił mu pomocy. Krywodub wstał o własnych siłach, ale fatalnie się czuł. Mimo to pracownicy TCK wezwali karetkę dopiero na drugi dzień. Krywodub zmarł w szpitalu. Przed sądem sprawca argumentował, że bronił własnej godności. Przyznał się jednak do winy i przeprosił rodzinę zabitego. Dostał cztery lata odsiadki za nieumyślne spowodowanie śmierci.

Do dwóch krwawych zdarzeń z udziałem żołnierzy doszło w Zaporżu. Pierwszy z nich to przypadek podwójnego dezertera. Tylko w grudniu 2024 r. żołnierz dwa razy oddalił się od swojej jednostki. Za drugim razem już na dobre. Wrócił do hotelu robotniczego, w którym mieszkał. Tam wdał się w konflikt z sąsiadem, którego pobił na śmierć. Dostał 11 lat więzienia. Nie są publicznie znane ani szczegóły zabójstwa, ani dane sprawcy.

Więcej wiadomo o drugim przypadku. Czterdziestojednolatek w kwietniu 2024 r. zdezerterował ze swojego oddziału. Ponad

Polskie MSZ przeznaczyło niemal 15 mln zł na projekty wspierające ukraińskich weteranów i ich rodziny

dwa lata później, podczas alkoholowej libacji, pokłócił się ze swoim kompanem, 46-letnim cudzoziemcem, którego wielokrotnie ugodził nożem. Ofiara zmarła na miejscu.

STRACH PRZED WŁASNYM OJCEM

Z powodu PTSD weteranów cierpią, oczywiście, również ich najbliżsi. „Strasznie nie było, gdy walczył, ale wtedy, gdy wrócił” – przyznaje 39-letnia Wiktoria, żona żołnierza, cierpiącego na PTSD. Jej spowiedź wiosną 2024 r. opisała Oksana Iwanyčka z portalu Hromadske. Jesienią tego roku tę samą historię opisała Polina Wernyhor na portalu Nowy Narnia, w ramach projektu „Powernyś żywym” (Wróc żywy). Wiktoria Prochorenko wraz z synem i córką mieszka w Krzywym Rogu. Na początku listopada 2022 r. otrzymała informację, że jej mąż Anton, żołnierz Gwardii Narodowej, został ranny podczas wyzwania obwodu chersońskiego. Gdy się o tym dowiedziała, była przerażona. Jednak prawdziwe następstwa tego, co przeżył jej mąż, odczuła dopiero wówczas, jak wrócił do domu po wyjściu ze szpitala. Anton miał koszmary. Zaczął być agresywny wobec najbliższych. „Praktycznie nie spał. Bardzo krzyczał w nocy [...]. I tak przez dwa miesiące” – opowiada Wiktoria w rozmowie z Oksaną Iwanyčką: – „Pierwszej nocy po powrocie ze szpitala obudził się w środku nocy, wyłamał nogę od taboretu i położył pod poduszkę. Gdy go zapytałam, dlaczego to zrobił, odpowiedział: „A jak rusnia [ruscy – przyp. M.P.] przyjdzie, to czym będę się bronić?”. Wiktoria miała wrażenie, jakby ktoś podmienił jej męża. Wściekał się z byle powodu. Żony albo nie zauważał, albo zachowywał się tak, jakby była dla niego jakąś przeszkodą. Powtarzał, że jego najbliżsi „niczego nie rozumieją”, „nie wiedzą, jak było”, bo siedzieli na tyłach i nie otarli się nawet o wojnę.

Najgorsze zaczęło się, gdy Anton znalazł kompanów od kieliszka, chętnych wysłu-

chać jego wojennych opowieści. Dwunastoletni syn i siedmioletnia córka najpierw nie mogli doczekać się, aż tata wróci z frontu. Teraz dzieci z nadzieją pytały matkę, kiedy znowu pojedzie na wojnę. Córka w nocy krzyczała ze strachu przed ojcem. Syn stał się obiektem kpin. Pijany Anton wyśmiewał go, nazywał dziewczynką i zarzucał mu, że nie nadaje się na żołnierza. Terapeutka doradzała Wiktorii rozwód. Anton nie chciał się leczyć, nie chciał pracować nad sobą. W pewnym momencie wyprowadził się z domu. Dzieci ze szczęścia zaczęły biegać po domu i się śmiać. Wiktoria nie traciła jednak nadziei. Wysyłała mężowi wiadomości, dodawała otuchy i zachęcała do pracy nad sobą. Przez pierwsze dwa tygodnie Anton głównie jednak upijał się i spał. Po pewnym czasie jednak odezwał się do żony. Obiecał poprawę, zaczął przeproszać. Doszło do pojednania. I dopiero w rocznicę starcia, w którym został ciężko ranny, był gotów opowiedzieć rodzinie szczegóły tamtych wydarzeń. Jak żartowała potem Wiktoria, doświadczenie PTSD u męża na tyle ją zahartowało, że mogłaby przetrwać nawet wojnę atomową. Z konieczności na tyle zainteresowała się psychologią, że skończyła studia w tym kierunku i zaczęła zawodowo pomagać rodzinom żołnierzy. Anton zaś... wrócił na front. Wojna bowiem z jednej strony niszczyła go psychicznie, z drugiej – dawała poczucie sensu i przydatności, którego brakowało mu w życiu cywilnym.

SKALA ZAGROŻENIA

O skali problemu informują nie tylko ukraińskie media, lecz także tamtejsze Ministerstwo Zdrowia. W 2023 r. zdiagnozowano 12 494 pacjentów cierpiących na PTSD, bez podziału na żołnierzy i cywilów. Wpływ wojny jest jednak oczywisty i łatwo policzalny, skoro przez cały rok 2021 odnotowano jedynie 3167, a w 2022 r. – już 7051 takich przypadków. Tylko od stycznia do czerwca 2024 r. diagnozę „PTSD” usłyszało 8888 Ukraińców. Nie każdy weteran cierpiący na zespół stresu pourazowego odreagowuje agresję. Skala zagrożenia jest jednak wystarczająca, by władze w Warszawie nie tyle martwiły się o biednych Ukraińców, przeżywających koszmar wojennego doświadczenia, ile zatroszczyły się o bezpieczeństwo Polaków, zagrożone przez tych właśnie Ukraińców.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Czas deportacji



Teresa Stylińska

Takich słów jeszcze niedawno wystrzegano się w Unii Europejskiej jak ognia. Charlie Weimers, eurodeputowany Szwedzkich Demokratów, ujął sprawę krótko: „Nadszedł czas deportacji”. W podobnym tonie wypowiadają się coraz częściej przedstawiciele innych europejskich nacji: Grecy, Duńczycy czy Austriacy

Thanos Plevris, grecki minister do spraw imigracji, w rozmowie z „Politico” wyraża nadzieję, że do połowy przyszłego roku „uda się uruchomić poza Unią Europejską ośrodki dla tych, których wnioski o azyl zostały odrzucone”. Morten Bødskov, szef analogicznego resortu w Danii, sądzi, że jego kraj będzie gotowy „wysłać pierwszych obcokrajowców do krajów partnerskich przed końcem przyszłego roku”. Gerhard Karner, minister spraw wewnętrznych Austrii, zapowiada kontynuowanie „ofensywy deportacyjnej”, zapoczątkowanej odesłaniem do kraju Afgańczyka-przestępcy, a Charlie Weimers, eurodeputowany Szwedzkich Demokratów, ujmując sprawę krótko: „Nadszedł czas deportacji”. Szwedzki europoseł skomentował w ten sposób wynik głosowania w Parlamencie Europejskim, który postanowił, że na decyzje w sprawie przyznania azylu bądź prawa pobytu imigranci powinni czekać

poza Unią, w zorganizowanych w tym celu ośrodkach („return hubs”, według terminologii angielskiej).

Debata, która odbyła się w czerwcu, była głośnie i burzliwa jak rzadko i nic dziwnego, bo temat też jest gorący jak rzadko. „Odesłać ich do domu!” – wołali przedstawiciele partii prawicowych. „Wstydźcie się!” – odpowiadała lewica.

Projekt, do którego realizacji kilka krajów – m.in. Włochy, a poza Unią Wielka Brytania – przymierzało się już we własnym zakresie, przeszedł dużą większość głosów – 418:218. To pokazuje zmianę świadomości: po latach zmagania z problemem imigracji wiadomo, że bez radykalnych rozwiązań niczego się nie osiągnie.

Znamienne jest też nowe słownictwo. Kraje partnerskie? Do tej pory tak nie mówiono. Rwandę, Ugandę i Uzbekistan, najczęściej wymieniane w kontekście tworzenia pozaunijnych ośrodków, nazywano

dyktaturami, a w najlepszym wypadku krajami o wątpliwej praworządności.

PO CO NAM TO?

Spośród wielu aspektów, które wiążą się z obecnością mas imigrantów w świecie zachodnim, właśnie kwestia deportacji jest dziś w centrum uwagi. Już nie asymilacja czy integracja, nie odmienność religii i obyczajów, nie burki i nikaby, a nawet nie zagrożenie terrorystyczne. Dlaczego? Można ująć to tak: Nasza cierpliwość się wyczerpała. Przyjmowaliśmy tych, którzy potrzebowali azylu, i tych, których pracy potrzebowaliśmy my – a zostaliśmy z tysiącami ludzi, których utrzymanie kosztuje nas miliony i którzy nazbyt często stanowią zagrożenie. Po co nam to?

Zmieniły się także realia. Integracja niewielkich grup cudzoziemców była możliwa. Dzieci z rodzin dawnych imigrantów nierzadko tak bardzo wrosły w miejscowe społeczeństwo, że utożsamiają się z jego interesami nie mniej niż rdzenni mieszkańcy. Shabana Mahmood, brytyjska minister spraw wewnętrznych, która stawia sobie za cel zahamowanie napływu imigrantów przez kanał La Manche, jest z pochodzenia Pakistanką. Suella Braverman, jej poprzedniczka w rządzie konserwatystów, to Hinduska. Obie zwalczają nielegalną imigrację z nie mniejszym zapałem niż rodowici Anglicy (i z podobnie umiarkowaną skutecznością, ale to już inna historia).

Mieszkańcy Zachodu stanęli z czasem wobec problemów, których istnienia wcześniej nie podejrzewano. Szwedzi, których kraj zawsze był oazą spokoju, musieli pogodzić się z tym, że na ulicach jest niebezpiecznie, bo imigranckie gangi walczą ze sobą w biały dzień. Niemieckie miasta przestały być wzorem czystości i porządku. Policja brytyjska, szkolona w duchu poprawności, zamiast poskramiać agresywnych imigrantów, atakuje tych, którzy protestują przeciwko ich obecności.

Przed laty Brytyjczykami wstrząsnęło ujawnienie istnienia tzw. grooming gangs – grup Pakistańczyków, którzy w Rochdale i kilku innych miastach przez lata wykorzystywali seksualnie nieletnie dziewczęta z biednych białych rodzin. Był to wstrząs pierwszy, ale nie ostatni. Drugi – gdy na jaw wyszło, że przestępców ścigano opieszale, bo policja bała

■ się posądzenia o rasizm. Trzeci zaś teraz – gdy okazało się, że szefa gangu, Shabira Ahmeda, nie da się z kraju łatwo usunąć.

NIE DAĆ SIĘ DEPORTOWAĆ

Ahmed, organizator całego procederu, w 2012 r. otrzymał wysoki wyrok 22 lat więzienia. Odsiedział 14 lat i w lipcu tego roku wyszedł na wolność.

To wolność dla niego ograniczona, a dla brytyjskiego podatnika kosztowna. Siedemdziesięcioletni dziś Ahmed mieszka w strzeżonym mieszkaniu, ze strażnikami i pod dozorem elektronicznym. Ma być deportowany do Pakistanu. Już dawno temu odebrano mu obywatelstwo brytyjskie, teoretycznie więc deportacja nie powinna nastręczać większych trudności. A jednak są, i to po obu stronach.

Cała ta sprawa dobrze pokazuje, jak łatwo jest blokować proces deportowania niepożądanych cudzoziemców. To cały splot wybiegów i kruczków prawnych, a także – najzwyczajniej w świecie – przepisów i woli stron. Czy też raczej jej braku.

Po stronie brytyjskiej na przeszkodzie stoi prawo. Obowiązująca od 1971 r. ustawa o imigracji wyklucza deportowanie obywateli państw Commonwealthu, którzy w Wielkiej Brytanii mieszkają co najmniej pięć lat. Shabir Ahmed spełnia oba warunki: przyjechał w 1967 r., 59 lat temu, a Pakistan należy do Commonwealthu. Jedynym rozwiązaniem jest zatem zmiana przepisów. Laburzystowski rząd, z pełnym poparciem konserwatywnej opozycji, jest gotów pójść tą drogą. Problem w tym, że jest ona długa. Potrwa co najmniej rok, a społeczeństwo się niecierpliwi. Chce, by Ahmed jak najszybciej zniknął z ziemi brytyjskiej.

Tylko że Pakistan nie zamierza go przyjąć. Władze w Islamabadzie utrzymują, że sam zrezygnował on z obywatelstwa Pakistanu, a skoro całe swe życie spędził w Wielkiej Brytanii, to niech Brytyjczycy się martwią. „To Wielka Brytania go zepsuła. Nas to nie dotyczy” – oznajmił rzecznik pakistańskiego MSZ.

Władze brytyjskie próbowały deportować Ahmeda już 10 lat temu. Bronił się, oskarżając władze: proces, w którym został skazany, nie był uczciwy, bo muzułmanina sądzili wyłącznie biali sędziowie. Teraz brytyjscy komentatorzy obawiają się, że w związku z pracą nad



Dziki obozowisko imigrantów na plaży El Trampolin w hiszpańskiej eksklawie Ceuta w Afryce Północnej, 5 października

FOT. MARCOS MORENO/EUROPA PRESS NEWS/GETTY IMAGES

nową ustawą Ahmed, z pomocą prawników, zyska czas na szukanie sposobów, by nie dać się deportować. Najbardziej skuteczne jest odwołanie się do Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Ahmed, jak zauważył Chris Philp, minister spraw wewnętrznych w gabinecie cieni, odwoła się zapewne do tych artykułów, które mówią o prawie do życia rodzinnego (ma w Wielkiej Brytanii żonę i czworo dzieci) oraz o prześladowaniu, które może czekać go w Pakistanie.

KONWENCJA ZWIĄZUJE RĘCE

Chris Philp zapewne ma rację. Nie jest przypadkiem, że coraz więcej krajów rozważa wypowiedzenie konwencji. Stała się ona bowiem narzędziem blokowania deportacji: zarówno zwykłych imigrantów, którzy nie spełniają warunków, jak i skazanych przestępców. Narzędziem, dodajmy, chętnie stosowanym i użytecznym, zwłaszcza dla przestępców. W Wielkiej Brytanii jakiś czas temu głośna była

sprawa Albańczyka skazanego za gwałt. Nie udało się odesłać go do Albanii, bo miał z Angielką nieślubne dziecko. A skoro tak, to również prawo do życia rodzinnego.

Na podstawie konwencji udaremnił również wysyłanie imigrantów do ośrodka w Rwandzie. Na pomysł, by na decyzje czekali oni z dala od Wielkiej Brytanii, wpadł rząd Borisa Johnsona, który postanowił przenieść na grunt brytyjski pomysł przetestowany w Australii. Dopracowano szczegóły, od umowy z rządem Rwandy po kwestie finansowania, pierwszy transport był już gotowy. Jednak w ostatniej chwili decyzją sądu lot wstrzymano. Parę lat temu, dodajmy, podobną umowę zawarły Włochy z Albanią. Skończyło się nieco tylko lepiej: zastrzeżenia włoskiego sądu sprawiły, że choć powstały dwa ośrodki, to nie są w pełni wykorzystywane.

Tego rodzaju wydarzenia sprawiły, że premier Boris Johnson zaczął mówić o potrzebie wypowiedzenia konwencji,



Austria i Grecja, która odgrywa rolę ich nieformalnego przywódcy. Ma na tym polu doświadczenie od czasu wielkiego kryzysu migracyjnego z 2015 r., gdy przyjęła na siebie pierwsze wielkie uderzenie.

„UCZCIWE ŻYCIE”

Bogate doświadczenie ma także Dania. Z owego kryzysu ona jedna wyszła obronną ręką. Nie stała się magnesem dla rzesz spragnionych europejskiego dobrobytu, bo zadbano o to zawczasu. Odbieranie nowo przybyłym wszystkich cennych rzeczy na pokrycie kosztów pobytu, twarde warunki uzyskiwania azylu, deportowanie tych, którzy lekceważą zasady życia w Danii albo popełnili przestępstwa (wystarczy wyrok roku więzienia) – fama Danii pod tym względem była na tyle ugruntowana, że imigranci jedynie przemykali przez nią w drodze do Szwecji – liberalnej, otwartej i hojnej.

Wszystko się jednak zmieniło i dzisiaj imigranci Szwecję omijają. Pod rządami prawicowej koalicji (która rządziła przez ostatnie cztery lata i właśnie straciła władzę, acz minimalną różnicą głosów) Szwecja zaostrzyła politykę tak bardzo, że obywatele państw, które sobie z tym nie radzą, szczerze Szwedom zazdroszczą. Tymczasem szwedzka recepta jest wręcz dziecinnie prosta: ktoś, kto chce żyć w Szwecji, musi stosować się do szwedzkich zasad i obyczajów.

Tę oczywistą przecież, choć przez świat postępu celowo pomijaną zasadę, ujęto w formę prawa. W Szwecji pozostać może tylko ten, kto prowadzi „uczciwe życie” – mówi uchwalona w czerwcu tego roku ustawa. Co to znaczy? Na liście dyskwalifikujących do pobytu uchybień są m.in. niespłacanie długów, lekceważenie decyzji szwedzkich władz, praca na czarno, wyłudzenie zasiłków, a także podanie nieprawdziwych informacji przy ubieganiu się o azyl. Ktoś, kto te zasady narusza, a więc „żyje nieuczciwie”, podlega deportacji.

Niemalý problem, wbrew pozorom, wszędzie stanowi oszustwa azylowe. Brytyjski dziennik „The Times”, powołując się na źródło w Home Office, pisze, że tylko jeden wniosek azylowy na 100 (!) ma realne podstawy. Reszta to czyste kłamstwo i oszustwo, o tyle łatwe do wykrycia, że imigranci masowo składają wnioski jak odbite ze sztancy i z identycznym uzasadnieniem. Iracy Kurdo-

wie dowodzą, że musieli uciekać z kraju, bo wdali się w romans z córką premiera irackiego Kurdystanu. Pakistańczycy zaś utrzymują, że jako geje narażeni są na śmierć. Argument gejowski często podsuwają imigrantom zachodni prawnicy, bo ma on pożądaną skuteczność.

Lawinowo, według danych brytyjskich – ale nie ma podstaw, by sądzić, że gdzie indziej jest inaczej – rośnie liczba oszustw „na nieletnich”. Młodzi mężczyźni udają kilkunastoletków, by zwiększyć swe szanse. Nieletni bowiem są pod specjalną ochroną i nie można ich deportować. A nawet jeśli oszustwo da się czasem udowodnić, to na ogół wymaga to czasu.

WBREW EUROPIE

Nie przypadkiem władze wielu krajów zaczęły nagle podnosić kwestię deportacji. Jak zimny prysznic przysłał wzrost poparcia dla partii prawicowych, w których programie walka z imigracją, zwłaszcza nielegalną, i fatalnymi skutkami społecznymi obecności imigrantów legalnych zajmuje centralne miejsce.

Jeżeli statystyki nie kłamią, to od paru lat liczba imigrantów przybywających do Unii spada, a liczba deportowanych rośnie. Jedno i drugie ma źródło w tym samym: rosnącej determinacji. Determinacji społeczeństw, które już wiedzą, że napływ obcych niesie z sobą wiele zagrożeń. I determinacji władz, które równie dobrze wiedzą, że jeżeli nie podejmą skutecznego przeciwdziałania, to będą musiały oddać władzę konkurentom, którzy trafniej widzą problemy i lepiej wyczuwają nastroje.

Według najnowszych danych Eurostatu, opublikowanych w maju, w 2022 r. przybyło do Unii 5,4 mln imigrantów. W 2024 r. było ich 4,5 mln, o 24 proc. mniej. Dane dotyczące deportacji nie są jednak równie jednoznaczne. Bo nakaz deportacji i faktyczna deportacja to dwie różne sprawy.

W 2025 r. wydano prawie pół miliona „decyzji repatriacyjnych”, jak się je określa w unijnej mowie. Pozornie nie mało. Wyjechało 155 tys. A to oznacza, że tylko 30 proc. dało się deportować – czasem pod przymusem, czasem dobrowolnie, niekiedy z finansową zachętą. Zamiast chwalić się sukcesem, należałoby zapytać, co robia ci, którzy wbrew Europie postanowili w Europie zostać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

która, związując władzom ręce, uniemożliwia skuteczną walkę z imigracją. Zanim jednak wprowadził plany w życie, przegrał wybory i stracił władzę. A Partia Pracy nie zamierza ich kontynuować.

Co innego Dania, która prowadzi najbardziej restrykcyjną politykę migracyjną w Europie, a w jej ramach, gdy trzeba, nie stroni od decyzji o deportowaniu osób niepożądanych. „Eksperci mogą sobie mówić, że łamiemy konwencję, ale my widzimy to inaczej” – oznajmiła bez ogródek premier Mette Frederiksen.

Nic dziwnego, że grono najbardziej zdeterminowanych krajów zamierza jak najszybciej przystąpić do tworzenia pozaunijnych ośrodków dla imigrantów. Unia wprawdzie w tym nie pomaga, ale przynajmniej, jak się zdaje, nie przeszkadza. Na początku września spotkali się zatem w Kopenhadze przedstawiciele pięciu państw, które nie zamierzają odkładać tworzenia ośrodków na bliżej nieokreśloną przyszłość. To Dania, Holandia, Niemcy,

Spór o śmierć



Szef Pentagonu Pete Hegseth przekonywał, że transmisja egzekucji terrorysty mogłaby stanowić ważny środek odstraszający FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM



Jacek Przybylski

Sekretarz obrony ogłosił, że były major armii USA zostanie rozstrzelany. Pete Hegseth chciał też, aby egzekucja była transmitowana na żywo. Zdaniem papieża Leona XIV i wielu prawników przekształcenie śmierci w publiczne widowisko byłoby niedopuszczalne. Podobnie uważa zdecydowana większość Amerykanów. Prezydent Donald Trump ogłosił więc, że nie będzie można oglądać, jak umiera Nidal Hasan

Był 5 listopada 2009 r. Godzina 13. W Fort Hood, gigantycznej bazie wojskowej w Teksasie, mjr Nidal Malik Hasan, psychiatra w United States Army, nagle otworzył ogień do przypadkowych osób. Z okrzykiem: „Allah Akbar!” na ustach zdołał zamordować z zimną krwią 13 osób, w tym kobietę w ciąży (nienarodzone dziecko uznano oficjalnie za 14. ofiarę islamskiego zbrodniarza). Kolejne 32 osoby zostały wówczas ranne. Pod koniec sierpnia 2013 r., za tę motywowaną ideologią dżihadystyczną zbrodnię, został przez sąd wojskowy skazany na karę śmierci.

Jej wykonanie zostało zaplanowane na 3 grudnia obecnego roku.

Pod wieloma względami ma to być egzekucja wyjątkowa. Po pierwsze, zarówno miejsce, jak i czas wykonania kary nie będą przypadkowe. Islamski zabójca ma zginąć w Fortie Hood, czyli miejscu, w którym dokonał swych zbrodni, dokładnie o godzinie 13. Po drugie, będzie to pierwsza od 1961 r. egzekucja w amerykańskiej armii. Wówczas szeregowy John Bennett został powieszony po skazaniu za gwałt i usiłowanie zabójstwa 11-letniej dziewczynki w Austrii. Po trzecie, karę śmierci ma wykonać pluton egzekucyjny. A to zdarza się

bardzo rzadko. Ostatnio w amerykańskiej armii rozstrzelany został skazany za dezercję Eddie Slovik w roku 1945. A wykonanie kary śmierci nastąpiło we Francji.

Przeprowadzenie egzekucji Nidala Malika Hasana rekomendował sekretarz obrony Pete Hegseth, a decyzję formalnie zatwierdził już urzędujący prezydent. Donald Trump od lat nie ukrywa, że jest zagorzałym zwolennikiem kary śmierci. Podczas jego pierwszej kadencji wznowiono wykonywanie egzekucji po 17 latach przerwy. W styczniu 2025 r., już pierwszego dnia po oficjalnym rozpoczęciu drugiej kadencji, Trump podpisał rozporządzenie dotyczące przywrócenia i szerszego stosowania federalnej kary śmierci. Zdecydował również o uchyleniu ograniczeń wprowadzonych przez administrację Joe Bidena. Nałożył jednocześnie na Departament Sprawiedliwości obowiązek priorytetowego ubiegania się o wyroki śmierci i ich niezwłocznego wykonywania.

Szef Pentagonu poinformował także, że Hasan zostanie rozstrzelany przez pluton złożony z żołnierzy podczas publicznej egzekucji, która będzie transmitowana na żywo. – Dopilnujemy, by ludzie mogli to zobaczyć, żeby było to publiczne –

zapowiedział Pete Hegseth na antenie konserwatywnej telewizji Real America's Voice. – Chcemy, aby egzekucja miała charakter publiczny, bo ludzie muszą zrozumieć, że tego typu czyny mają poważne konsekwencje – dodał szef Pentagonu. Dopytywany, czy zbrodniarz miał jakieś ostatnie życzenie lub czy próbował kontaktować się z prezydentem, sekretarzem obrony odparł krótko: „Nie obchodzi mnie to. Będziemy go oglądać 3 grudnia”.

SPEKTAKL ODWOŁANY

Publiczne egzekucje nadal przeprowadza się m.in. w krajach takich jak Iran czy Afganistan. Zaplanowany przez szefa Pentagonu publiczny spektakl w USA się jednak nie odbędzie. Wielu amerykańskich prawników ostrzegało bowiem, iż pomysł transmisji na żywo z egzekucji budzi istotne wątpliwości natury prawnej. Ostatni raz publiczna egzekucja w Stanach Zjednoczonych odbyła się 14 sierpnia 1936 r. Widowisko, na które przyjechało ok. 20 tys. osób, rozpoczęło się o wschodzie słońca. Afroamerykanin Rainey Bethea miał na koncie gwałt oraz morderstwo. Jego ofiarą padła 70-letnia biała kobieta. Prokuratura celowo oskarżyła go jednak tylko o gwałt, ponieważ za mord czekałoby go krzesło elektryczne w zamkniętym więzieniu, a przy okazji egzekucji skazanego za gwałt można było zorganizować festyn z szubienicą. Zainteresowanie gawiedzi było tym większe, że oficjalnym wykonawcą wyroku miała być kobieta. Ostatecznie urzędującą szeryf hrabstwa Daviess Florence Thompson odmówiła pociągnięcia za dźwignię zapadni. Zadanie to wykonał doświadczony kat, który niestety akurat nie był tego dnia zupełnie trzeźwy. Organizatorzy nie popisali się nie tylko w tym względzie.

Chaos podczas egzekucji był tak duży, że po oficjalnym ogłoszeniu zgonu, tłum rzucił się w stronę szubienicy, aby zdobyć pamiątki z tego wydarzenia. Gapie rozewali w tym celu ubranie wisiela, a także kawałki liny. Barbarzyńskie zachowanie wzbudziło tak wielkie powszechne oburzenie, że od tego czasu wszystkie wyroki śmierci w Stanach Zjednoczonych są wykonywane wyłącznie za murami. Często mogą im się przyglądać dziennikarze, ale nie ma ryzyka powtórki z „orgii motłochu”.

Najnowszy pomysł szefa Pentagonu potępił również papież Leon XIV oraz

ordynariusz wojskowy USA, abp Timothy Broglio. Zaapelował do katolickich żołnierzy, którzy mogą zostać przydzieleni do plutonu egzekucyjnego, aby skorzystali z prawa do sprzeciwu sumienia. W samej armii jest wielu przeciwników pomysłu publicznej egzekucji Nidala Hasana. Co najmniej 60 żołnierzy zamierza poprosić o wykluczenie ich z grona potencjalnych członków plutonu egzekucyjnego (do którego wybranych ma zostać ok. 180 wojskowych). – Wykonanie rozkazu egzekucji to jedno. Zupełnie co innego, gdy jest ona transmitowana na żywo i każdy drugoklasista, który w 2026 r. ma dostęp do Internetu, będzie mógł to oglądać – przekonywał Mikey Weinstein, założyciel i prezes Military Religious Freedom Foundation, cytowany przez serwis Washington's Top News (WTOP News). Według Weinsteina wielu żołnierzy sprzeciwia się temu „groteskowemu i barbarzyńskiemu” widowisku.

Podobnego zdania jest też zdecydowana większość Amerykanów. W najnowszym sondażu YouGov aż 71 proc. ankietowanych było przeciwnych egzekucji transmitowanej na żywo. Pomysł ten poparło 18 proc. pytanym, a 13 proc. nie miało w tej sprawie zdania. Nawet wśród zwolenników Partii Republikańskiej większość respondentów (52 proc.) była przeciwna transmitowaniu egzekucji na żywo. W tej grupie 31 proc. wyraziło jednak swoją aprobatę dla pomysłu szefa Pentagonu. Donald Trump w ubiegły czwartek ogłosił więc, że egzekucja nie będzie transmitowana na żywo. – Wiele bardzo dobrych osób wołałoby nie oglądać, jak umiera – oznajmił prezydent.

Nie powinno więc być już problemu ze skompletowaniem plutonu egzekucyjnego. Większe kłopoty mają z tym niekiedy

władze stanowe. W 2021 r. Karolina Południowa musiała zawiesić wykonywanie kary śmierci, właśnie ze względu na poważne trudności ze znalezieniem chętnych do wykonania takiej egzekucji. Stanowe prawo daje bowiem skazanemu możliwość wyboru metody, jaką zostanie mu odebrane życie. Jeszcze niedawno do wyboru mieli krzesło elektryczne, pluton egzekucyjny lub śmiertelny zastrzyk. Ta ostatnia metoda wypadła z katalogu życzeń w roku 2013, gdy wygasała data ważności środków do egzekucji, a stan miał duże trudności z zakupem nowych. Brak chętnych strzelców sprawił, że jedyną opcją pozostało krzesło elektryczne (ta forma jest też stosowana przez siedem innych stanów USA). Sąd Najwyższy nakazał wstrzymanie wykonywania kary śmierci do czasu skompletowania stanowego plutonu egzekucyjnego.

Władzom udało się w końcu spełnić ten wymóg. W 2025 r. rozstrzelano m.in. 44-letniego mężczyznę, skazanego za zabójstwo trzech osób. Stephen Bryant został przywiązany do metalowego krzesła, a nad jego sercem umieszczono biały kwadrat z czerwoną tarczą. Członkowie plutonu egzekucyjnego oddali w jego kierunku strzały z odległości zaledwie 4,5 m. W podobny sposób w 2025 r. zabito w tym stanie jeszcze dwóch innych skazanych.

MORDERCY Z WOJSKA

Przekonanie Donalda Trumpa o słuszności stosowania kary śmierci to zła wiadomość nie tylko dla Nidala Hasana, lecz także dla pozostałych osadzonych z prawomocnym wyrokiem kary śmierci.

W kwietniu Departament Sprawiedliwości USA przywrócił wykonywanie kary śmierci w więzieniach federalnych. Wcześniej, od 2021 r., obowiązywało moratorium na egzekucje więźniów federalnych wydane przez prokuratora generalnego Merricka B. Garlanda. W gronie osadzonych w celach śmierci jest trzech żołnierzy. Najdłużej na egzekucję oczekuje Ronald A. Gray, czarnoskóry szeregowy skazany za cztery morderstwa, usiłowanie morderstwa oraz osiem gwałtów popełnionych na kobietach. W jurysdykcji cywilnej przyznał się do winy w zamian za uniknięcie kary śmierci, za co usłyszał wyrok ośmiokrotnego dożywocia. Sąd wojskowy w Fort Bragg w Karolinie Północnej nie miał



Nidal Malik Hasan z zimną krwią zamordował 13 osób, w tym kobietę
W ciąży FOT. AFP/EAST NEWS

■ jednak tyle litości i w roku 1988 skazał zwyrodnialca na karę śmierci. Zgodnie z amerykańskim prawem do wykonania kary śmierci na żołnierzu potrzebna jest jednak zgoda prezydenta, czyli zwierzchnika sił zbrojnych. W lipcu 2008 r. prezydent George W. Bush podpisał nakaz egzekucji Graya. Był to wówczas pierwszy taki przypadek w amerykańskiej armii od 51 lat (przed nim zgodę na wykonanie wyroku śmierci zatwierdził Dwight Eisenhower w roku 1957). Egzekucję zaplanowano na grudzień 2008 r. Sąd nakazał jednak odroczyć wstrzyknięcie trucizny, aby umożliwić rozpatrzenie kolejnych apelacji obrony. W 2018 r. Sąd Najwyższy ostatecznie odmówił rozpatrzenia kolejnej apelacji mordercy i gwałciiciela. Nadal nie wyznaczono jednak nowej daty jego egzekucji, więc przestępca wciąż przebywa w wojskowym więzieniu.

Na śmierć czeka też Hasan K. Akbar. Dawny sierżant w 2003 r. przeprowadził tchórzliwy atak na własną jednostkę w Kuwejcie. Na karę śmierci został skazany dwa lata później, ale wciąż czeka na jej wykonanie. Na egzekucję oczekuje również były sierżant Timothy B. Hennis. Został skazany za potrójne morderstwo kobiety i jej dwóch córek w 1985 r., ale w procesie apelacyjnym wywalczył uniewinnienie. Dopiero po latach, gdy wykorzystanie testów DNA pozwoliło jednoznacznie potwierdzić jego winę, sprawę przejął sąd wojskowy. Ten sprytny manewr pozwolił ominąć zakaz ponownego sądzenia oskarżonego za to samo przestępstwo.

PRZEŻYLI WŁASNĄ EGZEKUCJĘ

Zanim w światowych mediach rozpoczęła się dyskusja na temat tego, czy wykonanie kary śmierci przez pluton egzekucyjny powinno być transmitowane na żywo czy też nie, opinię publiczną po obu stronach oceanu rozgrzały do czerwoności informacje o najbardziej nieudolnie przeprowadzonej egzekucji we współczesnej historii.

Ich bohaterką jest Christa Pike. Pięćdziesięciolatka miała być pierwszą od ponad 200 lat kobietą straconą w stanie Tennessee. Na maksymalny wymiar kary za brutalne zabójstwo 19-letniej koleżanki z klasy została skazana trzy dekady wcześniej. Skazanej podano dwie dawki pentobarbitalu, które nie zdołały jej jed-

nak uśmiercić. Pike w krytycznym stanie odwieziono więc karetką do szpitala, gdzie odzyskała przytomność i powoli wraca do zdrowia. Czy władze znów nakażą ją zabić? Tego na razie nie wiadomo. Najpierw trzeba bowiem sprawdzić, czy Pike jest poczytalna, nieudana egzekucja odbiła się bowiem mocno na jej psychice. Jeśli okaże się, że tak, to jej adwokaci mogą próbować przekonywać, że kolejna próba wykonania wyroku kary śmierci naruszy wpisany do konstytucji zakaz podwójnego karania za to samo przestępstwo. Teoretycznie zaś karę wykonano, śmiertelny środek został wstrzyknięty. Decyzję będzie musiał podjąć sąd albo stanowy gubernator (kadencja obecnego upływa 16 stycznia 2027 r.). Demokratyczna kandydatka na nowego gubernatora Jerri Green zapowiedziała już, że wprowadzi moratorium na wykonanie kary śmierci. Z kolei kandydatka Partii Republikańskiej Marsha Blackburn oznajmiła, że w tej sprawie rozwiązanie jest proste: „Przywrócić krzesło elektryczne”.

Christa Pike nie jest pierwszą Amerykanką, która przeżyła próbę egzekucji. W tym samym więzieniu w Tennessee, 21 maja 2026 r., współcześni kaci przez półtorej godziny szukali u skazanego 57-latka odpowiedniej żyły, aby założyć mu wymagane prawem tzw. zapasowe wkłucie dożylnie. Mimo wielu bolesnych prób wkłucia nie udało im się tego zrobić. Egzekucję przerwano, a gubernator podjął decyzję o odroczeniu wykonania kary do maja 2027 r.

Wcześniej, 3 maja 1946 r., nieudolnością wykazali się kaci w Luizjanie. Pijani kaci źle podłączyli jednak aparat, przez co skazany na krzesło elektryczne za zabójstwo aptekarza 17-letni Willie Francis odczuwał jedynie silny ból. Prąd nie zabił jednak nastolatka. Jego obrońcy argumentowali we wniosku do Sądu Najwyższego, że ponowna próba egzekucji naruszyłaby zarówno zakaz podwójnego karania, jak i zakaz stosowania okrutnych i niehumanitarnych kar. W 1947 r. Sąd Najwyższy stosunkiem głosów 5 do 4 odrzucił jednak apelację. 9 maja 1947 r. Willie Francis znów zasiadł więc na krześle elektrycznym. Tym razem egzekucja była skuteczna.

DZIAŁANIE ODSTRASZAJĄCE?

Mimo ogromnych kontrowersji istnieje spore prawdopodobieństwo, że wielu

wojskowych i cywili skazanych na karę śmierci może nie dożyć rozpoczęcia kadencji przez nowego prezydenta. Obecne szefostwo Departamentu Sprawiedliwości rekomenduje bowiem rozszerzenie metod egzekucji. Poza stosowaniem pentobarbitalu jako środka uśmiercającego obejmują one porażenie prądem, pluton egzekucyjny i użycie komór wypełnionych śmiertelnym gazem. Administracja Donalda Trumpa forsuje również nowe przepisy, które mają ograniczyć możliwość ubiegania się przez więźniów skazanych na karę śmierci o ułaskawienie.

Według obecnych władz amerykańskiego resortu sprawiedliwości celem obecnej administracji jest „odstraszenie od najbardziej barbarzyńskich przestępstw, wymierzanie sprawiedliwości ofiarom i zapewnienie długo oczekiwanego zamknięcia spraw bliskim ofiar”.

NIWINNI W CELACH ŚMIERCI

Przeciwnicy kary śmierci zwracają z kolei uwagę, że istotna część skazanych na śmierć po latach okazywała się jednak niewinna (chodzi o co najmniej 4,1 proc. wszystkich oczekujących na egzekucję). Statystycznie osoby niewinne zanim zostaną uwolnione, spędzają w celi śmierci średnio 13 lat (choć zdarzyły się też przypadki, gdy wyrok uniewinniający zapadł po czterech dekadach). Nie wiadomo dokładnie, ile niewinnych osób zamordowały Stany Zjednoczone w majestacie prawa (szacuje się, że ponad 200 w ciągu ostatniego półwiecza). Wiadomo za to, że koszty sądowe w tego typu sprawach są dużo wyższe niż w przypadku procesów, w których karą maksymalną jest dożywocie.

Przeciwnicy egzekucji przekonują także, że żadna egzekucja nie czyni danego kraju czy stanu ani bezpieczniejszym, ani bardziej sprawiedliwym. I rzeczywiście, nie ma wiarygodnych badań, które pozwoliłyby stwierdzić, że kara śmierci wywołuje efekt odstraszający. Nie ma również niezbitych dowodów na odwrotną tezę. Jej autorzy, William Bowers i Glenn Pierce, twierdzą, że wykonywanie kary śmierci wywołuje tzw. efekt brutalizacji, czyli paradoksalnie prowadzi do wzrostu, a nie spadku liczby zabójstw w społeczeństwie, ponieważ państwo wysyła do społeczeństwa jasny komunikat: morderstwo to akceptowalna forma wymierzania sprawiedliwości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADRIEN STUCK

JESTEM NAPOLEONEM!

Doktor psychiatrii Dick W. Morrissey sporządził listę postaci historycznych, z którymi identyfikują się amerykańscy pacjenci cierpiący na rozdwójnie jaźni. Z jego kompleksowych badań – przeprowadzonych w ciągu minionych 12 miesięcy na obszarze wszystkich stanów USA – wynika, że chorzy na tę przypadłość najczęściej utożsamiają się z Napoleonem Bonaparte, a następnie, kolejno: Jezusem Chrystusem, Elvisem Presleyem, Krzysztofem Kolumbem, Buddą, Ronaldem Reaganem, Marilyn Monroe, Michaeliem Jacksonem, Waltem Disneyem i Steve'em Jobsem.

OSOBLIWOŚCI BIOLOGICZNE

W Stanach Zjednoczonych już po raz 21. opublikowano tematy najoryginalniejszych prac licencjackich minionego roku akademickiego w dziedzinie biologii. Wzięto pod uwagę 76 uczelni. Trzy pierwsze lokaty zajęły dysertacje pod tytułami: „Psychosomatyczne uwarunkowania myszy polnych i hodowlanych. Podobieństwa oraz różnice”, „Oddziaływanie nasennych właściwości kwitnącego tubinu wobec kregowców – na wschód i zachód od Missisipi” oraz „Wpływ szafranu na aktywności seksualne ssaków – w zależności od ich wieku”. Nie podano, czy – i ewentualnie jak – uhonorowano autorów tych prac.

MORSKA POMYŁKA

Jaime Gutierrez, kostarykański marynarz, na długo zapamięta swój ostatni rejs. Otóż oczekując w Kingston (Jamajka) na ładunek swego statku, którym miał powrócić do ojczyzny, zabijał czas w miejscowej tawernie. Ponieważ spotkał tam dawno niewidzianą, a zaprzyjaźnioną brat marynarską, umiał sobie spotkanie z koleżeństwem szkła-
neczkami rumu. Koniec końców późną nocą

opuścił lokal i ruszył w drogę ku portowi. Nie wiadomo, jak to się stało, że pomylił statki i udało mu się niepostrzeżenie dostać na pokład podobnej – z wyglądu i wyposażenia – jednostki, tyle że pływającej pod flagą Dominikany. Tak czy inaczej, kiedy po kilku godzinach błędnego snu wytrzeźwiał, statek już kołysał się na falach, zmierzając w kierunku Barbadosu.

POZIOM MALARSTWA WSPÓŁCZESNEGO

Że bywa on co najmniej dyskusyjny, dobitnie zdaje się potwierdzać sytuacja, która miała miejsce w jednej z renomowanych galerii na terenie Oslo. Z początkiem września otwarto tam wystawę dokoną grupy plastycznej Bipolarity, skupiającej studentów i niedawnych absolwentów skandynawskich akademii sztuk pięknych. Ekspozycja wzbudziła niemałe zainteresowanie, lecz dopiero po kilkunastu dniach od wernisażu jeden ze zwiedzających zwrócił uwagę, że obraz zatytułowany „Fiord o brzasku z trawlerem w tle” wisiał na ścianie pionowo, zamiast poziomo... © © (TO-RT)



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Cud rzeczniczki Trumpa

Katie Zacharia. Tak nazywa się nowa rzeczniczka Białego Domu. Niewiele brakowało, a doświadczona prawniczka i popularna komentatorka konserwatywnych mediów nie tylko nie byłaby rzeczniczką prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale w ogóle nie byłoby jej na świecie. Jej matka zrezygnowała bowiem z aborcji zaledwie... 20–30 minut przed umówionym zabiegiem.

Biologiczna matka Zacharii, Ruth, miała wówczas zaledwie 19 lat. Młoda dziewczyna doświadczyła przemocy seksualnej, a na aborcję nalegali zarówno znajomi,

jak i rodzina nastolatki. Ruth miała już wychodzić na umówiony termin zabiegu w klinice, gdy nagle zadzwonił telefon. Po drugiej stronie słuchawki była chrześcijańska działaczka, która zachęciła Ruth, aby urodziła córkę i oddała ją do tzw. adopcji otwartej. Udało się. Nastolatka zrezygnowała z aborcji.

– Mówimy o sekundach, sekundach rozmowy telefonicznej, która naprawdę uratowała mi życie – stwierdziła Katie Zacharia, gdy w czerwcu 2025 r. opowiedziała tę historię w podcaście „We the People with Gates Garcia”. Historię cudownego ocalenia usłyszała od

biologicznej matki, gdy sama miała już 18 lat. Trudno się dziwić, że jest zagorzałą przeciwniczką aborcji, która od lat walczy o prawną ochronę życia dzieci nienarodzonych.

Donald Trump nie jest pierwszym prezydentem, dla którego pracuje Zacharia. Staż w Białym Domu odbyła jeszcze za prezydentury George'a W. Busha. Lewicowe media nie mogą jednak znieść faktu, że rzeczniczką Trumpa jest atrakcyjna kobieta o prorodzinnych poglądach. Po jej debiucie w nowej roli krytykowały ją za wszystko, za co tylko mogły. Nawet za ładny uśmiech... © ©



Jakub Wozinski

Andrzej Domański intensywnie pracuje na to, aby przejść do historii jako najgorszy minister finansów w dziejach III RP

Taka opinia o ministrze Domańskim może się na pozór wydać przesadzoną; szczególnie że w gronie sterników polskich finansów po 1989 r.

byli m.in. Leszek Balcerowicz czy też kojarzony z wielką dziurą budżetową Jarosław Bauc. Wiele do życzenia pozostawiali także posiadający zagadkowy życiorys Tadeusz Kościński czy też wyjątkowo arogancki Jan Vincent-Rostowski. Jeśli jednak odsuniemy na bok subiektywne kryteria i weźmiemy pod uwagę przede wszystkim podstawowe wskaźniki finansowe, to uzyskamy zupełnie inną perspektywę.

Polakom powodzi się wciąż dość dobrze, a polska gospodarka uchodzi w regionie za symbol sukcesu, dlatego wielu osobom nie przychodzi w ogóle na myśl, żeby traktować Andrzeja Domańskiego jako osobę ponoszącą odpowiedzialność za jakiegokolwiek szczególne uchybienia. Nie zmienia to jednak tego, że polityk Koalicji Obywatelskiej jest jednym z głównych architektów spektakularnej destrukcji stabilności polskich finansów publicznych. Jeszcze nikt przed nim nie zdołał w tak krótkim czasie tak drastycznie pogorszyć wszystkich najważniejszych wskaźników finansowych państwa.

FACHOWIEC BEZOBJAWOWY

Domański pierwsze kroki w polityce stawiał w młodzieżówce Unii Wolności, skąd trafił później do Platformy Obywatelskiej. Nie będąc nigdy osobą potrafiącą porwać tłumy na wiecach, piął się po szczeblach kariery w sektorze finansowym, udzielając się jednocześnie w partyjnym Instytucie Obywatelskim. Jego cierpliwość została nagrodzona przed trzema laty, gdy Donald Tusk powierzył mu stery nad Ministerstwem Finansów.

W rządzie Tuska Andrzej Domański zalicza się niewątpliwie do grona osób uchodzących za fachowców, którzy nie piastują powierzonej funkcji ze względu

Skarbnik pełzającego bankructwa



FOT. MATEUSZ GROCHOLSKI/EAST NEWS

na parytet płciowy lub koalicyjny podział łupów. Pomimo tego obecny minister finansów zachowuje krańcowo bierną postawę i zamiast korygować frywolne poczynania całego gabinetu, ślepo akceptuje zdecydowaną większość wydatków.

Od momentu, gdy 13 grudnia 2023 r. Andrzej Domański objął funkcję ministra finansów, uchwalono już trzy budżety polskiego państwa oraz przedstawiono projekt na kolejny rok. Istnieje więc dość znaczny materiał, na którego podstawie można ocenić jego poczynania. Co prawda pierwszy z budżetów (na 2024 r.) był jeszcze głównie dziełem Zjednoczonej Prawicy, lecz Domański miał jeszcze wystarczająco dużo czasu, aby odcisnąć na nim swoje piętno (czego jednak nie uczynił).

Dane liczbowe podsumowujące dotychczasowe rządy polityka KO są drugoczące. Według ostatnich dokładnych informacji podanych przez Ministerstwo Finansów zadłużenie państwa (liczone według metodologii krajowej) osiągnęło w lipcu poziom 2,213 bln zł, choć w momencie gdy Domański obejmował stanowisko wynosiło jeszcze 1,346 bln zł. Oznacza to, że w ciągu niespełna trzech lat Polska zwiększyła swój dług o ponad 860 mld zł. Jeśli Donald Tusk zachowa swojego ministra finansów aż do końca kadencji, a budżet na kolejny rok zostanie wykonany bez większych zakłóceń w chwili gdy „uśmiechnięta koalicja” będzie żegnała się z władzą, to Państwo Dług Publiczny (PDP) wyniesie już ok. 2,450 bln zł. Będzie to oznaczało, że już w drugiej połowie 2027 r. przyrost zadłużenia pod rządami ministra Domańskiego osiągnie poziom ponad 1 bln zł (!). Warto przypomnieć, że próg pierwszego biliona złotych zadłużenie polskiego państwa przekroczyło dopiero w 2019 r.

Pod względem tempa przyrostu zadłużenia, nawet uwzględniając niepełną odpowiedzialność za budżet na 2024 r., Domański przebija wszystkich dotychczasowych ministrów finansów. Sprawując funkcję w czasach pandemicznych fiskalnych ekscesów Tadeusz Kościński odpowiadał za przyrost ok. 350 mld zł zadłużenia, urzędujący w latach 2017–2023 Jan Vincent-Rostowski zwiększył zadłużenie o niespełna 200 mld zł, a Grzegorz Kołodko w ciągu ok. trzech

lat o blisko 60 mld zł. Nawet uwzględniając zmianę siły nabywczej złotych na przestrzeni lat, nikt jak dotąd nawet nie zbliżył się do dokonań Domańskiego.

POPIS KREATYWNEJ KSIĘGOWOŚCI

Jeśli ktoś czuje się nieprzekonany dotychczas zaprezentowanymi danymi, to warto przytoczyć inną statystykę, ukazującą wzrost zadłużenia państwa liczonego według metodologii unijnej, czyli uwzględniającej dług funduszy pozabudżetowych oraz sektora jednostek samorządowych.

Andrzej Domański stał się bowiem jednym z najbardziej sprawnych „kreatywnych księgowych” w najnowszej historii naszego kraju, sprytnie ukrywając – korzystając z wieloletnich doświadczeń swoich poprzedników – znaczną część wydatków poza zasięgiem konstytucyjnych limitów.

Dane liczbowe podsumowujące rządy ministra Domańskiego są drugoczące

Gdy Domański obejmował rządy, zadłużenie liczone według metodologii unijnej wynosiło 49,5 proc. PKB, a na koniec drugiego kwartału 2026 r. sięgnęło już 64,6 proc. Według danych zawartych w „Strategii zarządzania długiem sektora finansów publicznych na lata 2027–2030” w 2027 r. wyniesie zaś 69,3 proc. PKB. Jak łatwo wyliczyć, obecny minister finansów zaplanował wzrost zadłużenia aż o 20 p.p. w ciągu całej swojej kadencji.

Ponownie ten horrendalnie wysoki wynik łągodzi nieco fakt niepełnej odpowiedzialności za pierwszy z czterech budżetów, lecz Domański zrobił bardzo niewiele, aby zrekompensować jego ekscesy późniejszą stabilizacją i ograniczeniem wydatków. Tym samym, tak jak w przypadku przyrostu wartości kwoty zadłużenia, pozostawia daleko w tyle całą poprzedzającą go na stanowisku konkurencję. „Pandemiczny” minister Kościński podbił zadłużenie liczone według metodologii unijnej o 7,8 p.p., a Jan Vincent-Rostowski o ponad 12 p.p. Części ministrów, w tym przede wszystkim Magdalenie

Rzeczkowskiej, w obniżeniu skali zadłużenia bardzo pomogła galopująca inflacja, dlatego ich pozycja w rankingu nie jest do końca miarodajna. Biorąc jednak pod uwagę wszystkie okoliczności łagodzące lub obciążające, jak dotąd nikt nawet nie zbliżył się do Domańskiego.

Tę samą prawidłowość dostrzec można w przypadku średniej wielkości deficytów budżetowych. Nie wszyscy ministrowie finansów po 1989 r. mieli możliwość dłuższej pracy i wdrożenia swoich autorskich planów, lecz Domański sprawuje swoją funkcję już od blisko trzech lat. I to właśnie jemu od samego początku nie udaje się ograniczyć deficytu poniżej 5 proc. PKB. Do tej pory po 1989 r. mediana deficytu wynosi 2,6 proc. PKB, a mediana jego wartości ok. 25 mld zł. W przypadku polityka Koalicji Obywatelskiej średnia wartość deficytu wynosi jak na razie aż 6,4 proc. PKB i ponad 250 mld zł.

W bezpośrednią walkę z Domańskim o miano najgorszego ministra finansów pod względem wielkości deficytu mógłby się włączyć tylko poprzedni minister finansów z talii Donalda Tuska, Jan Vincent-Rostowski. Nawet jednak on po bardzo kiepskich latach 2009–2010, na które przypadło lizanie ran po globalnym kryzysie finansowym, potrafił w kolejnych budżetach poprawić nieco kluczowy wskaźnik. Tymczasem w zaprezentowanej niedawno „Strategii zarządzania długiem sektora finansów publicznych na lata 2027–2030” Andrzej Domański kreśli plany ograniczenia deficytu do poziomu ok. 4–5 proc. dopiero na sam koniec dekady.

Analizując wyniki finansowe państwa pod zarządem polityka Koalicji Obywatelskiej, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że Polska wkroczyła w epokę budżetowego postmodernizmu. Domański konstruuje kolejne budżety tak, jak gdyby wszelkie dotychczasowe zasady rządzące finansami publicznymi straciły ważność, a polityka stała się dziełem beztroskiej i niczym nieograniczonej wyobraźni sprawujących władzę.

W tym kontekście niezwykle wymownym wydarzeniem było niedawne uchwalenie projektu budżetu na 2027 r., któremu towarzyszyła w Sejmie burza oklasków. Wprawdzie zrozumiałe jest to, że żadna formacja rządząca nie byłaby skłonna deprecjonować w takim

■ momencie swoich własnych poczyniń, lecz wielki entuzjazm okazywany przez rządzącą większość był mimo wszystko uderzający. Projekt budżetu zawiera przecież deficyt w wysokości aż 282 mld zł przy wydatkach wynoszących ponad 977 mld zł i kosztach obsługi zadłużenia sięgających aż 117 mld zł.

Zasadnicze pytanie, które należy nieustannie stawiać zarówno Andrzejowi Domańskiemu, jak i całemu obozowi rządzącemu, brzmi następująco: Jaki kataklizm czy też jaka sytuacja nadzwyczajna usprawiedliwia tak rażąco nieroztropne podejście do finansów publicznych? Jedynym sensownym usprawiedliwieniem może być chęć poprawienia obronności kraju, na co w ostatnich latach przeznaczono ok. 180–200 mld zł rocznie. Wyłączając jednak ten obszar wydatków, polskie państwo wciąż marnotrawi ogromne ilości pieniędzy na wiele niepotrzebnych rzeczy. Naturalne byłoby zresztą, aby w okresie wzmożonych wydatków na armię przynajmniej ograniczyć odpływ środków na inne cele.

Domański zachowuje się tak, jak gdyby jutra miało nie być, co niestety bardzo wzmacnia podejrzenia o ukryty sens tego rodzaju polityki. Andrzej Domański i Donald Tusk z zaskakującą biernością przyjęli objęcie Polski w lipcu 2024 r. unijną procedurą nadmiernego deficytu, która tworzy przecież liczne komplikacje dla rządzących. Obóz rządzący nie od dziś znany jest ze swej usługowej postawy względem Berlina i Brukseli, co niestety pozwala zasadnie pytać o to, czy celowe pogarszanie sytuacji polskiego budżetu nie jest świadomie stosowaną polityką zamierzoną pod stopniowe oddawanie decyzyjności w zakresie finansowym organom europejskim, a być może nawet destrukcję złotego.

UKŁON W STRONĘ TĘCZY I SPADEK RATINGU

Na status jednego z najgorszych ministrów finansów po 1989 r. Andrzej Domański pracuje mocno także w innych obszarach. Pod jego rządami resort finansów stał się jeszcze bardziej niż dotąd uległy wobec agendy zrównoważonego rozwoju, mimo że rząd Mateusza Morawieckiego zawiesił mu poprzeczkę na bardzo wysokim poziomie. Ministerstwo Finansów emituje własne zielone obligacje, angażuje

się w europejskie emisje „zielonych” papierów wartościowych i wdraża wprowadzające do życia gospodarczego wokeizm raportowanie ESG.

Domańskiego obciąża także wdrożenie KSeF, czyli Krajowego Systemu e-Faktur. Wprawdzie pomysłodawcą tego systemu była jeszcze poprzednia władza, która wprowadzała go jako element Polskiego Ładu, lecz ostatecznie uruchomił go polityk Koalicji Obywatelskiej, mimo że mógł bez żadnych konsekwencji sondażowych wyrzucić KSeF na śmietnik historii. Domański sprzyja niestety wszystkim zmianom zmierzającym ku eliminacji gotówki i intensyfikacji nadzoru nad sektorem prywatnym przy pomocy narzędzi cyfrowych.

Moody’s. Aby to osiągnąć, trzeba było naprawdę się postarać, ponieważ dotychczasowy rating pozostawał na tym samym poziomie aż od 2002 r., Andrzej Domański dokonał więc tym samym rzeczy sporej, ponieważ skłonił amerykańską agencję do przyjęcia względem Polski tej samej perspektywy, którą miała jeszcze w czasach gdy nasz kraj mierzył się jeszcze z horrendalnie wysokim bezrobociem, a o zaproszeniu na spotkanie państw grupy G20 mógł tylko marzyć.

W nocy wyjaśniającej obniżkę ratingu z poziomu A2 do A3 Moody’s wyliczyło wszystkie najważniejsze błędy popełniane przez Domańskiego i rząd Tuska. Wspomniano m.in. o niepokojąco wysokim deficycie w sektorze rządowym i samo-

W nocy wyjaśniającej obniżkę ratingu z poziomu A2 do A3 Moody’s wyliczyło wszystkie najważniejsze błędy popełniane przez Domańskiego i rząd Tuska. Wspomniano nie tylko o niepokojąco wysokim deficycie w sektorze rządowym i samorządowym

Ostatnio minister finansów dał o sobie znać również w kontekście wojny kulturowej, wydając interpretację ogólną, zgodnie z którą osoby żyjące w homozwiązkach miałyby posiadać te same prawa i obowiązki podatkowe co normalni małżonkowie. Domański otworzył tę możliwość dla osób, które dokonały transkrypcji aktu homozwiązku zawartego poza granicami Polski. Tą bezprawną i sprzeczną z konstytucją decyzją polityk KO zaskarbił sobie sympatię lewackich środowisk, lecz jednocześnie naraził polskie państwo na potencjalnie znaczne straty związane z uchylaniem się przed zapłatą należnego podatku. Kreując się na postępowego Europejczyka minister Domański zakładał zapewne, że uchylili dla tęczyowych środowisk niewielką furtkę, lecz w praktyce może się okazać, iż zechce z niej skorzystać dużo więcej osób, niż mu się śniło.

HISTORYCZNA OBNIŻKA

Wydanie interpretacji podatkowej sprzyjającej homolobby to chyba najbardziej jaskrawy przykład braku elementarnej roztropności Domańskiego, który niedawno zapracował także na obniżkę ratingu Polski ogłoszoną przez agencję

rządowym, który w latach 2026–2027 będzie się utrzymywał na poziomie 7 proc. PKB, o stale rosnących kosztach obsługi zaciągniętego długu oraz o zatrważającym wzroście zadłużenia (liczonego według metodologii unijnej) z 59,7 proc. w 2025 r. do 68,9 proc. PKB w 2027.

W nocy agencji Moody’s zasugerowano między wierszami, że Polska wydaje niepotrzebnie dużo środków na cele socjalne. Każdy rozsądny i dbający o dobro własnego kraju minister finansów powinien w obecnej sytuacji już dawno położyć się przed resztą rządu Rejtanem i zażądać cię w tym obszarze. Jeśli, jak twierdzi rząd, Polsce rzeczywiście grozi rosyjska inwazja, to tym bardziej nie powinno się ryzykować wypłacalności i stabilności budżetu dla kolejnych transferów socjalnych.

Niestety, nic nie wskazuje na to, aby Andrzej Domański miał w sobie wystarczająco dużo rozsądku, aby tak uczynić. Wręcz przeciwnie, z zastanawiającym wręcz entuzjazmem przyjął rolę skarbnika pelfającego bankructwa polskiego państwa i konsekwentnie pracuje na miano najgorszego ministra finansów w historii III RP.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto woli „doktora AI”?

Nie żeby wszyscy – co to, to nie – ale jednak niemała część polskich lekarzy swoją zachłanną pazernością doprowadziła do narastającej niechęci do całej polskiej kasty lekarskiej. I to zapewne dlatego akurat w ich przypadku z wielkim zadowoleniem przyjmowane już są i nadal będą wszelkie informacje o tym, że mogliby zostać zastąpieni – i to nawet gdyby chodziło o zastąpienie ich przez AI, przez „sztuczną inteligencję”.

I właśnie w tym kontekście pojawia się ostatnio niemało bardzo ciekawych i wielce obiecujących informacji. Takich jak ta. Otóż ukazujące się od 1880 r. i cieszące się niezmiennie niezmiernie wysokim prestiżem, a zajmujące się prezentowaniem artykułów na tematy związane z nauką i medycyną czasopismo „Science” opublikowało artykuł omawiający wyniki badań porównawczych umiejętności diagnostycznych lekarzy (takich lekarzy z krwi i kości) z „umiejętnościami diagnostycznymi” AI, a konkretnie modelu o1-preview firmy OpenAI. Czyli z „umiejętnościami diagnostycznymi” „doktora AI”.

I oto tenże – nazwijmy go tak na użytek tego felietonu – „doktor AI” okazał się lepszy w tzw. triażu, czyli selekcji medycznej, szczególnie przydatnej i powszechnie stosowanej np. na SOR-ach, od dwóch wysokiej klasy lekarzy specjalistów. „Doktor AI” przedstawił dokładną lub bliską prawdę diagnozę w aż (bo to w tym

przypadku „aż”) 67,1 proc. przypadków, podczas gdy jeden z dwóch wspomnianych lekarzy – w 55,3 proc. przypadków, a drugi – w 50 proc. przypadków. Jeszcze lepsze wyniki „doktor AI” zanotował w testach, w których wykorzystuje się edukacyjną platformę NEJM Healer stosowaną przez lekarzy do ćwiczenia wnioskowania klinicznego. W tym przypadku „doktor AI”, czyli ów o1-preview Open AI, mógł się pochwalić zdobyciem maksymalnej liczby punktów w 78 przypadkach z 80, podczas gdy lekarze rezydenci – waledwie 16, lekarze specjaliści – w 28, a „zwykły” AI, czyli GPT-4 – w 47.

Podobnych badań przybiera z każdym miesiącem, bo też te maszyny stają się coraz bardziej wydajne. Czy to oznacza rosnącą konkurencję dla lekarzy? Może. Kiedyś. W każdym razie nawet gdyby chodziło o odległą przyszłość, to zawsze dobrze pomarzyć, że w taki sposób uda się kiedyś na SOR-ze nie wpaść w ręce któregoś z „doktorów Kacprzyków”.

No chyba że stanie się tak, jak się dzieje do tej pory. To znaczy my – pacjenci-podatnicy – za bimbaliom naszych pieniędzy te wszystkie maszyny, czyli tych „doktorów AI”, zakupimy (tak jak cały czas płacimy za wyposażanie państwowych szpitali i przychodni), a lekarze z krwi i kości zaczną ich za darmo używać do leczenia nas, sami wystawiając nam za to słone rachunki. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Podwykonawcy dla Kijowa

W Hamburgu ruszył proces jednego z Ukraińców podejrzewanych o wysadzenie gazociągu Nord Stream we wrześniu 2022 r. Jest właściwie pewne, że w jego trakcie pojawiają się polskie wątki. Są one mocno obecne w najbardziej spójnej relacji z dziennikarskiego śledztwa, jaką Bojan Pancevski opublikował niemal dokładnie rok temu w „Wall Street Journal”. Ta relacja wydaje się spójna z ustaleniami niemieckich służb, a więc i z tym, co w trakcie procesu przedstawi prokuratura.

Najbardziej porażające jest to, że Warszawa została przez Ukrainę potraktowana jako usługodawca w ryzykowej misji

Polska, jak wiadomo, nie wydała Niemcom innego z podejrzanych, Wołodomyra Żurawłowa, co nastąpiło przy wręcz triumfalnych okrzykach dużej części polskiej klasy politycznej. Ten bohaterski przejaw sądowej rusofobii zdał się jednak na nic, bo Żurawłow wpadł kilka miesięcy temu w Chorwacji, która nie ma tendencji do

wymachiwania szabelką, został więc aresztowany i zostanie wydany Niemcom. Polacy, jak zwykle, okazali się wyjątkowymi frajerami.

W tej historii, tak jak ją opisał Pancevski (wyszła już po polsku jego książka „Wysadzić Nord Stream. Sabotaż, który wstrząsnął światem”), rola Polski każe postawić pytanie o naszą podmiotowość. Najbardziej bowiem porażające jest to, że Warszawa, jak można sądzić na podstawie dostępnych informacji, została przez Ukrainę potraktowana jako usługodawca w ryzykowej misji, skierowanej częściowo przeciwko naszemu, bądź co bądź, sojusznikowi w NATO. W tekście Pancevskiego pojawia się informacja, że gdy jacht „Andromeda” z zamachowcami zawiązał jeszcze przed wysadzeniem gazociągu do portu w Kołobrzegu, kapitanat nabrał podejrzeń i wezwał Straż Graniczną. Ta jednak przeprowadziła zadziwiająco pobieżną kontrolę i szybko się zwinęła. Trudno uniknąć podejrzenia, że zrobiła to z powodu interwencji z góry.

Niestety, gdyby potwierdziło się, że polskie służby były w tej sprawie karnymi podwykonawcami planów Kijowa, oznaczałoby to, że nasza relacja z Ukrainą była – a być może jest nadal – nawet jeszcze gorsza z punktu widzenia naszych interesów i jeszcze bardziej uległa, niż mogliśmy dotąd zakładać. ©©



Czy mamy bać się dżumy z Rosji?



Andrzej Solecki

Wrześniowe premiery nowych ekranizacji „Lalki” Bolesława Prusa mogły przypomnieć jego wiernym czytelnikom obawy Ignacego Rzeckiego związane z wybuchem dżumy w guberni astrachańskiej. I oto jak na zawołanie objawiła się nam w mediach epidemia dżumy w Irkucku. Wprawdzie na razie ofiarą tej epidemii padła jedna osoba, ale tragiczna śmierć młodej laborantki stała się pretekstem do ogólnosiwiatowej kampanii mediów lubujących się w wyszukiwaniu straszliwych zagrożeń

Fakty są następujące: 2 października nad ranem w Szpitalu Rejonowym w Szelechow w obwodzie irkuckim zmarła Daria Szypilowa, 28-letnia laborantka Irkuckiego Naukowo-Badawczego Instytutu Przeciwdżumowego Syberii i Dalekiego Wschodu. Tego samego dnia Aleksiej Cydenow, gubernator Republiki Buriacji obejmującej znaczną część Bajkału i otaczającej Irkuck od południa i wschodu, napisał

w aplikacji Max, że przyczyną jej śmierci była dżuma. Stwierdził także, iż zmarła nie odwiedziła jego republiki i że w Buriacji nie ma ognisk dżumy. Chciał zapewne dać odpór niesprawdzonym wiadomościom, że Szypilowa zaraziła się w trakcie badania zachorowań na dżumę, które miały pojawić się na granicy buriacko-mongolskiej. Równocześnie epidemiolog Giennadij Oniszczenko – wiceprezes Rosyjskiej Akademii Edukacji

– zasugerował, że zmarła nie chorowała na dżumę, lecz zaraziła się pewnego rodzaju „egzotyczną infekcją”.

Przewrażliwienie Cydenowa w sprawie dżumy może wynikać również z tego, że opublikowane w „Nature” 17 czerwca 2026 r. badania zespołu Ruairidh Macleoda wskazują, że już ponad 5 tys. lat temu prehistoryczni łowcy i zbieracze żyjący w rejonie Bajkału umierali na dżumę. Wielki Step rozciągający się w centrum Eurazji od Korei po Węgry pozostał do dziś naturalnym rezerwuarem pałeczki dżumy (*Yersinia pestis*) związanej z pchłami żerującymi na stepowych gryzoniach. Epidemia dżumy w guberni astrachańskiej w roku 1879, o której Rzecki pisał w swoim pamiętniku, była tylko jednym z epizodów w istniejących do dzisiaj ogniskach tej choroby. Nic więc dziwnego, że rozporządzeniem nr 1 Autoryzowanej Rady Pracy i Obrony ZSRS z dnia 5 czerwca 1934 r. utworzono Irkucki Naukowo-Badawczy Instytut Przeciwdżumowy Syberii i Dalekiego Wschodu, którego pracownicą była Daria Szypilowa.

NIEROZPOZNANIE PRZYCZYNY

Jak na razie służby rosyjskie nie zdołały ustalić przyczyny śmiertelnego zapalenia płuc u Darii Szypilowej. Warto tu nadmienić, że w Polsce nierozpoznanie przyczyny zapalenia płuc dotyczy 41 proc. zachorowań. Pojawiające się na emigracyjnym portalu „Ludzie Bajkału” informacje o stłuczeniu przez zmarłą próbówki z niebezpiecznymi patogenami, 25 września, wydają się bezsensowne, gdyż sprzęt używany do przechowywania groźnych patogenów jest odporny na stłuczenia. Gdyby nawet do takiego incydentu doszło, Szypilowa w trosce o własne życie musiałaby natychmiast to ujawnić i poddać się leczeniu. Tymczasem została ona przyjęta do szpitala dopiero we wtorek, 29 września.

Niestety, szum medialny wokół „irkuckiej dżumy” służy do napędzania psychozy wojennej. Instytut, w którym pracowała Szypilowa, jest instytucją jawną, organizującą konferencje międzynarodowe i działającą w strukturach cywilnego urzędu do spraw zdrowia publicznego. Jednak 6 października na łamach WP Wiadomości opublikowano stwierdzenie, że „Wojskowy mikrobiolog

FOT. ADOBE STOCK/IZKREDEK

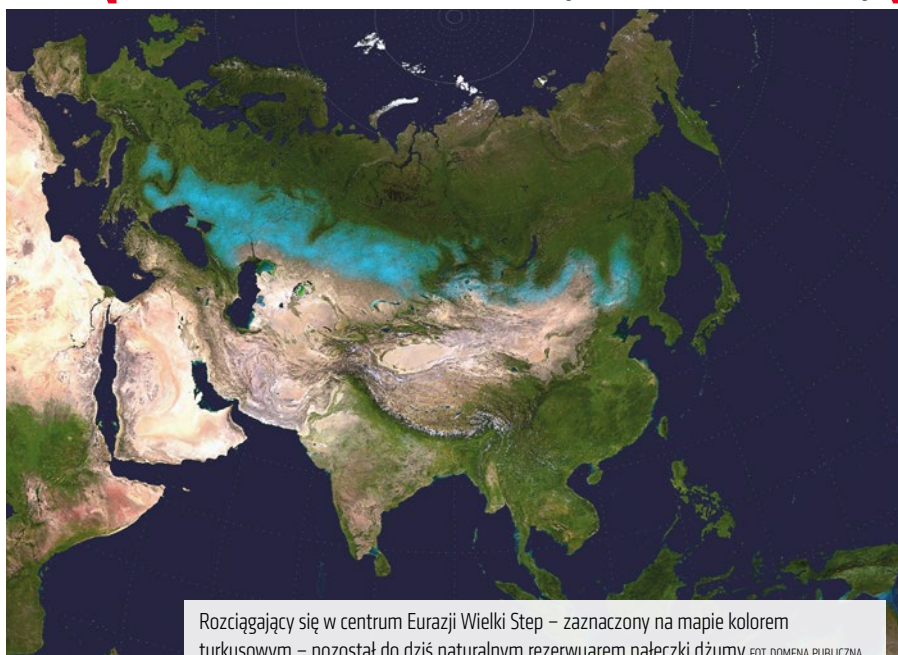
mówi WP wprost, że jego zdaniem Rosja szykuje się do użycia broni biologicznej”. Z pewnością istnieje współpraca irkuckiego Instytutu ze strukturami wojskowymi, ale nie jest ona jego głównym celem i wynika z podwójnego zastosowania technologii mikrobiologicznych.

Nie można wykluczyć, że rosyjskie laboratoria wojskowe badają zarówno defensywne, jak i ofensywne problemy związane z bronią bakteriologiczną, ale śmierć laborantki cywilnego laboratorium, oficjalnie badającego problemy związane z endemiczną dżumą, nie jest żadnym argumentem na rzecz szykowania się do użycia broni biologicznej.

NAJTRAGICZNIEJSZA EPIDEMIA W HISTORII

Warto przypomnieć XIV-wieczną epidemię dżumy, która spustoszyła Europę, Azję i Afrykę Północną, uważaną za najbardziej tragiczną w historii. Część autorów uważa, że jej wybuch w Europie był skutkiem zastosowania przez Mongołów broni biologicznej, a mianowicie przerzucenia zwłok ofiar dżumy do obleganej Kaffy. W XIV w. istniała tam genueńska faktoria handlowa, założona za zgodą chanów Złotej Ordy rezydujących w Saraju nad Wołgą, we wschodniej części krymskiego wybrzeża, niegdyś skolonizowanego przez starożytnych Greków. Saraj był stolicą Złotej Ordy, miastem większym od ówczesnych zachodnioeuropejskich stolic. Był to koniec lądowego odcinka Jedwabnego Szlaku, skąd było blisko do Donu, którym można było płynąć do Morza Azowskiego, a dalej przez Morze Czarne do Morza Śródziemnego. Można więc uznać Kaffę za wschodnią rubież starożytnej i średniowiecznej cywilizacji śródziemnomorskiej, a Saraj za zachodnią metropolię Imperium Mongolskiego, panującego na Wielkim Stepie od Chin po granice Polski.

Konflikty genueńsko-mongolskie, wynikające m.in. z genueńskiego handlu niewolnikami, powodowały, że Kaffa okresowo była atakowana przez Złotą Ordę. W roku 1346 wojska ówczesnego chana Dżanibega bezskutecznie oblegały Kaffę zaopatrywaną z morza przez statki genueńskie. Wybuch epidemii w szeregach oblegającej armii uniemożliwił zdobycie miasta. Zdesperowani Mongołowie użyli trebuszy, stromotorowych



wyrzutni balistycznych miotających 100-kilogramowe ładunki na odległość ponad 200 m. Zasypali oblężone miasto setkami zwłok swoich zmarłych na dżumę towarzyszy. Załogi genueńskich galer i pchły pasożytujące na szczurach okrętowych zawlekły zarazę do portów śródziemnomorskich.

Niezdobyta Kaffa pozostała nadal genueńskim miastem handlowym aż do 1475 r., kiedy została zajęta przez Turków, chociaż była wówczas od 13 lat protektoratem Korony Królestwa Polskiego, udekorowanym polską flagą. Szczegóły XIV-wiecznego oblężenia znane są dzięki Gabrielowi de Musisowi, notariuszowi z Piacenzy, autorowi „Istoria de morbo sive mortalitate que fuit de 1348”, która zyskała popularność po znalezieniu jej odpisu w roku 1842 w bibliotece uniwersyteckiej we Wrocławiu. Znalazcą tego dzieła był znany wówczas niemiecki medyk żydowskiego pochodzenia August Wilhelm Henschel. Relacja de Musisa stała się podstawą do określenia zarazy z roku 1348 jako przykładu najbardziej efektywnego w historii użycia broni biologicznej. Według późniejszych ocen w samej Europie ofiar tej zarazy miało być od 25 mln do 50 mln, co stanowiło od 30 do 60 proc. ówczesnej europejskiej populacji. Według nowożytnych badań głównym roznosicielem dżumy w Europie były pchły żerujące na szczurach.

Zachodni Europejczycy oskarżyli jednak Żydów, co zaowocowało serią pro-

cesów i pogromów. Żydowski mieszkańcy zachodnioeuropejskich stolic płonęli na stosach mimo oficjalnej polityki Kościoła chroniącego Żydów jako rodaków Jezusa. Papież Klemens VI w 1348 r. wydał bullę Quamvis perfidiam (Pomimo niewierności), w której oficjalnie potępił przemoc wobec Żydów i udzielił im schronienia w Awinionie. Pozytywne stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec Żydów zostało opisane m.in. w dziele pt. „The Apostolic See and the Jews” autorstwa Szloma Simonsona, izraelskiego historyka pochodzącego z Wrocławia. Ludność rosyjska, gdzie Żydów wówczas praktycznie nie było, oskarżała Tatarów, co mogło być związane z wydarzeniami w Kaffie.

W Polsce brak bezpośrednich dowodów na pełnoskalową XIV-wieczną epidemię dżumy i związane z nią pogromy. Dochodzi wówczas do masowej imigracji żydowskich uchodźców z Europy Zachodniej do naszego kraju, gdzie już w roku 1334 Kazimierz III Wielki potwierdził chroniący Żydów statut kaliski i rozszerzył go na całą Koronę Królestwa Polskiego. Dodatkowym czynnikiem zachęcającym uchodźców było to, że nasz kraj praktycznie nie ucierpiał w trakcie ówczesnej epidemii. Pozostaje nam mieć nadzieję, że podobna łaskawość Opatrzności będzie kontynuowana w przyszłości, bo liczenie na przyjaciół bywa w polityce bardzo zawodne. Nie na darmo kardynał Richelieu mawiał: „Boże, strzeż mnie od przyjaciół”. © Wszelkie prawa zastrzeżone

POCZET POLSKICH WODZÓW

Pułkownik lisowczyków



JACEK KOMUDA

Stanisław Stroynowski herbu Strzemię to jeden z najślawniejszych dowódców lisowczyków, formacji lekkiej jazdy z początku XVII stulecia. W młodości razem z braćmi przebywał na nauce za granicą, pod opieką panów Tęczyńskich, zapewne w Grazu, być może nawet w Padwie. Niestety, jak podaje Władysław Magnuszewski w „Z dziejów elearów polskich...”, przeszkodą w dalszej nauce mógł być niedostatek. Dlatego zapewne w 1600 r. Stroynowscy rozpoczęli służbę wojskową, biorąc udział w wyprawie Jana Zamoyskiego na Wołoszczyznę, a być może także w wojnie z Turkami na Węgrzech. Zapewne właśnie tam przyszły dowódca lisowczyków nauczył się języka węgierskiego. Po rokoszu Zebrzydowskiego znaleźli się wśród ochotników wspierających fałszywego cara Dymitra II Samozwańca w oddziałach księcia Romana Różyńskiego. Stroynowski był także wówczas kimś w rodzaju wywiadowcy, posyłał bowiem do znajomego poety Adama Władysławusza listy o wydarzeniach w obozie zwolenników Samozwańca. A ten na ich podstawie tworzył wiersze i poematy, spełniające funkcję dzisiejszych gazet.

Stroynowski brał udział w 1608 r. w bitwie pod Bołchowem, a następnie w założeniu obozu pod Tuszyńem i oblężeniu Moskwy. Chorągiew Lanckorońskiego, w której służył, przeszła na stronę króla Zygmunta III Wazy, który zaatakował cara Szujskiego, biorąc udział w walkach o carski tron. Stroynowski musiał zatem brać udział w sławnej bitwie pod Kłuszynem w 1610 r. i to jako towarzysz husarski. Czy potem stał się jednym z żołnierzy garnizonu moskiewskiego, który kapitulował

w 1612 r., czy może opuścił go wcześniej wraz ze skonfederowanymi chorągwiami, tego nie wiemy. Na pewno jednak znalazł się w oddziałach lekkiej jazdy formowanych przez Aleksandra Józefa Lisowskiego, zwanych po jego śmierci właśnie lisowczykami i brał udział w wielkiej wyprawie na Moskwę, która dotarła być może do wybrzeży Oceanu Lodowatego.

Nigdy już nie wrócił do chorągwi husarskiej. W 1619 r. znalazł się na Ukrainie, a pod koniec roku oddziały lisowczyków przesunięte zostały na Pogórze, w okolicy Jasła, Krosna i Biecza, skąd wyprawiły się na Węgry przeciwko księciu Bethlenowi Gaborowi oblegającemu Wiedeń, wygrywając 25 października bitwę pod Humieniem. Wówczas bohater osiągnął pierwszą godność, towarzystwo lisowskie wybrało go strażnikiem wojskowym w miejsce poległego Stanisława Krupki. W kolejnym roku lisowczycy wzięli udział w wyprawie do Austrii, wspierając cesarza walczącego z wojskami protestanckimi. Stroynowski wyróżnił się wówczas w starciu pod Enzersdorf, gdzie zebrał zaskoczonych lisowczyków i błyskotliwie zwycięstwo. Później brał udział w bitwach pod Hornem, prowadził zagony jazdy, walczył w bitwach pod Pilznem i Białą Górą w listopadzie 1620 r., która położyła kres powstaniu protestanckiemu w Czechach i na Morawach.

W kolejnym roku Stroynowski został namiestnikiem pułkownika Stanisława Rusinowskiego, który dowodził wojskiem lisowczyków wezwanych do kraju do walki z Turkami pod Chocimiem. Jednak Rusinowski odniósł ciężką ranę, więc dowodzenie przeszło na bohatera.

Stał się tak sławny, że w kwietniu 1622 r. burgrabia czeski Karol

Liechtenstein wystawił mu list przypowiedni, mianujący Stroynowskiego wodzem zaciąganych na służbę chorągwi lisowskich. 29 maja skoncentrowane w Krzepicach oddziały pomaszerowały na Śląsk, gdzie bohater rozgromił zbuntowane wojska chłopskie. Później lisowczycy zostali wysłani na zachód, nad Ren, rozpoczynając jedną z największych wypraw w swojej historii, docierając m.in. do Badonii i łupiąc ją okrutnie. To właśnie tam, popisując się przed arcyksięciem Leopoldem, mieli przepłynąć Ren na koniach. Przyczynili się do sukcesów armii cesarskiej, zdobycia Wormacji, Heidelbergu i oblężenia Frankenthalu. To wówczas miało dojść do namalowania sławnego obrazu „Jeźdźca polskiego” przez Rembrandta, który miał być rzekomo portretem Stanisława Stroynowskiego. Jest to jednak jedynie legenda stworzona przez ród Stroynowskich w XIX w.

Lisowczycy wrócili do kraju w listopadzie 1622 r., gdzie w Sławnie wypłacono im żołd, a we Wschowie bohater rozwiązał oficjalnie ich oddziały. Pułkownik przyjął gościnę u Jana Rozdrażewskiego, krajczego, a w kolejnych latach, kiedy lisowczycy z powodu łupiestw byli prześladowani i skazywani na banicję, zajmował się zaciąganiem nowych oddziałów. Zginął w 1625 r., wcześniej biorąc udział w prywatnym zajeździe Remigiana Eremiana Dąbrowskiego, który napadł na Kościerzyn Wielki w Wielkopolsce. Wkrótce potem Stroynowskiego kazał rozstrzelać w Pakości starosta Paweł Działyński, który zabijał lisowczyków skazanych na banicję, aby zgodnie z prawem przejąć ich majątności. Lisowski poprowadził lisowczyków na wyprawę w głąb Moskwy. Stroynowski – do Renu i nawet dalej, do Francji. ©

JAECOO 7 HYBRID

Klasyczna hybryda chińskiej marki z zewnątrz mocno przypomina starszych braci. I nie jest to zła wiadomość, bo wzornictwo – przywodzące na myśl tradycyjne off-roadowe modele Range Rovera czy Jeepa – wielu Polakom bardzo się spodobało. Mamy tu więc pudełkowaty kształt, surowe, geometryczne linie oraz ogromną atrapę chłodnicy z charakterystycznym żebrowaniem.

Kolejna zaleta testowanego wariantu to pełen napęd hybrydowy. To oznacza, że można się cieszyć niższym spalaniem niż w klasycznej wersji spalinowej bez potrzeby podłączania auta do gniazdka elektrycznego. Maksymalna moc układu, którego sercem jest czterocylindrowy benzynowy silnik 1,5 T-GDi, wspierany przez dwa silniki elektryczne, wynosi 224 KM. Maksymalny

moment obrotowy: 295 Nm. Dzięki temu SUV mierzący 4500 mm i ważący 1640 kg przyspiesza od 0 do 100 km/h w 8,3 s. Na autostradzie Jaecoo 7 Hybrid można rozpędzić maksymalnie do 180 km/h. Bateria trakcyjna ma 1,83 kWh pojemności. Spalanie w cyklu mieszanym wynosi według producenta 5,5 l/100 km i nie jest to wartość trudna do osiągnięcia – podczas redakcyjnego testu średnia wyniosła 5,4 l/100 km.

Niestety, Jaecoo 7 Hybrid występuje w wersji jedynie z napędem na przednią oś. Auto nie jest szczytem marzeń pod względem frajdy z prowadzenia. Największym winowajcą takiego stanu rzeczy jest zbyt mało precyzyjny układ kierowniczy. Również jazda po wybojach i dziurach mogłaby być bardziej komfortowa.

Przejdźmy do wnętrza. Wystarczy chociaż na chwilę zająć miejsce w kabinie, aby dojść do wniosku, że stosunek oferowanej przestrzeni do ceny jest w tym modelu wyjątkowo dobry. Podobnie rzecz ma się z gigantycznym ekranem systemu multimedialnego (w wersji podstawowej ma on przekątną 13,2 cala, a w wersji bogatszej aż 14,8 cala). Szkoda jednak, że do tego systemu projektanci postanowili wrzucić tak koszmarnie dużo funkcji. Na szczęście w wersji Hybrid pozostały klasyczne przyciski do sterowania szybami i lusterkami. Jakość wykończenia wnętrza jest na dość wysokim poziomie, choć miejscami (np. na bocznych drzwiach) zdarzają się niedoróbki. Całkiem nieźle oceniam również wyciszenie kabiny (choć przy wyższych prędkościach autostradowych silnik słychać o wiele zbyt wyraźnie). Bagażnik ma 340 l pojemności do rolety i 500 l do dachu. Po złożeniu tylnych siedzeń przestrzeń ładunkowa rośnie do 1245 l.

Jaecoo 7 występuje jako hybryda typu plug-in oraz klasyczna hybryda (to właśnie wariant testowany). Ta ostatnia występuje z kolei w dwóch wersjach wyposażenia. Za 134,9 tys. zł można obecnie kupić wersję Select (z dwustrefową klimatyzacją oraz podgrzewanymi przednimi fotelami i kierownicą). Wersja Exclusive – z HUD-em, systemem kamer 540 stopni, elektrycznym sterowaniem klapy bagażnika, tapicerką ze skóry ekologicznej, wentylowanymi fotelami, systemem audio Sony oraz otwieranym, panoramicznym dachem – kosztuje 144,9 tys. zł. Całkiem nieźle, zważywszy na to, że w ramach walki o klienta dealerzy dorzucają też pakiet ubezpieczeń za 1 zł.

KAMERA REOLINK TRACKMIX LTE-C

Dwa obiektywy, bardzo dobra jakość obrazu 4K UHD, niezależność od sieci wi-fi i stałego zasilania, rozdzielczość 8 MP, wykrywanie osób, pojazdów oraz zwierząt, możliwość obrotu niemal o 360 stopni oraz klasa szczelności IP65 – to największe zalety zestawu kamery marki Reolink z panelem solarnym.

Testowany model (w wojskowym kamuflażu) można wykorzystać np. do pilnowania bezpieczeństwa na działce budowlanej, gdzie nie ma jeszcze prądu, a o szerokopasmowym Internecie można tylko pomarzyć. To też dobry sprzęt dla miłośników podglądania łosi, saren czy dzików na działce leśnej (lub na warszawskim Wilanowie).

Kamera robi wrażenie solidnie wykonanej. W komplecie poza tradycyjnym zestawem z wkrętami, umożliwiającym zamocowanie kamery na ścianie, znajdują się też mocne pasy montażowe. Dzięki nim zarówno kamerę, jak i panel solarny można szybko przywiązać do drzewa bez naruszania kory. Panel słoneczny również można kupić w leśnym kamuflażu, a długi kabel umożliwia zamocowanie go wyżej niż kamera (np. ponad dużymi gałęziami, gdzie jest większa szansa na promienie słońca). Wbudowany akumulator 5100 mAh zapewni energię na pochmurne dni, a wraz z codziennym doładowaniem za pomocą panelu o mocy 6 W o ładowarce można w zasadzie zapomnieć.

Montaż przebiega intuicyjnie i błyskawicznie. W kamerze znajdują się dobrze zabezpieczone przed deszczem sloty na kartę SIM oraz kartę microSD (do 128 GB). Jakość obrazu w dzień jest bardzo dobra. W nocy, po włączeniu wbudowanych reflektorów LED, można oglądać obraz w kolorze. Użycie diod IR pozwala z kolei na dyskretny monitoring noktowizyjny. Kamera została też wyposażona w mikrofon oraz głośnik, co umożliwia prowadzenie dwukierunkowej komunikacji (np. wystraszenie włamywacza, który gadającego drzewa się nie spodziewał).

Urządzenie sprawnie wykrywa ludzi, pojazdy i zwierzęta. Nie ma więc ryzyka, że powiadomienia na smartfonie będą przychodzić za każdym razem, gdy wiatr poruszy gałęzią. Można też wyznaczyć obszar, który ma być monitorowany.

Wady? Wprawdzie kamera może automatycznie uruchomić alarm, jeśli wykryje zadany obiekt, ale w tym mocno brakuje funkcji autonomicznego włączenia syreny w razie wykrycia próby kradzieży.

Wojskowy kamuflaż na kamerze ułatwia maskowanie sprzętu. Szkoda jednak, że ktoś wpadł na pomysł, aby na froncie dać wielki biały napis „Reolink 4K”.

Cena zestawu kamera plus panel: 999,99 zł.



STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUŻIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUŻIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Jesienna
odporność

Kuchnia trzeciej pory roku jest ciepła, sycąca i pachnąca przyprawami. Rezygnujemy z lekkich sałat i sałatek, a wybieramy ciepłe jarzynki, gotowane czy pieczone warzywa, a przede wszystkim kiszonki, bo są obowiązkowym elementem naszej jesienno-zimowej diety. Będziemy je jeść do później wiosny. Jeszcze pod koniec lata udało nam się zrobić oprócz ogórków także kiszoną marchew i kilka słoików kiszonych buraków, które doskonale będą pasować jako dodatek do mięs. Kiszone buraki są bardzo proste, bo robimy zakwas buraczany, który zlewamy do butelek, a buraczki pozostawiamy jeszcze w pozostałej części barszczu i przechowujemy jak inne kiszonki w słoikach. Takie buraczki możemy zetrzeć na tarce z dodatkiem jabłka i zrobić zdrową kiszonką surówkę do obiadu. Kiszona marchewka jest chrupiąca, bardzo zdrowa i łatwa w przygotowaniu; chrupkości dodają jej kawałki chrzanu. Fermentowaną marchew możemy przygotować przez cały rok – ważne, aby była z dobrego źródła, najlepiej niepryskana i nieumyta. Kiszonki są wspierające – to naturalne probiotyki, które wspierają naszą odporność i jelita. Gotujemy również kompoty – szczególnie polecamy z gruszek z dodatkiem kilku migdałów. Takie połączenie świetnie nawilża i jest szczególnie pomocne przy suchym kaszlu i bólu gardła. Kompot możemy wzbogacić

goździkami i kurkumą, a po przestudzeniu dosłodzić miodem. Natura daje nam wiele superododów: czosnek, imbir, kurkuma, zioła, cytrusy. Pamiętajmy, aby włączać je do swojej codziennej diety i że wspieranie odporności zaczyna się dużo wcześniej niż pierwsze jesienne słoty. Poniżej przepis na pieczoną dynię. Nasza ulubiona to oczywiście hokkaido – ma suchy miąższ i podczas pieczenia wydobywa się z niej piękny orzechowy zapach.

Pieczona dynia

- ½ średniej dyni • 2 łyżki oliwy z oliwek • po ½ łyżeczki soli, kurkumy, imbiru, pieprzu, czosnku granulowanego • ½ opakowania oryginalnego sera feta • garść orzechów włoskich • ½ łyżeczki miodu • kilka liści rukoli (tylko do podbicia orzechowego smaku)
- świeża figa lub kilka sztuk ciemnych winogron • sól, pieprz

Sos:

- ½ cytryny (potrzebny sok)
- 2 łyżki oliwy z oliwek • 2 łyżki octu balsamicznego • 1 łyżeczka miodu

Składniki na sos mieszamy razem dokładnie, aż powstanie gęsta konsystencja. Możemy użyć blendera. Dynię kroimy wzdłuż na półkule, układamy na blaszce do pieczenia, smarujemy oliwą wymieszaną z przyprawami i posypujemy solą. Pieczemy w 200 st. C przez ok. 20 min.

Orzechy podprażamy na suchej patelni z dodatkiem miodu. Odstawiamy do wystygnięcia.

Podajemy z pokrojoną fetą, orzechami, dodajemy kilka liści rukoli i świeżą figę lub winogrona. Polewamy sosem winegret na bazie miodu. Smacznego! ☺



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Dziecko
„Przekroju”

Ta niepozorna książeczka wyłoniła mi się nagle z chaosu bibliotecznych porządków. Zszarzała okładka z zabawnymi rysunkami. Rok wydania: 1958. Jeszcze nie ukrecono łba popaźdźnikowej odwilży, ale polska szkoła grafiki lat 60. już w akcji. Bez nachalnie kolorowych zdjęć, błyszczącego papieru, wypukłych złotych liter. Tytuł: „Jak oni się mają ubierać”. Wydawnictwo Iskry. Autorzy: Jan Kamyczek i Hoff. To poradnik o modzie, ale jak zwykle u Barbary Hoff nie o porady chodzi, to rozmowa o życiu. „Przekrojowy” styl rozmowy z czytelnikiem uprzejmy, żartobliwy, zakładający, że czytelnik jest inteligentem. (Dzisiejsze poradniki zakładają, że czytelnik jest idiotą).

Weźmy parasol. Kto by sobie dzisiaj zwracał głowę parasolem?

„Po pierwsze parasole są drogie. Po drugie nie umiemy ich nosić. Każdy Anglik przyzwyczajony jest wychodzić rano z domu z parasolem. Bo też angielska aura jest dżdżysta. Dzięki tej aurze każdy Anglik i Angielka umieją z wdziękiem i zręcznością nosić ten przedmiot. My nie. Nam parasol przeszkadza. Wciąż zaplątujemy się drutami parasola w kapelusze i sprawunki przechodniów. Nie mamy odwagi wsiąść z parasolem do tramwaju, bo zaraz nam go złamią”.

Albo to: „Jesionka męska, która zastąpi płaszcz zimowy

(bo te prawdziwe pelisy i zimowe płaszcze dobre są dla ojców, nie dla synów), najlepsza będzie z grubego flauszu albo z tweedu w jodełkę, albo w bardzo drobną kratkę. [...] najlepszy kolor ciemnopopielaty [...]”.

Wtajemniczeni wiedzą, że Jan Kamyczek to pseudonim Janiny Ipohorskiej, malarki, ilustratorki, autorki rubryki „Demokratyczny savoir-vivre”. Kim jest Barbara Hoff – wszyscy wiedzą (mam nadzieję).

Wtedy „Przekrój” był jeden. I jego styl opisywania rzeczywistości. Ironiczny, z dystansem, lekko kpiarski. Nie pasowałby do naszych czasów. Pewnie dlatego poległy próby wznowienia pisma na współczesnym rynku. „Przekrój” był jeden i zapamiętajmy go takim, jaki był.

Pod koniec lat 60. Gomulka zaczął wietrzyć „wrogie miazmaty” i zażądał „wyciągnąć konsekwencje” wobec prasy „niezaangażowanej”. Tygodnik zaczął tracić węgę twórczą. Agnieszka Osiecka: „»Przekrój« utłuksła telewizja. Dział rozrywkowy telewizji w latach 70. całkowicie przejął, a następnie strywalizował »Przekrojoję« koncepcję salonu. Huk i łomot wydobywające się z przemysłowego blichtru telewizyjnego cna zagłuszyły i ukatrupiły amatorski gwarek saloniku »Przekrojowego«”.

Tylko książeczka, dziecko „Przekroju”, przetrwała w mojej biblioteczce. Dziś to starodruk. ☺

PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O szariacie
i lojalkach

Urodzony w Padwie adwokat Omar Vanin, którego rodzice przybyli do Włoch z Afryki Północnej, sekretarz Stowarzyszenia Włoskich Adwokatów o Korzeniach Zagranicznych, zarejestrował niedawno Włoską Islamską Izbę Arbitrażową. Jak tłumaczy, Izba mogłaby we Włoszech rozpatrywać kwestie sporne natury rodzinnej i handlowej między mieszkającymi w Italii wyznawcami Allaha zgodnie z prawem szariatu. Wskazuje przy tym, że dla władz włoskich byłaby to szansa skorzystania z regulacji prawa islamskiego, co z pewnością spotka się z uznaniem ze strony włoskich muzułmanów. Vanin zastrzega przy tym, że wyroki Islamskiej Izby Arbitrażowej, wraz z argumentacją i dokumentacją, byłyby przesyłane do zatwierdzenia włoskiemu sądowi.

Słowem, adwokat proponuje wprowadzenie elementów szariatu do systemu włoskiego prawa, co budzi ogromne obawy i wątpliwości. Szczególnie jeśli chodzi o rozbieżności między prawem włoskim a szariatem (aranżowane małżeństwa, rozwody, przemoc w rodzinie etc.). W związku z tym prokuratura w Padwie rozpoczęła dochodzenie, czy Włoska Islamska Izba Arbitrażowa ma we Włoszech prawo bytu.

Naturalnie natychmiast wybuchła polityczna awantura. Lewica nie widzi w propozycji Vanina niczego zdrożnego.

Może dlatego, że włoscy muzułmanie to jej klientela wyborcza. Natomiast rządząca prawica argumentuje, że to niecna próba wprowadzenia szariatu w Italii tylnymi drzwiami i przypomina, iż we Włoszech powinno obowiązywać wyłącznie prawo włoskie.

Szałościem równej wagi popisała się międzynarodowa organizacja Reggio Children. Powstała w mieście Reggio Emilia. Zajmuje się obroną i promocją praw małego dziecka (od żłobków po pierwsze lata szkolne). Organizuje międzynarodowe spotkania, konferencje i wykłady, propagując wiele reguł edukacyjnych w ramach tzw. metody Reggio Emilia (Reggio Emilia Approach).

W tym roku przed planowaną ogromną konferencją dla edukatorów z całego świata postępowi, zaangażowani politycznie organizatorzy z Reggio Emilia postanowili połączyć kwestie edukacyjne z ponurą i naprawdę tragiczną sytuacją palestyńskich dzieci. Planującym przyjazd do Reggio Emilia edukatorom z Izraela wysłali do podpisania oświadczenie potępiające okupację Palestyny przez Izrael, a także politykę i działania rządu Beniamina Netanjahu. Co więcej, wysłali je również do podpisania uczestnikom z USA, ale tylko tym żydowskiego pochodzenia. Czyli antysemityzm najczystszej wody. Grupa 70 amerykańskich nauczycieli postanowiła zostać w domu. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Kumulacja
na pokaz?

Premier Tusk puszcza próbne balony, szykując kumulację niegrzecznego przyspieszenia. Na liście same rarytasy ustrojowe. Atak policji na Trybunał Konstytucyjny, szef NBP zaciągnięty przed Trybunał Stanu. Puszczane (sondujące? prawdziwe?) plotki, że można zrzucić prezydenta ze stanowiska po przejęciu Trybunału Konstytucyjnego i wszczęciu zarzutów „snusowych”. Gro madzi się tego sporo i sprawy wyglądają na coraz grubsze.

Te zapowiedzi rozłożone są w czasie, ale nie bardzo można dać wiarę, że to jakiś harmonogram budowania napięcia z rozwiązaniem w grand finale. Raczej wychodzi na to, że po tromtadraczkich deklaracjach na wyrost zapał spada. I to głównie – podobno – z powodu tego, że jednak wszystkiego w Polsce zrobić się nie da, gdyż świat jakoś tam patrzy. Szefa NBP będzie bronił nawet Europejski Bank Centralny, bo zrzucenie prezesa Głapińskiego może być niemiłym precedensem dla innych krajów. Jeszcze inne państwa się zapatrzą, że można się bezkarnie zamachnąć na niezależność banku centralnego, i straci na tym nie tylko dany kraj, lecz także cała idea niezależności banku centralnego Unii Europejskiej. Można się więc spodziewać, że nawet niemieccy patroni wstrzymają tak rozpędzone konie.

Zamach na Trybunał Konstytucyjny to kwestia jeszcze większej rangi. Tu się nawet

Stany będą patrzeć. Są granice brawury, nawet w przypadku Trumpa. Wydaje się, że zbierały się nad tym trybunałem ciemne chmury, niektórzy mówili, że i łomy, ale jakoś się tak rozwiało. Może to i dobrze...

Widać z tego, że Tusk coraz bardziej się ośmiesza. Te codzienne deklaracje o ofensywach, byciu niegrzecznym, sugerowanie interwencji policji w instytucjach kluczowych ustrojowo, wzmacnianie jeszcze usługowymi mediami, doprowadzają tylko do dudnienia narracyjnego. Bo widać, że brakuje po tamtej stronie pewnych atrybutów zdecydowania, innych niż wymachiwanie medialną szabelką. Naprawdę, panowie, będą panowie mieli te cohones? Czy jak zwykle skończy się na pyskówkach kilku wyszczekanych mediaworkerów?

I na końcu – naprawdę chcecie wprowadzić cenzurę na trumnie zaszytowanej woźnej? Naprawdę? Naprawdę chcecie z tego zrobić zarzut wobec prezydenta, który najpierw podniósł cenę benzyny, odciął autobusy wsiom, a teraz włożył internetowym wetem nóż do ręki nastolatkom?

Zastanawiam się, czy to desperacja czy już panika. Jak widać, psucie tu najlepiej wychodzi. Też się trzeba narobić, ale wystarczą do tego już zwyczajowa w tej ekipie głupota kadr i cynizm tego, kto je dobiera. Reszta zrobi się sama, jak to przed upadkiem. ©©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Niech żyje cesarz!

Coraz ciekawsze szczegóły zaczynają wychodzić na jaw w związku z „potencjalnym zamachem” na premiera Donalda Tuska i ministra obrony narodowej Władysława Kosiniaka-Kamysza. „Sprawę traktujemy śmiertelnie poważnie” – zapewniał niedawno Jacek Dobrzyński, rzecznik ministra, koordynatora służb specjalnych. „Mówimy o dużym prawdopodobieństwie spełnienia tych gróźb”. W dochodzenie zaangażowana została policja, Agencja

czyznę” – poinformował rzecznik prokuratury Piotr Skiba. „Grozi mu za to od dwóch do 15 lat więzienia”. Oskarżenia mniejszej wagi dotyczą „nagrań publikowanych w sieci, i są to zarzuty propagowania ideologii o charakterze siłowego przejęcia władzy w Polsce, używania przemocy, uzyskania określonych zmian politycznych, chodzi o promowanie wojny napastniczej, m.in. na Ukrainie, jak również nawoływanie do popełniania przestępstw na tle narodowościowym, etnicznym i rasowym, jak również politycznym”.

Przesłuchany emeryt nie przyznał się do postawionych zarzutów. „Prokuratura dysponuje zaświadczeniem lekarskim, z którego wynika, że wobec podejrzanego może być stosowany areszt, w warunkach udzielania mu określonych leków [...]”. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że mamy do czynienia z jakimś gangiem Olsena, ale biorąc pod uwagę fakty, sprawa wydaje się dość poważna – oświadczył enigmatycznie rzecznik prokuratury.

W mieszkaniu zatrzymanego policja znaleźć miała improwizowane materiały wybuchowe („wewnątrz petardy hukowej ujawniono kulki metalowe”), a także „kusze, dużą ilość metalowych bełtów o ostrych zakończeniach, przedmioty przypominające broń, które wstępnie zostały zakwalifikowane jako broń albo alarmowa, albo o charakterze pneumatycznym”. Zdaniem prowadzących śledztwo wokół Krzysztofa N. formowała się „grupa o radykalnych poglądach, propagująca idee siłowego przejęcia władzy w Polsce”. Jak podaje portal Onet.pl, plany obalenia polskiej Rady Mini-

strów ujawnił służbom niejaki Gerard F., prawomocnie skazany za wyłudzenie pieniędzy i podszywanie się pod byłego policjanta, żołnierza służb specjalnych lub pracownika rządu.

Perfidie odkrytego spisku przedstawia na łamach „Rzeczpospolitej” Anna Tatar, polonistka z Uniwersytetu Warszawskiego, „ekspertka od radykalizmów ze stowarzyszenia Nigdy Więcej”. „To budzi grozę [...]. Osoby te bardzo się pilnują, by nie powiedzieć za dużo. Grupa ma radykalne poglądy – jest bardzo antyukraińska, ale nie używa słowa Ukraińcy, ale »ci niebiesko-żółci«, dodając »wiecie dlaczego«. Jest coś jeszcze istotniejszego. We wszystkich filmikach jest apel, by przyłączyć się do radykalnej grupy, dzwoniąc pod podany numer telefonu. Członkowie zastrzegają jednak, że nic nie powiedzą o swych planach przez telefon, ani nie odpowiedzą na e-mail”.

Dzielny wojak Szwajk został w austro-węgierskiej monarchii oskarżony o „szereg różnych zbrodni, poczynając od zdrady stanu, a kończąc na obrazie jego cesarskiej mości i członków domu cesarskiego. Pośród tych przestępstw wyróżniała się pochwała morderstwa arcyksięcia Ferdynanda, stąd zaś wywodziła się nowa gałąź przestępstw, wśród których najpełniej jaśniała zbrodnia podburzania do nieposłuszeństwa władzom, ponieważ wszystko to stało się w lokalu publicznym”. Pocieszał on innych „spiskowców” w areszcie: „Od czego mamy policję, jak nie od tego, żeby nas karała za nasze gadulstwo?” Czyżby polscy śledczy wzięli sobie zdanie Szwajka do serca? ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służba Ochrony Państwa.

Do opinii publicznej zaczęło docierać coraz więcej informacji o zamachowcu i jego współnikach. Okazał się nim 66-letni mieszkaniec Wrocławia Krzysztof N., używający pseudonimu „Marek fotograf” i prowadzący na Facebooku stronę „Radykalnego Polskiego Ruchu Oporu”. Prokuratura w Warszawie postawiła mu aż dziewięć zarzutów. „Najbardziej doniosły zarzut to planowanie obalenia siłą władz państwowych, m.in. prezesa Rady Ministrów i Rady Ministrów, przy użyciu materiałów wybuchowych gromadzonych przez tego męż-



KRYSZTOF KRATYUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Szlachta i świnie

Ceniliśmy sobie honor Skrzetuskiego. Od Michała Wołodyjowskiego nauczyliśmy się cnót rycerskich, odwagi i dotrzymywania słowa. Dzięki Kmicicowi pamiętaliśmy, że człowiek, nawet gdy wiele zawini, ma prawo i możliwość, by odkupić swoje grzechy, odzyskać dobre imię i poświęcić własną wygodę dla większej sprawy. Zagłobie zawdzięczamy pewność, że nawet osoba pełna osobistych słabości może w chwili próby okazać się wiernym przyjacielem i patriotą. Było nam z tym dobrze.

Czytając o Zbyszku z Bogdańca, nauczyliśmy się młodzieńczej odwagi, wierności i rycerskiego traktowania damy. Maćko zaś wskazywał całym pokoleniom, jak ważne są przywiązanie do rodu, odpowie-

Bogumił Niechcic z „Nocy i dni” stanowił dla wielu z nas wzór odpowiedzialności, gdy wraz z nim mierzyliśmy się z ciężarem codziennej troski o rodzinę, ziemię i ludzi. Stanisław Połaniecki uczył przedsiębiorczości i samodzielności, a obserwując jego błędy, pojęliśmy, że ani powodzenie w interesach, ani wpływy nie zastąpią uporządkowanego życia osobistego. Marynia z Połanieckich zaś dla wielu stała się nauczycielką wierności, religijności i cierpliwości. Gdybyśmy my tacy byli, cieszylibyśmy się.

Aprzecież nie tylko tutaj wychowywaliśmy się na takich bohaterach. Od Rolanda z pieśni o nim wierność i gotowości do poniesienia najwyższej ofiary uczyła się cała

nia i godności, a od wszystkich czterech muszkietierów dowiedzieliśmy się, że nie zostawia się przyjaciela w potrzebie. Wiedzieliśmy, że to było dobre.

Nawet od pana Darcy’ego z „Dumy i uprzedzenia” nauczyliśmy się, że posiadanie wielkiego majątku i dobrego nazwiska nie wystarcza, aby być gentlemanem, bo prawdziwe szlachectwo wymaga również pokory, odpowiedzialności i właściwego traktowania ludzi stojących niżej w społecznej hierarchii. A śledząc historię księcia Fabrizia z „Lamparta” Lampedusy, pojmowaliśmy, czym są godność i świadomość własnego miejsca w łańcuchu pokoleń. Przeżywaliśmy to razem z naszymi bohaterami.

Śmiem dodać – pamiętając oczywiście o wszelkich dzisiejszych kontrowersjach – że również od księcia Bołkońskiego z „Wojny i pokoju” nauczyliśmy się, że sława, zaszczyty i uznanie innych są mniej ważne niż staniecie w prawdzie o samym sobie.

Długo opowiadaliśmy sobie historie o ludziach wywodzących się z rodów szlacheckich. Stanowili dla nas wzorce, mniej lub bardziej podświadomie chcieliśmy być tacy jak oni – nawet nie tyle zamożni, ile po prostu dobrzy.

Dziś, w serialach takich jak netflixowa „Lalka”, promuje się zupełnie inny obraz szlachty – paskudnych okrutników. Wszystko wokół nich to syf, sempiterna i kamieni kupa.

Dziś gawiedź nie chce już być szlachetna, nie chce takich wzorców. Pragnęłaby raczej sprowadzić mgliste wspomnienie o szlachcie do swojego poziomu.

Ot, radość świni wciągającej kogoś w błoto.

Pozostanie tylko kwik. ©©

Dziś, w serialach takich jak netflixowa „Lalka”, promuje się zupełnie inny obraz szlachty – paskudnych okrutników. A przecież wychowaliśmy się na innych bohaterach

działność za młodszych i troska o to, by następnie pozostawić więcej, niż samemu się otrzymało. Chcieliśmy tacy być.

Nikt z nas nigdy nie powiedziałby, że Mickiewicz, pisząc „Pana Tadeusza”, chciał oddać honory szlachcie – wszak jaskrawo ukazał jej wady, które to pozostają polskimi przyzwyczajeniami do dziś. Ale jednocześnie dzięki Jackowi Soplicy nauczyliśmy się, że pychę i grzech można odpuścić pokorną służbą, a osobistą tragedię przemienić w pracę dla ojczyzny. Od Sędziego Soplicy czerpaliśmy przykład gościnności, przywiązania do rodzinnego domu oraz szacunku dla obyczaju. Tak też wychowywaliśmy dzieci.

Europa. Dzięki królowi Arturowi na Starym Kontynencie po raz kolejny zaczęto masowo oczekiwać, że najwyższa władza związana jest nie tylko z największymi zaszczytami, lecz także ze służbą oraz sprawiedliwością. A Lancelot stał się dla nas przykładem, że nawet najodważniejszy i gotowy do wielkich poświęceń wojownik może stać się ofiarą własnych namiętności. Dawało to do myślenia liczny pokoleniom.

Bohaterem innej pieśni był Cyd, uczący Hiszpanów walki o dobre imię, odpowiedzialności i honoru. D’Artagnan nauczał Francuzów i połowę świata odwagi i waleczności. Jego kompan Atos stanowił wzór opanowa-

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jadę na spotkanie z facetem, którego majątek wynosi 220 mln dol. i stale rośnie. Wypada dać jakiś prezent. Co zabrać? Flaszke wina i kwiaty dla żony? Kurka wodna, ale ten facet ma każde wino świata i wazony pełne kwiatów na każdym stoliku. Wyjdę na taniego głupka. Ludziom, którzy mają wszystko i mogą sobie dokupić jeszcze więcej wszystkiego, bardzo trudno dobrać prezent, który im sprawi radość. E tam, radość – im bardzo trudno podarować coś, co oni w ogóle zauważą. A ja muszę, bo jadę i absolutnie nie wypada z pustymi rękami.

Nawet mojej Mamie trudno dobrać prezent, bo Mama jest emerytką i zawsze mówi: „Nic mi nie dawaj, wszystko już mam”. Kurka wodna, co ja Mamie dam na imieniny?

Z Indianami w dżungli jest podobnie – dobór prezentu jest jak chodzenie boso po szkle – podarujesz za dużo, to niedobrze, bo oni będą musieli przebić wartość twojego prezentu, czyli stawiasz ich w głupiej sytuacji, a gdy podarujesz za mało – wychodzisz na niewdzięcznego chama.

Mama się nie obrazi, ale... rok później weźmie cię na dywan i robi wykład z dawania prezentów STOSOWNYCH do sytuacji. Bogacz też się nie obrazi, bo co mu tam, ale nigdy więcej nie zaprosi cię na swój dywan. Natomiast urażeni Indianie mają te swoje dzidy i dmuchawki oraz zero oporów w polowaniu na ludzi. Co zrobić, aby się nie wpakować?

W dyplomacji mają specjalistów od dobierania stosownych prezentów. Przed wizytą u królowej brytyjskiej



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOWSKI

nasz specjalista kontaktuje się z ich specjalistą, aby uniknąć wpadki. Królowa nie wszystko weźmie do ręki. Poza tym dbamy o to, by królowa nie wyszła na skąpą babę, gdy ty jej dałeś złote podkowy, a ona miała dla ciebie paczuszkę królewskich ciasteczek. Głupia sytuacja i tu królowa ryzykuje więcej. Naoglądałem się prezentów przekazywanych na najwyższym szczeblu. Temat mnie interesuje zawodowo – jestem antropologiem, a mentalność brytyjskiej korony nie różni się od mentalności indiańskiego wodza, więc studiuję obie. Ludzie to ludzie, a monarcha to tyle co wódz indiański, gdy chodzi o prezenty.

Odwiedziłem prawie wszystkie Biblioteki Prezydenckie w USA (taka Biblioteka to po prostu muzeum prezydentury konkretnego prezydenta). W każdym z takich miejsc widziałem zwałkę prezentów. Zwałka to miejsce, gdzie się składały rzeczy bezużyteczne, których z jakiegoś powodu nie wywalamy na śmietnik, a jednocześnie nie chcemy ich trzymać, bo są po nic. U mnie na gospodarstwie mam zwałkę za stodołą. Leży tam np. stara brona. Dobra, wszystko działa, więc szkoda wywalić na złom, no ale jednocześnie mam już nową bronę...

Najbardziej bezużyteczne prezenty, jakie widziałem w Bibliotekach Prezydenckich, pochodziły z bogatych krajów arabskich. Nie wiem, co amerykański prezydent podarował

im, ale wiem, że przedstawiciele państw arabskich podarowali prezydentowi USA bardzo kosztowny miecz rytualny gęsto nabijany (pochwa i rękojeść) szlachetnymi kamieniami. Co z tym robić? Rozebrać na kawałki szkoda, a sprzedać w całości się nie da, bo kto to kupi? Miecz, gdyby go rozmontować, wart jest pierdyliony pieniędzy (kamienie szlachetne, w tym diamenty, plus złoty jelec), ale w całości służy tylko do wystawienia w gablocie w pilnie strzeżonej sali Biblioteki.

Obok miecza leżą prezenty z krajów afrykańskich. Gdybym je znalazł na wysypisku, przeszedłbym obok i szukał dalej. Prezent afrykański to jakaś pałka, czyli kawałek drewna opleciony sznurkiem. RYTUALNY. Bez kartki z opisem przedmiot jest wart zero. Gdy doczypisz kartkę z objaśnieniem, kto wręczał komu oraz jaka legenda i rytuały są powiązane z tą pałką, wówczas prezent nabiera wartości. Ale... kto to kupi bez kartki? Nawet z kartką nie liczyłbym na klienta.

Wróćmy do początku. Jadę na spotkanie z facetem, którego majątek wynosi 220 mln dol. i stale rośnie. Wypada dać jakiś prezent. Co zabrać?

Prezydent Karol Nawrocki był z wizytą na Filipinach i spotkał się tam z byłym senatorem o nazwisku Emmanuel „Manny” Pacquiao. Senator to sławny i kolosalnie bogaty bokser. Prezydent Nawrocki też boksuje. Specjaliści przygoto-

wali polskiemu prezydentowi stosowne prezenty i one zostały wręczone, i być może trafiają na zwałkę. A prezydent Nawrocki chciał też podarować coś osobistego. Wypiął z mankietów spinki i były to spinki bokserskie, a nie byle jakie. Manny Pacquiao był zachwycony, i to widać. Bingo! Ludziom bogatym nie kupuje się drogich prezentów – lepiej im dać unikat lub chwilę radości. I tak było w tym przypadku.

Teraz te spinki robią furorę. Podobnie jak filmik, na którym obaj panowie weszli na ring, aby potrenować. Nawrocki boksował w lakierkach, bo akurat to miał na nogach z okazji wizyty, pokazał, że nie jest frajerem, a sam trening nie był jedynie pozowaniem do kamery. Polska ma teraz w sieci pozytywne virale.

Prezydent, który potrafi coś jeszcze poza byciem prezydentem, to wartość dodana. Ogólniej – w przypadku każdego polityka zaletą jest, gdy „coś umie”. Jesteś prezydentem – rzuć na ring wszystko, co masz, dysponuj wszystkimi swoimi zasobami i atutami. Umiesz coś – pokaż to, pochwal się, przysłużysz się Polsce.

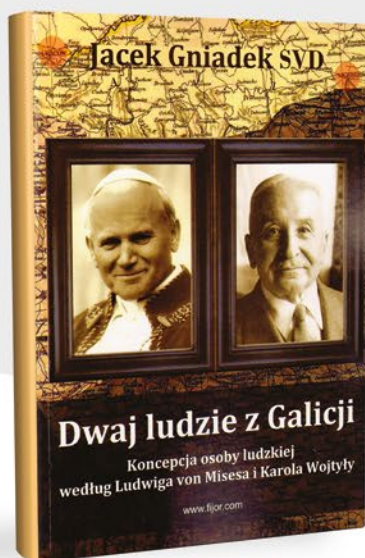
Ignacy Jan Paderewski podarował Polsce swój talent jako pianista i ten talent plus burza rudych włosów, którą też wniósł w posagu, otwierały mu salony polityczne na całym świecie. Grał na fortepianie, roztopiał serca, a potem załatwiał Polsce niepodległość m.in. w Białym Domu.

Tusk w Peru dostał welnianą czapkę, którą założył i wyglądał jak pajac. Niestety! Wkładanie na głowę wszystkiego, co ci podarowano, to odruch dziecinny. W dyplomacji za prezent nietrafiony dziękuje się uprzejmie i od razu przekazuje na zwałkę. ©©

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADK SVD:
„DWAJ LUDZIE Z GALICJI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1040~~ zł

517,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 523 zł

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa,
nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy
o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl bdab5f60dd

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



**„HUBAŁ”:
MUNDURU NIE ZDJAŁ,
BRONI NIE ZŁOŻYŁ**

NA TROPIE MJR. DOBRZAŃSKIEGO – Nazywano go przeróżnie: watażką, „malowanym chłopcem”, „Żelaznym Majorem”, sprawcą pacyfikacji wsi, pierwszym partyzantem... Mimo trudnego charakteru „Hubal” dobrze przysłużył się Polsce – pisze Jacek Komuda

WIEM, GDZIE JEST GRÓB „HUBAŁA” – Dysponuję jednoznacznymi wynikami specjalistycznych badań, a także relacjami, które razem układają się w jeden logiczny obraz. Od „Hubala dzieli” nas jeden metr – mówi w wywiadzie Dariusz Szymanowski, prezes Stowarzyszenia „Wizna 1939”

DUOMO, CZYLI DUSZA FLORENCJI – Każde ze średniowiecznych włoskich państw-miast chciało wykazać swoją wyższość nad sąsiadami, budując najpiękniejszą i największą katedrę. Florencia postanowiła przyćmić w tym względzie całą konkurencję – pisze Sławomir Koper

ZAGADKA ŚMIERCI GORKIEGO – Stalin zamknął swojego ulubionego pisarza w złotej klatce, a na koniec stworzył taką opowieść o jego śmierci, która miała służyć celom Kremla – pisze prof. Mikołaj Iwanow

ŚLADAMI PYRRUSA – Król Epiru zapisał się na kartach historii zwycięstwami okupionymi tak wielkimi stratami, że faktycznie były one porażkami. Później wielu dowódców powtarzało jego błędy, co często pozwalało ich przeciwnikom osiągnąć strategiczne cele – pisze Grzegorz Janiszewski

ZAKOCHANY W PANI BIEDZIE – Nie chciał być kupcem jak ojciec, marzył o karierze rycerskiej i był zafascynowany trubadurami. Giovanni Bernardone, znany jako św. Franciszek z Asyżu, dokonał w Kościele istnej rewolucji – pisze Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**